

1250 1996-
1920



Maryński Kalendarz dla wszystkich

Ozdobiony licznymi obrazkami z dodaniem odpustów w Król. Po



1797. 1416.

10595p 138.

czos. 4778/1920

KALENDARZ MARJAŃSKI

DLA WSZYSTKICH

NA ROK PRZESTĘPNY



1920



OZDOBIONY PIĘKNYMI I LICZNYMI OBRAZKAMI
Z DODANIEM ODPUSTOW W KROL. POLSKIM

--- DO KALENDARZA NALEŻĄ NASTĘPUJĄCE DODATKI: ---
OBRAZEK KOLOROWY I KALENDARZ SCIENNY



Bolesław Banach

WARSZAWA.
SKŁAD GŁÓWNY U F. KASPRZYKIEWICZA I SZMAKFEFERA
ULICA BIELAŃSKA Nr. 5.

PODZIAŁ ROKU KOŚCIELNEGO.

- I. **Adwent** zaczyna się w niedzielę po 26 listopada.
 II. **Post Wielki** zaczyna się w Środę Popielcową.
 III. **Suche dni** przypadają w środy, piątki i soboty:
 1. Po pierwszej niedzieli Wielkiego Postu.
 2. Po Zielonych Świątkach.
 3. Po Podwyższeniu św. Krzyża.
 4. Po trzeciej niedzieli Adwentu.

- IV. **Wesel małżeńskich** Kościoł zabrania:
 1. Od pierwszej niedzieli Adwentu do Trzech Króli.
 2. Od Środy Popielcowej do Poniedziałku Przewodnego.
 V. **Dni Krzyżowe** przypadają w poniedziałek, wtorek i środę przed samem Wniebowstąpieniem Pańskim.

ŚWIĘTA RUCHOME (w latach 1920 do 1936, według nowego stylu).

Rok	Popielec	Wielkanoc	Wniebowstąpienie Pańskie	Zesłanie Ducha św.	Trójcy św.	Boże Ciało	Niedziela 1-sza Adwentu
1920	17 Luty	4 Kwiecień	13 Maj	23 Maj	30 Maj	3 Czerwiec	28 Listopad
1921	9 "	27 Marzec	5 "	15 "	22 "	26 Maj	27 "
1922	1 Marzec	16 Kwiecień	25 "	4 Czerwiec	11 Czerwiec	15 Czerwiec	3 Grudzień
1923	14 Luty	1 "	10 "	20 Maj	27 Maj	31 Maj	2 "
1924	5 Marzec	20 "	29 "	8 Czerwiec	15 Czerwiec	19 Czerwiec	30 Listopad
1925	25 Luty	12 "	21 "	31 Maj	7 "	11 "	29 "
1926	17 "	4 "	13 "	23 "	30 Maj	3 "	23 "
1927	2 Marzec	17 "	26 "	5 Czerwiec	12 Czerwiec	16 "	27 "
1928	22 Luty	8 "	17 "	27 Maj	3 "	7 "	2 Grudzień
1929	13 "	31 Marzec	9 "	19 "	26 Maj	30 Maj	1 "
1930	5 Marzec	20 Kwiecień	29 "	8 Czerwiec	15 Czerwiec	19 Czerwiec	30 Listopad
1931	18 Luty	5 "	14 "	24 Maj	31 Maj	4 "	29 "
1932	10 "	27 Marzec	5 "	15 "	22 "	26 Maj	27 "
1933	1 Marzec	16 Kwiecień	25 "	4 Czerwiec	11 Czerwiec	15 Czerwiec	3 Grudzień
1934	14 Luty	1 "	10 "	20 Maj	27 Maj	31 Maj	2 "
1935	6 Marzec	21 "	30 "	9 Czerwiec	16 Czerwiec	20 Czerwiec	1 "
1936	26 Luty	12 "	21 "	31 Maj	7 "	11 "	29 Listopad

Prawidła przenoszenia świąt ruchomych w kalendarzu rzymsko-katolickim.

Na synodzie nicejskim przyjęto, ażeby Wielkanoc obchodzoną była w pierwszą niedzielę następującą po pełni księżyca, po wiosennem zrównaniu dnia z nocą. Ponieważ niedziela ta nie przypada co rok na ten sam dzień, dlatego też i święta, które następują w stałym oddaleniu od Wielkanocy, muszą się razem z nią przenosić i dlatego świątami ruchomymi się zowią.

Wielkanoc przypaść może najwcześniej dnia 22-go marca, jak to było w roku 1818, najpóźniej zaś dnia 25-go kwietnia, jak to było w roku 1886.

Czterdziestego dnia po Wielkanocy przypada *Wniebowstąpienie Pańskie*. Dnia pięćdziesiątego *Zielone Świątki*. W tydzień po nich, w niedzielę, obchodzi się uroczystość *Trójcy Świętej*. W czwartek po niej *Boże Ciało*.

Niektóre rachuby czasu czyli ery.

Rachuba czasu czyli era chrześcijańska liczy lata od Narodzenia Jezusa Chrystusa i rozpoczyna z dniem 1-go stycznia rok 1920, który jest rokiem przestępnym i liczy 366 dni.

Podług starego kalendarza Nowy Rok przypada na dzień 14-go stycznia naszego kalendarza.

Cerkiew grecka liczy lata od stworzenia świata, ale nie stosuje się do biblij, bo rozpoczęła 14-go września 1919 roku swój rok 7428.

Żydzi liczą także lata od stworzenia świata. Z dniem 25-go września 1919 roku rozpoczęli rok 5680, a jest to rok zwyczajny i liczy 354 dni. Dnia 13-go września 1920 rozpoczną rok 5681, który jest rokiem przestępnym, liczącym 385 dni.

Turcy, Persowie, Arabowie, i reszta wyznawców wiary mahometańskiej liczą lata od ucieczki Mahometa z Mekki do Medyny. Z dniem 26-go września 1919 rozpoczęli rok 1338. Jest to rok przestępny i liczy 355 dni. Dnia 15-go września 1920 rozpoczną rok 1339; będący rokiem zwyczajnym liczącym 354 dni.

Pory roku 1920.

Wiosna zaczyna się, kiedy słońce wstępuje w znak barana 21-go marca, o godz. 5 po południu. Zrównanie dnia z nocą, czyli dzień tak długi jak noc.

Lato zaczyna się, kiedy słońce wstępuje w znak raka, 22-go czerwca, o godz. 1 po południu. Dzień najdłuższy, noc najkrótsza czyli przesilenie dnia z nocą, gdyż odtąd dni stoją się coraz krótsze.

Jesień zaczyna się, kiedy słońce wstępuje w znak wagi, 24-go września, o godz. 4 rano. Zrównanie dnia z nocą, odtąd noce dłuższe od dni.

Zima zaczyna się, kiedy słońce wstępuje w znak koziorożca, 22-go grudnia, o godz. 10 wieczorem. Przesilenie dnia z nocą, czyli noc najdłuższa, dzień najkrótszy; odtąd zaczyna dnia przybywać.

Suche dni.

W środę, piątek i sobotę:

- dnia 25-go, 27-go i 28-go lutego,
- dnia 26-go, 28-go i 29-go maja,
- dnia 15-go, 17-go i 18-go września,
- dnia 15-go, 17-go i 18-go grudnia.

† oznacza suche dni i wigilie z postem.

Dni krzyżowe.

W poniedziałek, wtorek i środę przed Wniebowstąpieniem Pańskim t. j. dnia 10, 11 i 12 maja.

Patronowie ziem polskich.

Patronem Królestwa Polskiego, Wielkiego Księstwa Krakowskiego i Wielkopolski jest św. Stanisław, biskup

K 644/55/114

Zmiany księżyca.

- ☉ Pełnia: 5 stycznia o godz. 10 wieczorem.
- ☾ Ostatnia kwadra: 13 stycznia o godz. 1 rano.
- ☀ Now: 21 stycznia o godz. 6 przed południem.
- ☾ Pierwsza kwadra: 28 stycznia o godz. 5 po poł.



Stuletni kalendarz.

Zimno z przeszłego miesiąca trwa aż do 7-go; 8-go śnieg; od 9-go do 15-go zimno; potem aż do końca łagodnie.



O Boże mój Boże, z wysokiego nieba,
Nie dajże mi, nie daj proszonego chleba,
Ani proszonego, ani łaskawego,
Jeno daj mi Boże dorobić się swego.

Co mi to za pole kiedy niezorane,
Co mi to za życie, kiedy spróżnowane;
Z próżnującej roli tylko oset wachodzi,
Wszystko zię na świecie z próżniactwa pochodzi

Przypomnienia gospodarskie.

I zima nie jest porą zupełnego spoczynku dla gospodarza, bo oprócz zwykłych w tej porze codziennych robót, trzeba się jeszcze przygotowywać do prac wiosennych. Czas bowiem prędko upływa, nie należy go więc tracić, lecz korzystać z niego, aby wszystko w właściwej porze było zrobione. Od tego całe powodzenie i dobrobyt w gospodarstwie zawisły. Młócić zboże, a kiedy mrozy ostre i suche, to przy roztopach woda co najżyźniejsze części uniesie z sobą, z nienagrodzoną niczem stratą dla roli. W tej też porze dobrze jest wynajmować się do różnej wywózki, gdy stosowna możliwość po temu, aby sobie coś zarobić. — Zagałdać też do kartofli w południe gdy mróz zelżeje, dla dania im powietrza w dolach lub kopcach, żeby nie wyrastały lub niegniły od ciepłego zaduchu.

Rocznice narodowe.

- 1-go Urodzenie Zygmunta I. Starego 1467 r.
- 3-go Ugoda Austrii i Rosyi co do zupełnego rozbioru Polski w r. 1795.
- 9-go Jenerał Henryk Dąbrowski formuje legiony we Włoszech 1797 r.
- 11-go Władysław Jagiełło obrany królem polskim 1386 r.
- 22-go Wybuch powstania w r. 1863 w Król. Polskiem.
- 26-go Koronacya Zygmunta I. Starego w Krakowie 1507 r.
- 29-go Krol Stefan Batory wydaje uniwersał, urządzający poczty w r. 1583.

ZAPISKI.

*Ojciec Boże w wiecznym go
któryś mi toci gorgę
Zostatis na te niskosci
Jung twego i wysokosci
Wła wielkiemu pocieszoniu
Tremu ludzkemu plamie
Wydatę go na straconie
Pier cztowicze galu piam
Miejmy wrypy na bacno
Drogę miere jego mi
Y smutek cztowiczy
Który cierpiata
Cdy Go se cwtatek
Bk. My miowicę wanc
Yrmij. Mne u Ogroj
Dojde rada na miere
Lin na me smutek
Powij. Matka tego
Mita. Matka! raci mu
Koc ci. Biska ju mam*



Dni	Kalendarz rzymsko-katolicki	Dni	Kalendarz słowiański	Słońca		Znaki	Księżycy	
				wscn. g. m.	zach. u. m.		wschód g. m.	zachód u. m.

6. Starozapustna. O robotnikach w winnicy. Mat 20.

1 N	Ignacego b. i m.	1	Żegota	7 46	4 42	☾	1 41	5 3
2 P	N. M. P. Gromnicznej	2	Miłostawa	7 45	4 44		2 54	5 52
3 W	Błażeja b. i m.	3	Seibór	7 43	4 45		4 13	6 32
4 Śr	Weroniki panny	4	Witosławia	7 41	4 47		5 33	7 5
5 Cz	Agaty panny męż.	5	Dobrochna	7 40	4 49		6 51	7 32
6 P	Doroty p. męż.	6	Bohdana bł.	7 38	4 51		8 7	7 56
7 S	Romualda op. wyz	7	Sulisław bł.	7 36	4 53		9 21	8 18

7. Mięsozupustna. O rozmaitej roli. Łuk. 8.

8 N	Jana z Maty	8	Gniewomir	7 34	4 55	☾	10 32	8 40
9 P	Apolonii i Cyryla	9	Gorystawa	7 33	4 57		11 41	9 3
10 W	Scholastyki panny	10	Tomita bł.	7 31	4 59		—	9 28
11 Śr	Objawienie NMP.	11	Świętochna	7 29	5 1		12 47	9 56
12 Cz	Modesta męż.	12	Radzyn św.	7 27	5 3		1 49	10 29
13 P	Katarzyny R.	13	Jordan św.	7 25	5 5		2 47	11 9
14 S	Walentego kapł m	14	Niemir	7 23	5 7		3 40	11 55

8. Zapustna. Jezus przepowiada swoją mękę. Łuk. 18.

15 N	Faustyny męż.	15	Szczęśław	7 21	5 9	☾	4 26	12 48
16 P	Juliany p. i męż.	16	Milada b.	7 19	5 10		5 4	1 48
17 W	Alexego Falkoneri	17	Świętorad	7 17	5 12		5 37	2 53
18 Śr	Popielec. Symeona†	18	Wielostawa	7 15	5 14		6 6	4 2
19 Cz	Konrada wyzn.	19	Czeisława bł.	7 13	5 16		6 31	5 13
20 P	Leona bw.	20	Lubomił	7 11	5 18		6 54	6 26
21 S	Fortunata męż	21	Onostawa	7 9	5 20		7 16	7 40

9. Wstępna (1 postu). O kuszeniu Chrystusa. Mat. 4.

22 N	Kat. ś. Piotra w A.	22	Wróciśław	7 7	5 22	☾	7 39	8 56
23 P	Piotra D. i Flor	23	Przeździśław	7 5	5 24		8 3	10 12
24 W	Dzień przestępny	24	Dzień przestępny	7 2	5 25		8 30	11 28
25 Śr	Macieja apostoła. †	25	Bogusz	7 0	5 27		9 3	—
26 Cz	Zygryda b. i Wikt	26	Sławobój	6 58	5 29		9 43	12 43
27 P	Aleksandra bisk. †	27	Mirośław	6 56	5 31		10 31	1 53
28 S	Juliana i Leand. †	28	Wiarostawa	6 54	5 33		11 30	2 54

10. Sucha (2 postu). O przemianieniu Pańskim. Mat. 17.

29 N	Romana opata	29	Tworzimir	6 52	5 35	☾	12 39	3 46
------	--------------	----	-----------	------	------	---	-------	------

W święto Matki Boskiej Oczyszczenia, -go jutro, święta święta zwane gromnicami.

Stare
Miasto



Chwile z życia
Warszawy.

Zamek królewski
zbudowany został
w latach 1610
do 1628.

Zmiany księżycyca.

- ☉ Pełnia: 4 lutego o godz. 10 przed południem.
- ☾ Ostatnia kwadra: 11 lutego o godz. 10 wiecz.
- ☉ Nów: 19 lutego o godz 11 wieczorem.
- ☾ Pierwsza kwadra: 27 lutego o godz. 1 rano.



Stuletni kalendarz.

Aż do 4-go pochmurno; 5-go słonecznie; 6-go i 7-go powietrze niemiłe; od 8-go do 12-go bardzo zimno; 13-go ciepły deszcz, który sprowadzi powódzie; od 27-go do końca zimno, wietrzno i śnieg pada.



Łęskna noca bez miesiąca, dzionek bez słońeczka,
Nie pod swojej matki okiem, tęskniejsza dziewczeczka;
I tęskne jej młode latka bez matczynej rady,
Jako lasy, bez kukulki, bez słowika sady.

W lot gołąbka uroniła piórko na jezioro,
Matka poszła, tam, do nieba, ja w cudze podwórko;
Biada piórku na jezioru tak samemu pływać,
Biedniej mnie w cudzem podwórku łzami się zalewać.

Przypomnienia gospodarskie.

Młocka zboża, zwózka drzewa budowlanego, jeśli potrzeba i wywożenie nawozu. — Naganny to zwyczaj pod każdym względem puszczać inwentarz na oziminy, gdy śniegu niema. — Inwentarz mało tu się posilił, a pasza dla niego niezdrów. Szkodę zaś przez to nienagrodzoną się zrządza, gdyż młode i słabe zbożowe roślinki po przygryzieniu nie mogą się przed deszczami i mrozami zasłonić, ulegają łatwo wymarznieniu lub zgniciu. Z tej przyczyny w gospodarstwach włościańskich, zwykle rzadsze i lichsze bywają oziminy niż na dworskich gruntach niewypasanych w zimie. Przy tem też nędzne bywają inwentarze, a sami gospodarze cierpią potem niedostatek chleba. — W Lutym, gdy na dzień nie więcej jak 3 do 5 cali z wierzchu łąka odtaje, dobrze jest mocno ją wtedy zbronować dla wydarca mchu, który się grabi i na bok usuwa. Nagrodzi się to potem obfitszym zbiorem siana.



Rocznice narodowe.

- 2-go Posłowie czescy zapraszają na tron Władysława Jagiełłę 1421 r.
- 9-go Ślub Kazimierza Jagiellończyka z Elżbietą Austryacką, matką Jagiellonów w r. 1434.
- 14-go Chrzest Władysława Jagiełły w Krakowie 1386 r.
- 16-go Koronacya Władysiawa IV. w Krakowie 1633 r.
- 17-go Pierwsze złączenie Litwy z Polską 1386 r.
- 21-go Koronacya Zygmunta Augusta 1530 r.
- 25-go Bitwa pod Grochowem w ozasie powstania 1831 r.
- 26-go Obiór Jadwigi królową polską 1383 r.

ZAPISKI.

Smutne było rozłączenie
z moim synem tej miłej Panie
Miała serdecznie boleć się
Patrzeć na jego łokami
Gdy do Opatowca przyjechał
Kłótną z nim kryjącą
Tam się w nędze wspaniałej widział
Kłótnę na jej jęstru cuspici młody
Miała sobie precyzyjne pily
Dwie a obie wielkie były
Okrotne woby walczyły
Mato gornie umoryły
Ba Młoda była ja sista
Okrotne smutne groźne
Gle młotki wspaniałe
Bata i nim mocniejsza była
Kłótna na kolana potępiła
Jut się pacie krowym potępiła
Młodzi: Dobre! młodzi! bry
Bacz ten kielich, przez odlaty



Dni	Kalendarz rzymsko-katolicki	Dni	Kalendarz słowiański	Słońca		Znaki	Księżyc	
				wsch. g. m.	zach. g. m.		wschód g. m.	zachód g. m.
1 P	Albina b. i Antoniny	1	Budziślaw	6 49	5 37	♈	1 53	4 29
2 W	Heleny wdowy	2	Radosław	6 47	5 39		3 10	5 3
3 Śr	Kunegundy ces.	3	Sławomita	6 45	5 40		4 27	5 32
4 Cz	Kazimierza w.	4	Kazimierz św.	6 43	5 42		5 44	5 58
5 P	Gerazyima †	5	Pakosław	6 40	5 44		6 58	6 21
6 S	Marcyana b. m.	6	Wojślaw	6 38	5 46		8 11	6 43

11. Głucha (3 postu). Pan Jezus wypęda djabła. Łuk. 11.

7 N	Tomasza z Akw.	7	Bogowit bł.	6 36	5 48	♉	9 21	7 6
8 P	Jana Bożego w.	8	Milogost	6 33	5 50		10 29	7 30
9 W	Franciszki wdowy	9	Mścisława	6 31	5 51		11 34	7 57
10 Śr	40 męczenników	10	Bożesław	6 29	5 53		—	8 29
11 Cz	Konstantyna w.	11	Ludosława	6 27	5 55		12 34	9 6
12 P	Grzegorza W. p. †	12	Światosz	6 24	5 57		1 29	9 49
13 S	Katarzyny bon.	13	Nieciślaw	6 22	5 58	2 17	10 39	

12. Śródpostna (4 postu). O nakarmieniu 5000 ludzi. Jan 6.

14 N	Leona b., Matyl.	14	Bożena	6 20	6 0	♊	2 59	11 36
15 P	Klemensa Hofb.	15	Długomir	6 17	6 2		3 34	12 38
16 W	Abrahama pust.	16	Ojcosław	6 15	6 4		4 4	1 44
17 Śr	Gertrudy i Patryka	17	Zbigniewa	6 13	6 6		4 31	2 54
18 Cz	Gabryela i Cyryla.	18	Boguchwał	6 10	6 7		4 56	4 6
19 P	JÓZEFA obl. N. P. †	19	Bohdan	6 8	6 9		5 19	5 20
20 S	Klaudyi i Eufemii.	20	Polemira	6 6	6 11	5 42	6 36	

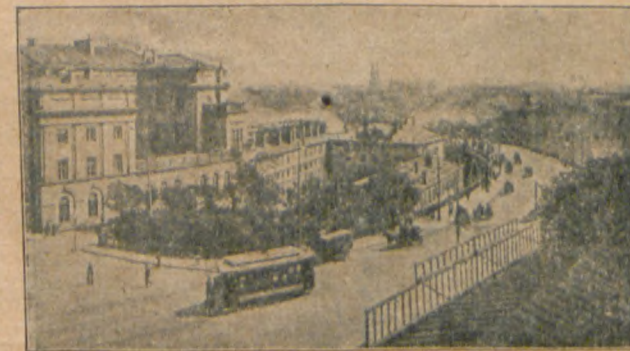
13. Biała (5 postu). O żydach, chcących Chrystusa ukam. Jan 8.

21 N	Benedykta opata	21	Bogosław	6 3	6 13	♋	6 6	7 54
22 P	Katarzyny Szwed.	22	Godysław	6 1	6 14		6 33	9 13
23 W	Wiktoryi i Pelagii	23	Czeimisław	5 59	6 16		7 5	10 30
24 Śr	Tymoteusza	24	Zbisław	5 56	6 18		7 43	11 43
25 Cz	Zwiastowanie N. M. P.	25	Lubomira	5 54	6 20		8 30	—
26 P	Dyzmy i Eman. †	26	Więcysława	5 51	6 21		9 26	12 48
27 S	Jana Damasc. wdk.	27	Świętobój	5 49	6 23	10 31	1 43	

14. Palmowa (6 postu). O wjeździe P. Jezusa do Jeruzalem. Mat. 21.

28 N	Jana Kapistrana w.	28	Bohdar bł.	5 47	6 25	♌	11 43	2 28
29 P	Wiktoryi i Eustaz.	29	Krzesław	5 44	6 27		12 57	3 4
30 W	Zozyma i Jana Kl.	30	Szukosław	5 42	6 28		2 13	3 34
31 Śr	Kornelii i Balbiny	31	Dobromira	5 40	6 30		3 27	4 0

W piątek po V. niedziel Postu: Siedmiu boleści Najśw. Maryi Panny.
W niedzielę Palmową święcą w kościołał palmy.



Chwile z życia
Warszawy.

Przy końcu istnienia Rzeczypospolitej liczyła Warszawa sto tysięcy mieszkańców.

Zmiany księżycyca.

- ☉ Pełnia: 4 marca o godz. 10 wieczorem.
- ☾ Ostatnia kwadra: 12 marca o godz. 7 wieczorem.
- ☉ Now: 20 marca o godz. 12 w południe.
- ☾ Pierwsza kwadra: 27 marca o godz. 8 przed południem.



Stuletni kalendarz.

Od 1-go do 22-go przeważnie zimno, pochmurno, powietrze przykre; ku końcowi miesiąca pogoda się poprawia.



Córunia się do matuli przytula,
A córunię zagaduje matula:
Powiedzże mi moje dziecię — mój kwiecień!
Co też tobie najmilszego na świecie?
Poszukała córoniuchna w swej głowie,
I tak swojej matuleńce odpowie:
Wyście miłsi mi niżeli cały świat,
Boscie pod sercem nosili mnie jak kwiat.
A ileście drzazg po nocach spalili?
Dopókiście mnie przy piersiach karmili,
Żadnej, jako Bóg dał, nocy nie spali,
Jenoście się po nademną schylali,
A w tych łezkach coście dla mnie wylali,
Jużbyśmy się dziś oboje skapali.
Więc miłszaś mi matuleńko niżli cały świat,
Boś pod sercem mię nosiła jako jaki kwiat.



Przypomnienia gospodarskie.

Do najważniejszych robót w Marcu trzeba zaliczyć spuszczenie z ozimiu wody z roztopów powstałej, co jest często zaniebdywane w mniejszych gospodarstwach. Wodę tę z pól ornych, kiedy można, dobrze jest na łąki skierować, lecz nie pozostawiać na nich, żeby nie tworzyła bagna. Woda z łąk powinna odpływać, pozostawiając żyzność z pól wypłukaną. Wtedy się łąka w czas zazieleni i wyda dużo żyznego siana. Przeciwnie zalewająca a nieodchodząca z łąki, jest przyczyną, że siano bywa ostre, szuwarowate, lichego gatunku. — Jeżeli pogoda sprzyja i obeschło, to uprawiać ziemie pod jarzyny. — Co do siewu jarzyn nie bardzo radzimy w Marcu go przedsiębrać; skoro można, trzeba być na to przygotowanym, że jeszcze i zimna powrócą. Na gruntach zaś włościańskich zwykle nie tego uprawianych i słabo gnojonych, zawczas posiane jarzyny źle się opierają późniejszym zimnom i słońcom. Domowe roboty, jak przedzenie, darcie pierza itd. kończyć, bo wkrótce robota w polu i ogrodach rozpoczyna się.



Rocznice narodowe.

- 3-go Austriacy zajmują Kraków 1846 r.
- 7-go Zaprowadzenie chrześcijaństwa w Polsce 966 r.
- 28-go Rakoczy, książę Siedmiogrodzki wkracza do Krakowa jako sprzymierzeniec Szwedów 1657 r.
- 29-go Stefan Czarniecki zwycięża Szwedów pod Warką 1656 r.

ZAPISKI.

*Jeru miły! nie lekaj się
Wstań mi klęcz upamiętaj
Mar miłdalsko Jęta
Ciagnie z ludem do Amrasy
Wiedzie nacy ludnie maty
Skijmi z mieciami z pach dnie
Wzbroje się ubierali
Przetocem im karali
Wtem przystępił Jędan odn
Porzdrowit Jana obudnie
Potem Go zdradnie catorad
Jan się schylił twar mu pod
Gdy się miał z rudy potybac
Porat zimm w ród rozmow
Pytat ich Kogo su kace z
Yeshi kme, ofo kly mace
Medko kłkiem powstoczyl
Dziemu Go uderzyl
Ystowy z brody stary rwał
Prak e mu rce dworgali*



Dni	Kalendarz rzymsko-katolicki	Dni	Kalendarz słowiański	Słońca		Znaki	Księżyca	
				wsch. g. m.	zach. g. m.		wschód g. m.	zachód g. m.
1	Cz W. Czwartek, Teod.	1	Zbigniew	5 37	6 32	☽	4 31	4 24
2	P W. Piątek, Franc. †	2	Sudomir	5 35	6 34	☽	5 53	4 46
3	S W. Sobota, Rysz. †	3	Mnożyślaw	5 32	6 35	☽	7 4	5 8

15. O zmartwychwstaniu Pańskim. Mat. 16.

4	N Wielkanoc. Izydora	4	Wratisław	5 30	6 37	☽	8 13	5 32
5	P Poniedz. Wielkanocy	5	Bożywój bł.	5 28	6 39	☽	9 19	5 58
6	W Wilhelma op.	6	Świętobór bł.	5 26	6 40	☽	10 21	6 28
7	Śr Epifaniasza	7	Przesław	5 23	6 42	☽	11 19	7 3
8	Cz Dyonizego b.	8	Radosław	5 21	6 44	☽	—	7 44
9	P Marcelego i Maryi	9	Dobrosława	5 19	6 46	☽	12 10	8 32
10	S Ezechiela	10	Goryśław	5 16	6 47	☽	12 54	9 25

16. Przewodnia. O niewiernym Tomaszu. Jan 20.

11	N Leona W. pwdk.	11	Jaromir	5 14	6 49	☽	1 31	10 24
12	P Wiktora m. Dam.	12	Lubosław	5 12	6 51	☽	2 3	11 28
13	W Hermenegilda m.	13	Przemysław	5 10	6 53	☽	2 31	12 35
14	Śr Justyna i Waler.	14	Myślimir	5 7	6 54	☽	2 56	1 45
15	Cz Anastazy i Wiktor	15	Wacław bł.	5 5	6 56	☽	3 19	2 57
16	P Urbana i Julii mm.	16	Nosisław bł.	5 3	6 58	☽	3 42	4 12
17	S Aniceta p. m. Stef.	17	Krasisław	5 1	7 0	☽	4 6	5 29

17. 2 po Wielkanocy. O dobrym pasterzu. Jan 10.

18	N Apolloniusza m.	18	Gościśław	4 58	7 1	☽	4 32	6 50
19	P Tymona m.	19	Władymir	4 56	7 3	☽	5 2	8 10
20	W Wiktora	20	Czesław	4 54	7 5	☽	5 38	9 26
21	Śr Anzelma	21	Drogomił	4 52	7 7	☽	6 23	10 36
22	Cz Sotera m. i Teodora	22	Strzeżymir	4 50	7 8	☽	7 18	11 37
23	P Wojciecha b. m.	23	Wojciech św.	4 48	7 10	☽	8 22	—
24	S Fidelisa, Egberta	24	Jerzy św.	4 46	7 12	☽	9 33	12 26

18. 3 po Wielkanocy. Maluczko a nie ujrzycie mnie. Jan 16.

25	N Marka Ewang.	25	Jarosław	4 44	7 13	☽	10 48	1 6
26	P Kleta i Marcelina	26	Spitymir	4 41	7 15	☽	12 3	1 38
27	W Tertuljana b.	27	Bogufał	4 39	7 17	☽	1 17	2 5
28	Śr Pawła od Krzyża	28	Zywisław	4 37	7 19	☽	2 30	2 29
29	Cz Piotra m. i Hug. op.	29	Sogosław	4 35	7 20	☽	3 41	2 51
30	P Katarzyny p.	30	Chwalisława	4 33	7 22	☽	4 51	3 13

W Wielką Sobotę święcą wodę i ogień; w 1-sze święto wielkanocne pokarmy wielkanocne.
 W drugą niedzielę po Wielkanocy Grobu Chrystusowego.
 W trzecią niedzielę po Wielkanocy Opieki świętego Józefa.
 26-go Kwietnia; Matki dobrej rady

Gmach
teatru
Wielkiego



Chwile z życia
Warszawy.

Warszawa powstała w wieku XIII jako gród; w wieku XIV stała się stolicą Mazowsza.

Zmiany księżyca.

- ☉ Pełnia: 3 kwietnia o godz 12 w południu.
- ☾ Ostatnia kwadra: 11 kwietnia o godz. 2 po poł.
- ☉ Now: 18 kwietnia o godz. 11 wieczorem.
- ☾ Pierwsza kwadra: 25 kwietnia o godz. 2 po poł.



Stuletni kalendarz.

1-go i 2-go wiatr i deszcz; od 3-go do 10-go śnieg i wiatr; 14-go i 15-go pogodnie; 22-go deszcz i przykry wiatr, potem zmiennie, przy-
mrozki aż do końca.



Pokłońże się dziecie, oju twemu nisko,
Bo jego serduszko jest twojego blisko;
A matce się pokłoń, pokłoń jeszcze niżej,
Bo matki serduszko jeszcze twego bliżej.

Tam pod brzozą, pod ciernistą, błyszcząca murawka,
A przy pieńku, przy spróchniałym, wypalona
trawka;

I u matki, u jedynej, dziatki aż łyszczają,
A przy grobku, przy matczynym, główki im
spłowiwały.



Przypomnienia gospodarskie.

Oranie i siew jarzyn: jarki, owsa, grochu, potem jęczmienia, lnu, koniuczyny w ozimocie lub jarzynie. — Sadzić kartofle jak się ziemia trochę ogrzeje, bo zasadzone zbyt wcześnie w nieogrzaną jeszcze ziemię, nie prędko wschodzą. — Tak mało upowszechnione u nas walcowanie na gruntach lżejszych, wybornie wpływa na urodzaj, bo zapobiega wysychaniu ziemi. — Rozsadę wczas zasiać. — Koniom i wołom starać się o polepszenie paszy, gdyż po zimie są słabsze, a tu wiele roboty w polu — Dla gospodyń dużo trudu, bo uprawa ogrodów warzywnych i zasadzenie wysadków i kartofli. — Nasadzanie kur, kaczek i gęsi. — Pielęgnowanie młodego drobiu. — Trzeba też pomyśleć i o domu, aby go po zimie wybielić, wymyć wraz ze wszelkimi sprzętami. — Bielenie płótna.



Rocznice narodowe.

- 1-go Śmierć Zygmunta I. Starego w Krakowie 1548 r.
- 3-go Śmierć Bolesława Chrobrego w Poznaniu 1025 r.
- 4-go Zwycięska bitwa pod Racławicami w powstaniu Kościuszki 1794 r.
- 6-go Założenie Akademii krakowskiej przez Kazimierza W. 1361 r.
- 9-go Klęska Polaków pod Lignicą za pierwszego najazdu Tatarów 1241 r.
- 10-go Zwycięstwo pod Iganiami w powstaniu 1831 r.
- 25-go Koronacja Kazimierza W. 1333 r.
- 26-go Trzeci rozbiór Polski 1795 r.

ZAPISKI.

*Wierzę, że tak okrutnie
Wielki gda miasta chętnie
Pchnęli Go w ręce cedrowe
Wkurali Go i egzystację
Jani edroży się po moim
Dana wredli w ręce proce
Dwałt się upadł w wodę
Włot i sbee okamien Good
Annun Go rogo przywi tał
Edosi masz ucinie tał go
Nic mater tu stego eloni
Jatrywa nauką wredli
Dm pokornie odprawia
Danie Annun' bys osedim
Dawm Ja jawnie w kawie le
Borada tem prace imiel
Wyciągnęły się prawie
Dmiał zbrojny okrowce
Wyciąt mu rogi polne
Dm nar zemlełt upadł
wzrostek*



Dni	Kalendarz rzymsko-katolicki	Dni	Kalendarz słowiański	Słońca		Znaki	Księżyca	
				wsch. g. m.	zach. g. m.		wschód g. m.	zachód g. m.
1 S	Filipa i Jakóba ap.	1	Lubomir	4 31	7 24	♄	6 0	3 36

19. 4 po Wielkanocy. O odejściu do Ojca. Jan 16.

2 N	Zygmunta, Atanaz.	2	Witymir	4 29	7 25	♄	7 7	4 1
3 P	Znalez. św. Krzyża	3	Świętosława	4 27	7 27	♄	8 10	4 29
4 W	Floryana, Moniki	4	Więchezława	4 25	7 29	♄	9 9	5 2
5 Śr	Piusa papieża w.	5	Chocisław	4 24	7 31	♄	10 3	5 41
6 Cz	Jana w Ol. ap. i ew.	6	Gościwid bł.	4 22	7 32	♄	10 50	6 26
7 P	Domiceli p., Bened.	7	Ludomiła św.	4 20	7 34	♄	11 30	7 17
8 S	Stanisława biskupa	8	Stanisław św.	4 18	7 35	♄	—	8 14

20. 5 po Wielkanocy. O prawdziwej modlitwie. Jan 16.

9 N	Grzegorza z Naz.	9	Bożerad bł.	4 16	7 37	♄	12 4	9 15
10 P	Izydora rolnika	10	Cierpimir	4 15	7 39	♄	12 33	10 20
11 W	Mamerta b. w.	11	Ludowit	4 13	7 40	♄	12 58	11 27
12 Śr	Pankracego b.	12	Wszemił	4 11	7 42	♄	1 21	12 36
13 Cz	Wnieb. P. J. Serwac. b.	13	Cichosław	4 10	7 43	♄	1 43	1 48
14 P	Bonifacego, Justyny	14	Dobiesław	4 8	7 45	♄	2 6	3 3
15 S	Zofii męż.	15	Strzeżysława	4 6	7 47	♄	2 30	4 20

21. 6 po Wielkanocy. O obietnicy zesłania Ducha św. Jan 15-16.

16 N	Jana Nepomucena	16	Więchezława	4 5	7 48	♄	2 58	5 40
17 P	Paschalisa, Brunona	17	Sławomił	4 3	7 50	♄	3 31	7 0
18 W	Feliksa, Eryka	18	Wszesław	4 2	7 51	♄	4 12	8 16
19 Śr	Piotra, Celestyna	19	Kzesomyśl	4 1	7 53	♄	5 3	9 23
20 Cz	Bernardyna wyzn.	20	Bronimir	3 59	7 54	♄	6 5	10 19
21 P	Julii pm. i Wiktora	21	Przesława bł.	3 58	7 56	♄	7 16	11 4
22 S	Faustyna, Emilia †	22	Wisława bł.	3 57	7 57	♄	8 32	11 40

22. 7 po Wielkanocy. O zesłaniu Ducha św. Jan 14.

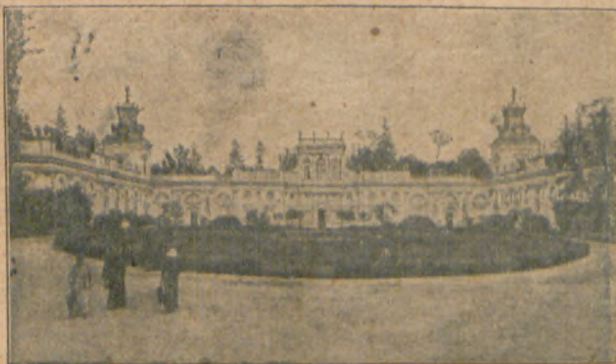
23 N	Ziel. Świąt, Andrzeja	23	Budziwój	3 55	7 59	♄	9 50	—
24 P	Pon. Ziel. S. Joanny	24	Tomira	3 54	8 0	♄	11 6	12 9
25 W	Grzegorza VII	25	Borysława	3 53	8 1	♄	12 20	12 34
26 Śr	Filipa N., Urbana †	26	Więcymił	3 52	8 3	♄	1 32	12 57
27 Cz	Bedy w., Jana pap.	27	Rusław	3 51	8 4	♄	2 43	1 19
28 P	Augustyna b. w. †	28	Jaromir	3 49	8 5	♄	3 51	1 41
29 S	Maryi Magdal. †	29	Boguchwała	3 48	8 7	♄	4 58	2 5

23. 1 po Ziel. Św. (Św. Trójcy). O władzy danej Chryst. Mat. 28.

30 N	Ferdynanda króla	30	Sulimir	3 47	8 8	♄	6 2	2 32
31 P	Anieli p., Petroneli	31	Bożesława	3 46	8 9	♄	7 3	3 3

W drugą niedzielę maja. Nazw. Panny Maryi Łaskawej. — W Wigilię Ziel. Św. święcą wodę.

Pałac
w Wilano-
wie



Chwile z życia
Warszawy.

Od r. 1795—1806
była Warszawa w
posiadaniu Pru-
saków; w tym
czasie podupadła
znacznie.

Zmiany księżyca.

- ☉ Pełnia: 3 maja o godz. 3 rano.
- ☾ Ostatnia kwadra: 11 maja o godz. 7 przed poł.
- ☉ Now: 18 maja o godz. 7 przed południem.
- ☾ Pierwsza kwadra: 24 maja o godz. 10 wieczorem.



Stuletni kalendarz.

Z początku pogodnie i ciepło; 7-go grzmot, potem deszcze aż do 17-go; następnie pogodnie lecz wietrzno; od 25-go do 29-go zimno, potem pięknie aż do końca.



Po raz pierwszy kukuleczka zakukała w borku, A ja biedny nieboraczek nie mam grosza w worku. O, gdyby-to złotóweczki teraz zabrzęczały, Miałby sobie chłopak z czego pohulać rok cały!

Byłby konik jeden, drugi,
I parobczak do usługi,
I koszulka wyszywana,
I czapeczka, i sukmana,
I kowane buty,
I pasiczek suty;

Tysiąc kótek-by brzęczało około pasika.
Zle-ś kukulko dziś zastała: niema i grosika.



Przypomnienia gospodarskie.

Kończą się siewy jare, jak jęczmienia, prosa, tatarski, kukurudzy. — Koniec sadzenia buraków i kartofli. — Sadzi się rozsądę kapusty i brukwi, które często są za późno sadzone, tak, że potem zwłaszcza gdy role suche, nie mają dość czasu do należytego wyrośnięcia w duże i zbite głowy. — Pielenie i obsypywanie koło wysadków, wcześniejszych kartofli, buraków itd. — Kończy się pielienie pszenicy. — Po ukończeniu siewów, najlepsza pora do kopania rowów lub ich odnawiania, gdzie tego potrzeba. Ziemi wybranej nie zostawiać nad rowami, gdyż tamuje spływanie wody, ale ją równo rozrzuca się po przyległej łące lub polu. — Teraz też pora najlepsza do naprawy mostków i dróg, które jeszcze w początku Kwietnia powinny być obsadzone wierzbami.



Rocznice narodowe.

- 1-go Koronacja Stefana Batorego i Anny Jagielonki 1576 r.
- 3-go Ogłoszenie wielkopomnej Konstytucyi 3-go Maja 1791 r.
- 8-go Śmierć męczennika św. Stanisława Szczepanowskiego 1078 r.
- 17-go Wojska zaborcze wkraczają do Warszawy 1773 r.
- 18-go Jan III. Sobieski obrany królem 1674 r.
- 20-go Śmierć Władysława IV, w Mereozu 1648 r.
- 24-go Śmierć Kopernika, najznakomitszego astronoma 1543.
- 26-go Przyłączenie Wołynia do Korony na sejmie 1569 r.
- 31-go Śmierć Władysława Jagielly w Gródku 1434 r.

ZAPISKI.

*Gras tak odpariwadaję
Pany, tom gdy cię pytam
Cremur nie masz w uroczym
Biskupa jego mi toci
Niec na przemian wygocy stady
Jedni stytu i prody obrot
Wtorej mi a wtorej targali
Na jego święta kawa głodli
Zedy mi ocy zamgoda
Prorokowie mi karali
Godzian mi pierciej przenie
Gadał, Jeru ktracy b
Panickiast Annas w noc chw
Z miast czysta krotachole
Patrac na wipma 207 go
Na bawiciela na naga
Annas wickomida Toem
Pan nare wickomida do psienic
Yaki tam był nocleg jego
Kosciot ni imie zjawic tego*

Czerwiec



Dni	Kalendarz rzymsko-katolicki	Dni	Kalendarz słowiański	Słońca		Znaki	Księżycyca	
				wsch. g. m.	zach. g. m.		wschód g. m.	zachód g. m.
1 W	Jakóba b. w.	1	Swiatopelk	3 46	8 10	♋	7 58	3 39
2 Śr	Marcelina i Bland.	2	Ratysław	3 45	8 11	♌	8 47	4 22
3 Cz	Boże Ciało , Erazma	3	Bratumiła	3 44	8 12	♍	9 30	5 11
4 P	Franciszka Caraco.	4	Lutomil	3 43	8 13	♎	10 6	6 6
5 S	Bonifacego b. m.	5	Dobromil	3 42	8 14	♏	10 36	7 6

24. 2 po Ziel. Św. O wezwaniu na wielką ucztę. Łuk. 14.

6 N	Norberta, Pauliny	6	Cichomir	3 42	8 15	♐	11 2	8 9
7 P	Roberta, Sabiniana	7	Wisław bł.	3 41	8 16	♑	11 26	9 15
8 W	Medarda, Wilhelma	8	Wyszosław	3 41	8 17	♒	11 48	10 22
9 Śr	Felicjana, Pelagii	9	Sławój	3 40	8 18	♓	—	11 31
10 Cz	Małgorzaty król.	10	Bogumil św.	3 40	8 19	♈	12 10	12 42
11 P	Barnaby ap.	11	Radomil	3 40	8 19	♉	12 32	1 56
12 S	Eschylego, Jana w.	12	Wyszomir	3 39	8 20	♊	12 57	3 13

25. 3 po Ziel. Św. O zgubionej owcy i o groszu. Łuk. 15.

13 N	Antoniego z Pad.	13	Chotymir	3 39	8 21	♈	1 26	4 31
14 P	Bazylego b.	14	Przedzimir	3 39	8 21	♉	2 2	5 49
15 W	Wita, Modesta m.	15	Wit św.	3 39	8 22	♊	2 47	7 1
16 Śr	Benona b., Justyny	16	Budzimir	3 39	8 22	♋	3 43	8 4
17 Cz	Adolfa b., Jolanty	17	Drogomyśl	3 39	8 23	♌	4 51	8 56
18 P	Marka, Marceliana	18	Długosław	3 39	8 23	♍	6 7	9 37
19 S	Genazego, Protaz.	19	Bożystaw	3 39	8 23	♎	7 27	10 10

26. 4 po Ziel. Św. O obfitym połowie ryb. Łuk. 5.

20 N	Sylwerego, Florent.	20	Bogna św.	3 39	8 24	♐	8 47	10 38
21 P	Alojzego Gonzagi	21	Domysław	3 39	8 24	♑	10 5	11 2
22 W	Paulina, Flawiusza	22	Broniów	3 39	8 24	♒	11 20	11 25
23 Śr	Agrypiny p., Zen.	23	Wanda	3 39	8 24	♓	12 32	11 47
24 Cz	Nar. s. Jana Chrzcic.	24	Janusław	3 40	8 24	♈	1 42	—
25 P	Wilhelma opata.	25	Wlastymil	3 40	8 24	♉	2 49	12 10
26 S	Jana i Pawła br.	26	Rozmysław	3 40	8 24	♊	3 54	12 36

27. 5 po Ziel. Św. O sprawiedliwości Faryzeuszów. Mat. 5.

27 N	Władysława króla	27	Władysław	3 41	8 24	♋	4 56	1 6
28 P	Leona pap. wyz. †	28	Zbroisław	3 41	8 24	♌	5 53	1 40
29 W	Plotra i Pawła apost.	29	Wyszomir	3 42	8 24	♍	6 45	2 20
30 Śr	Wspomn. s. Pawła	30	Cichostawa	3 43	8 24	♎	7 30	3 7

W piątek po oktavie Bożego Ciała Najś. Serca Jezusowego. — W pierwszą niedzielę Czerwoa: **Sera Najś. Maryi Panny**. — W ostatni dzień oktavie Bożego Ciała poświęcają wleńce z różnych sioł. — W św. Jana i Pawła 26-go bywają święcone i wleńce gradowe.

Ulica
Krakowskie
Przedmie-
ście



Chwile z życia
Warszawy.

Pałac Łazienkowski wznosił król Stanisław August w miejscu, gdzie była łaźnia i zwierzyniec ujazdowski

Zmiany księżycy.

- ☉ Pełnia: 1 czerwca o godz. 6 wieczorem.
- ☾ Ostatnia kwadra: 9 czerwca o godz. 8 wieczorem.
- ☉ Now: 16-go czerwca o godz. 3 po południu.
- ☾ Pierwsza kwadra: 23 czerwca o godz. 8 przed południem.



Stuletni kalendarz.

Aż do 21-go pogodnie i ciepło; potem aż do końca prawie codziennie grzmoty i deszcz, pogoda niemiła.



Powróciłem do mej chatki; nieżałuję tego; Niemieniałbym za świat cały kąciaka mojego. Miłeż-bo tu okolice, mili tu sąsiedzi; Zaden, prawda, grzecznych słówek przez ząbki nie cedzi, Ale wszyscy wierni w słowie, w przywiązaniu stali; Kto w nieszczęściu poda rękę, z tego się niechwali. O! bodajto w naszych stronach — każdy chętnie powie; Niejednym się parobczakiem pochlubią ojcowie: Wesół w domu, zwinny w polu, żadnej niezna trwogi, Dziarski w minie, piękny w stroju w cnoty nieubogi.



Przypomnienia gospodarskie.

Dobry rolnik stara się, aby do końca tego miesiąca mógł mieć ugor podorany. W włościańskich gospodarstwach rzadko to ma miejsce, jednak to koniecznie powinno być zachowane, aby do końca Czerwca choć twardsze części ugoru zostały podoranymi. Jeżeli się tego nie zrobi, można się potem dobrego urodzaju spodziewać? — W miesiącu tym rozpoczyna się sianokos, cięcie koniczyny, z czem nie opóźniać się trzeba. — Okopywanie kartofli i staranie o utrzymanie czyścio lnu i warzyw, co tem potrzebniejsze, skoro deszcze padają, bo wtedy nader szybko i bujnie chwasty wzrastają. — Początek tego miesiąca to najlepsza pora do wymurowania komina; do wyrównania dobrze wyrobioną gliną dołów powybijanych na klepiskach w stodółach; do nawieźienia ziemią, a lepiej gliną dołów w stajni lub oberze, żeby równo było; do reperacji dachów, aby potem deszcz nie zaciekał na zawieszono plody.

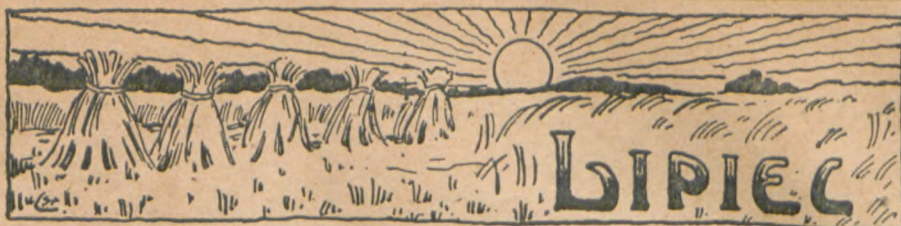


Rocznice narodowe.

- 2-go Urodzenie Jana III. Sobieskiego w Olesku 1624 r.
- 3-go Śmierć Jana Zamojskiego, kauclerza i hetmana 1605 r.
- 13-go Zdobycie Smoleńska na Moskalach przez Zygmunta III. 1611 r.
- 15-go Śmierć królowej Jadwigi 1399 r.
- 17-go Śmierć Jana III. w Wilanowie pod Warszawą 1696 r.
- 23-go Sprowadzenie zwłok z Szwajcaryi i pogrzeb Kościuszki w Krakowie 1818 r.
- 25-go Bitwa pod Beresteczkiem 1651 r.

ZAPISKI.

*Wątek wywieziony z piwnicy
 Jakoby Tatr z mecenarstwa
 Prowadzon był do Kairu
 Od okrutnego Anasza
 Wobrot tam pan mitosowy
 Z biskup niesprawiedliwy
 Tatrzyce nam wadli, wadli
 Bogo na imię wydziedzic
 Gdy Kairan ce wroni wadli
 Ktoli nam wrystki niezap
 Stater prawda niestworona
 Przed biskupem opatwarzona
 P. Tatar go postali
 Dymricallu Go kardal
 Kairali Ma Janicuch na imię
 Ten był smierci jego znamie
 Prakh wiemy, Janie Stacie
 Z ten tancus dobu, smierci
 Gardy wrystki co go nosi
 Od smierci smierci wyprasz*



Dni	Kalendarz rzymsko-katolicki	Dni	Kalendarz słowiański	Słońca		Znaki	Księżycyca	
				wsch. g. m.	zach. g. m.		wschód g. m.	zachód g. m.
1 Cz	Rumolda, Teodor.	1	Bogusław	3 43	8 24	☉ ☽ ☿ ♀ ♁ ♃ ♅ ♆ ♇ ♈ ♉ ♊ ♋ ♌ ♍ ♎ ♏ ♐ ♑ ♒ ♓ ♈ ♉ ♊ ♋ ♌ ♍ ♎ ♏ ♐ ♑ ♒ ♓	8 8	4 0
2 P	Naw. NMP., Otona	2	Ojcomir	3 44	8 23		8 40	4 59
3 S	Anatola, Heliodora	3	Miłostaw	3 45	8 23		9 8	6 1

28. 6 po Ziel. Św. O nakarmieniu 4000 ludzi. Mar. 8.

4 N	Ireneusza, Józ. Kal.	4	Wielisław	3 45	8 22	☉ ☽ ☿ ♀ ♁ ♃ ♅ ♆ ♇ ♈ ♉ ♊ ♋ ♌ ♍ ♎ ♏ ♐ ♑ ♒ ♓	9 32	7 6
5 P	Anton. Zacc., Filom.	5	Prokop	3 46	8 22		9 54	8 12
6 W	Izajasza proroka	6	Izasław	3 47	8 21		10 15	9 20
7 Śr	Cyryla i Metodego	7	Krasnoroda	3 48	8 21		10 37	10 29
8 Cz	Elżbiety kr., Eugen.	8	Chwałimir	3 49	8 20		11 1	11 41
9 P	Weroniki, Mikołaja	9	Strachota	3 50	8 19		11 27	12 54
10 S	7 Braci męcz. Aleks.	10	Radziwój	3 51	8 19		11 58	2 9

29. 7 po Ziel. Św. O fałszywych prorokach. Mat. 7.

11 N	Piusa pm., Pelagii	11	Olcha św.	3 52	8 18	☉ ☽ ☿ ♀ ♁ ♃ ♅ ♆ ♇ ♈ ♉ ♊ ♋ ♌ ♍ ♎ ♏ ♐ ♑ ♒ ♓	—	3 25
12 P	Jana G., Marcyany	12	Tolimir b.	3 53	8 17		12 37	4 38
13 W	Małgorzaty p.	13	Radomiła	3 54	8 16		1 26	5 45
14 Śr	Bonawentury bw.	14	Dobrogost	3 56	8 15		2 27	6 42
15 Cz	Rozesł. św. Apostoł.	15	Radosław	3 57	8 14		3 38	7 29
16 P	Szkaplerza NMP.	16	Dzierżysława	3 58	8 13		4 57	8 7
17 S	Aleks., Marceliny	17	Dzierżykraj	3 59	8 12		6 19	8 38

30. 8 po Ziel. Św. O niesprawiedliwym szafarzu. Łuk. 16.

18 N	Szymona z Lipnicy	18	Unisław	4 1	8 11	☉ ☽ ☿ ♀ ♁ ♃ ♅ ♆ ♇ ♈ ♉ ♊ ♋ ♌ ♍ ♎ ♏ ♐ ♑ ♒ ♓	7 40	9 4
19 P	Wincentego z Pauli	19	Wodzisław	4 2	8 9		8 58	9 29
20 W	Czesława, Hieron.	20	Czesław	4 3	8 8		10 14	9 52
21 Śr	Daniela, Praksedy	21	Stosław	4 5	8 7		11 27	10 16
22 Cz	Maryi Magdaleny	22	Bolesława	4 6	8 6		12 37	10 41
23 P	Apolinarego bm.,	23	Zelisław	4 7	8 4		1 44	11 9
24 S	Franco. Sal., Kryst.	24	Lubomira	4 9	8 3		2 47	11 41

31. 9 po Ziel. Św. O zburzeniu Jerozolimy. Łuk. 19.

25 N	Jakóba, Krzysztofa	25	Stawosz	4 10	8 1	☉ ☽ ☿ ♀ ♁ ♃ ♅ ♆ ♇ ♈ ♉ ♊ ♋ ♌ ♍ ♎ ♏ ♐ ♑ ♒ ♓	3 46	—
26 P	Anny, matki NMP.	26	Miroslawa	4 12	8 0		4 40	12 19
27 W	Pantaleona, Aurelii	27	Wszebór	4 13	7 58		5 27	1 4
28 Śr	Wiktora, Inocent	28	Świętomir	4 15	7 57		6 8	1 55
29 Cz	Kunegundy p.	29	Cierpiśława	4 16	7 55		6 42	2 51
30 P	Abdona, Julity m.	30	Ludomir	4 18	7 54		7 12	3 52
31 S	Ignacego Loy., Hel.	31	Zdobysław	4 19	7 52		7 38	4 57

W dniu 1-go lipca: Najdroższej Krwi Pana Jezusa. — W trzecią niedzielę: Najw. Odkupiciela. — 24-go lipca: Bł. Kunegundy, Kr. Polsk.

Gmach uniwersytetu w Warszawie



Chwile z życia Warszawy.

W wieku XIV stała się Warszawa stolicą księstwa mazowieckiego.

Zmiany księżycy.

- ☉ Pełnia: 1 lipca o godz. 10 przed południem.
- ☾ Ostatnia kwadra: 9 lipca o godz. 6 przed poł.
- ☽ Now: 15 lipca o godz. 9 wieczorem.
- ☾ Pierwsza kwadra: 22 lipca o godz. 8 wieczorem.
- ☉ Pełnia: 30 lipca o godz. 12 w nocy.



Stuletni kalendarz.

Od 1-go do 3-go pochmurnie; 4-go przymrozek a wieczorem burza; potem piękna pogoda aż do 12-go; od 13-go do 17-go deszcze, poczem pogoda piękna, czasem tylko krótką burzą i deszczem przerwana.



Spiewał słowik z całej mocy i we dnie i w nocy,
Czemuż dziś nie śpiewa?
Bo z żonczką kochanecką — I z dzieckami pi-
Poleciał na żniwa. [skłętami.]

Na łanie pszeniczki — Trzy hoże siostrzyczki,
Żną i żną!

Zwawo się zwijają — Snopeczki znaszają,
Czy zniosą?

Kukuleczka kuje — Kopeczki rachuje,
Czy zliczy?

Stoneczko już nisko — Wieczorek już blisko,
Cóż poczną?

Miły mocny Boże — Któż im dopomoże?
Jeden Ty!



Przypomnienia gospodarskie.

W tym miesiącu wiele i najważniejszych robót czeka gospodarza, gdyż rozpoczynają się sprząty. Korzystać z każdej pomyślanej chwili bez straty czasu, pamiętając, że co dziś zrobimy, to nasze, a jutro nie wiadomo co Bóg nadarzy. — Dobry gospodarz najpóźniej w Czerwcu powinien być wszystko potrzebne do żniwa przygotować sobie. Zatem wóz, sierpy, kosy, widły itd. — Stodoły powinny być już oczyszczone i ich dachy poreperowane. — Mamy do sprzątu i zwózki: siano, żyto, pszenicę, jęczmień, wczesny owies. Trzeba sprzątać u siebie, trzeba też i drugim większe gospodarstwo mającym pomagać, bo to ręka rękę myje, a dobrze, że się coś za tę pomoc zarobi, gdyż podczas żniw wydatki ciągle, a jak mówi przysłowie: kto smaruje ten jedzie, to jest: ten może pospieszyć z robotą, kto ma pieniądze na wydatki konieczne. — Pomimo tego natłoku robót, trzeba i o kartoflach i warzywach nie zapominać.



Rocznice narodowe.

- 3-go Wkroczenie Szwedów do Polski za króla Jana Kazimierza 1655 r.
- 4-go Konrad Mazowiecki nadaje Krzyżakom Prusy 1228 r.
- 14-go Zwycięstwo nad Moskalami pod Orszą 1508 r.
- 25-go Koronacja Władysława Warneńczyka 1434 r.
- 27-go Wybór Augusta II Sasa na króla 1697 r.

ZAPISKI.

*Dajcie mi ciepłą noc moją
Bojcie się Synem Bożym
y Kościołem się też miastem
Cosi między nie znajdy
Hut przed Piłatem uszy
Żeby spłuty ukrwanom
Nie widział Piłat radnego
Kuznia takiego niedrogo
Las go postat Herodow
Pobliżkiem Herodow
Ho man wczem swięc
Widział jako miwom
Kretek Herodow niewy
Mar nam ty jakie drow
Lydawie mi puciel
y Toje ruda widuch
Widział mi tola pywne
Nie wiem stwa radnego
Haj i mi Herodow gadaw
Kle pan mi seriat pokornie*



Sierpień



Dni	Kalendarz rzymsko-katolicki		Dni	Kalendarz słowiański		Słońca		Znaki	Księżycyca	
						wsch.	zach.		wschód	zachód
					g. m.	g. m.			g. m.	g. m.
32. 10 po Ziel. Św. O faryzeuszu i celniku. Łuk. 18.										
1	N	Piotra w ok. Fausta	1	Rolisław	4 21	7 50	☉	8 1	6 3	
2	P	NMP. Anielskiej	2	Światosława	4 22	7 49		8 23	7 11	
3	W	Znal. św. Szczepana	3	Letosław	4 24	7 47		8 45	8 20	
4	Śr	Dominika wyzn.	4	Ostromir błog.	4 25	7 45		9 7	9 31	
5	Cz	NMP. Snieżnej	5	Stanisław św.	4 27	7 43		9 32	10 42	
6	P	Przemien. Pańskie	6	Chlebosław	4 29	7 42		10 1	11 55	
7	S	Kajetana w., Donata	7	Olech św.	4 30	7 40		10 36	1 9	
33. 11 po Ziel. Św. O uzdrowieniu głuchoniemego. Mar. 7.										
8	N	Cyryaka, Emiliana	8	Niezamyśl	4 32	7 38	☉	11 19	2 21	
9	P	Romana, Juliana	9	Borys i Chleb	4 33	7 36		—	3 28	
10	W	Wawrzyńca, Pauli	10	Wawrzyniec	4 35	7 34		12 12	4 28	
11	Śr	Tyburcego, Zuzan.	11	Włodzimira	4 37	7 32		1 17	5 19	
12	Cz	Klary p., Hilaryi m.	12	Sława błog.	4 38	7 30		2 31	6 1	
13	P	Hipolita, Radegundy	13	Rosław	4 40	7 28		3 49	6 35	
14	S	Euzebiusza b. †	14	Dobrowój	4 42	7 26		5 11	7 4	
34. 12 po Ziel. Św. O miłosiernym Samarytaninie. Łuk. 10.										
15	N	Wniebowzięcie NMP.	15	Jaśław św.	4 43	7 24	☉	6 31	7 30	
16	P	Rocha, Tarsycyusza	16	Domorad	4 45	7 22		7 49	7 55	
17	W	Jacka w., Juliany	17	Miron św.	4 47	7 20		9 5	8 19	
18	Śr	Agapita, Firmina	18	Bronisława	4 48	7 18		10 17	8 44	
19	Cz	Juliusza, Mar. i Ruf.	19	Bolesław	4 50	7 16		11 27	9 11	
20	P	Bernarda, Samuela	20	Sobiesław	4 52	7 14		12 34	9 42	
21	S	Joanny, Fremiot w.	21	Kazimira	4 53	7 11		1 36	10 19	
35. 13 po Ziel. Św. O dziesięciu trędowatych. Łuk. 17.										
22	N	Tymot. Antonina	22	Radomił	4 55	7 9	☉	2 32	11 1	
23	P	Filipa i Benicyusza	23	Cichomir	4 57	7 7		3 22	11 49	
24	W	Bartłomieja ap.	24	Cieszymir	4 58	7 5		4 5	—	
25	Śr	Ludwika, Patrycyi	25	Namysław	5 0	7 3		4 42	12 43	
26	Cz	Zefiryna pm.	26	Włastymira	5 2	7 1		5 13	1 42	
27	P	Przen. r. św. Kaźm.	27	Przedzysław	5 3	6 58		5 40	2 45	
28	S	Augustyna, Aleks.	28	Wyszomir	5 5	6 56		6 5	3 51	
36. 14 po Ziel. Św. O służeniu Bogu i mamonie. Mat. 6.										
29	N	Ścięcie św. Jana	29	Racibor błog.	5 7	6 54	☉	6 28	4 59	
30	P	Róży Lim., Feliksa	30	Szczęśny św.	5 8	6 52		6 50	6 9	
31	W	Rajmunda, Paulina	31	Świętosław	5 10	6 49		7 13	7 20	

W środę po oktawie Wniebowzięcia NMP. Janogórskiej. - W święto Wniebowzięcia poświęcenie ziela.

Pomnik
króla Jana
Sobieskiego
w Warsza-
wie



Chwile z życia
Warszawy.

W roku 1556 od-
był się w War-
szawie pierwszy
Sejm polski.

SIERPIEŃ 1920

Zmiany księżycyca.

- ☾ Ostatnia kwadra: 7 sierpnia o godz. 2 po poł.
- ☉ Now: 14 sierpnia o godz 5 rano.
- ☾ Pierwsza kwadra: 21 sierpnia o godz. 12 w połud.
- ☽ Pełnia: 29 sierpnia o godz. 2 po południu.



Stuletni kalendarz.

Aż do 9-go deszcz, potem dzień pogody i znów deszcze aż do 19-go; od 20-go do 23 słonecznie i ciepło, potem aż do końca ciągle deszcze.



Przynosimy plon — Ze wszech czterech stron,
Tam z ożminy — Tu z jarzyny,
Tam ze sadów — Tu z leszczyny,
Bodajż wszystko plonowało,
Jak najlepszy plon wydało,
Ze wszech czterech stron.

Dalesz Boże pożąć — Daj Boże i spożyć,
Do nowego plonu — Starym chlebem dożyć.
Dobrym darz omlotem — Pulchnem ciastem
w dzieży,
W piecu pięknym wzrostem — Chleb błogosław
świeży.



Przypomnienia gospodarskie.

Spieszyć się ze sprzętem i zwózką żyta i pszenicy, jęczmienia, owsa, tatarski (hreczki), prosa, lnu itd., bo co pod dachem, to nasze. — Paszenie bydła po ścierniskach. — Wyrwanie lnu i konopi, ich moczenie a potem suszenie. — Skoro dzień słotny, korzystając z chwili młócić żyto i pszenicę do siewu, na chleb a zresztą gdy potrzeba koniecznie to i na targ. — Kartofle młode już się w tym miesiącu podbierają, lecz trzeba to nie za wcześnie robić, bo strata, a przytem tak, aby przez to podbieranie krzaki kartofli jak najmniej uszkodzić. Kto bowiem nieumiejętnie podbiera, niedobrze potem poruszone krzaki obysypie ziemią, ten samochcąc się na stratę naraża, gdyż krzaki co już były podbieranemi, zawsze potem już i tak stosunkowo mniejszy zbiór wydają, temże też więcej te, które były niestarannie podebrane.



Rocznice narodowe.

- 1-go Urodzenie Zygmunta Augusta 1520 r.
- 10-go Zwycięstwo Bolesława Krzywoustego pod Nakłem 1113 r.
- 11-go Uroczyste zatwierdzenie Unii Litwy z Polską na Sejmie w Lublinie 1569 r.
- 14-go Bolesław Chrobry zdobywa Kijów 1018 r.
- 20-go Kamieniec podolski dostaje się w ręce Turków 1672 r.
- 22-go Zwycięstwo hetmana Tarnowskiego nad Turkami pod Obertynem 1531 r.
- 29-go Wyparcie Szwedów z Krakowa 1656 r.

ZAPISKI.

Franciszek Gil
Franciszek Gil



Dni	Kalendarz rzymsko-katolicki	Dni	Kalendarz słowiański	Słońca		Znaki	Księżycy		
				wach. g. m.	zach. r. m.		wachód r. m.	zachód g. m.	
1	Sr	Bronisławy, Idziego	1	Dzierżysław	5 12	6 47		7 38	8 32
2	Cz	Stefana króla węg.	2	Czсібóg	5 13	6 45		8 6	9 45
3	P	Zenona, Eufemii p.	3	Przesława św.	5 15	6 42		8 39	10 58
4	S	Rozalii i Róży Wit.	4	Rościslawa	5 17	6 40		9 19	12 11

37. 15 po Ziel. Św. O wskrzeszeniu młodzieńca z Naim. Łuk. 7.

5	N	Wawrzyńca, Just.	5	Wodzisław	5 18	6 38		10 8	1 19
6	P	Zacharyasza, Eug.	6	Drogowit	5 20	6 36		11 7	2 20
7	W	Anastaz., Reginy †	7	Domostawa	5 22	6 33		—	3 12
8	Śr	Nar. Najśw. Maryi P.	8	Radostawa	5 23	6 31		12 15	3 56
9	Cz	Gorgoniusza, Serg.	9	Sobiebór	5 25	6 28		1 29	4 32
10	P	Mikołaja z Tol.	10	Władybój	5 27	6 26		2 47	5 3
11	S	Prota, Jacka, Teod.	11	Iściśław	5 28	6 24		4 6	5 30

38. 16 po Ziel. Św. O uzdrowieniu opuchłego. Łuk. 14.

12	N	Waleryana, Gwid.	12	Radzimir	5 30	6 21		5 24	5 55
13	P	Filipa Alex., Amata	13	Chronisław	5 32	6 19		6 41	6 20
14	W	Podw. św. Krzyża	14	Ziomomysł	5 33	6 17		7 55	6 45
15	Śr	Nikodema, Emila †	15	Budzimił	5 35	6 14		9 7	7 12
16	Cz	Kornela, Euzebiei p.	16	Sędzislaw	5 37	6 12		10 16	7 42
17	P	Piętn. ś. Francisz. †	17	Drogosław	5 38	6 9		11 21	8 17
18	S	Józefa z K., Zofii †	18	Dobrowit	5 40	6 7		12 20	8 57

39. 17 po Ziel. Św. O najprzedniejszym przykazaniu. Mat. 22.

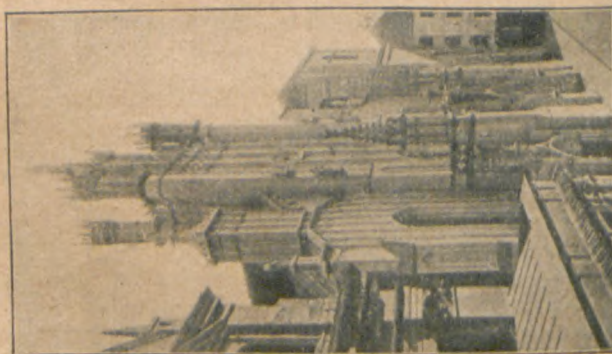
19	N	Januarego, Konst.	19	Krzepimir	5 42	6 5		1 13	9 43
20	P	Eustachego, Zuz.	20	Myślisław	5 43	6 2		2 0	10 34
21	W	Mateusza ap. i ew.	21	Bożydar	5 45	6 0		2 39	11 31
22	Śr	Tomasza z W. b.	22	Zelimir	5 47	5 58		3 12	—
23	Cz	Lina pm., Tekli p.	23	Bogusława	5 49	5 55		3 41	12 32
24	P	NMP. od wyk. niew.	24	Homir	5 50	5 53		4 7	1 37
25	S	Ładysława*), Kleof.	25	Świętopelk	5 52	5 50		4 31	2 44

40. 18 po Ziel. Św. O uzdrowieniu powietrzem ruszonego. Mat. 9.

26	N	Cypryana, Justyny	26	Ładysław b.	5 54	5 48		4 54	3 53
27	P	Przen. ś. Stanisława	27	Damian	5 55	5 46		5 17	5 4
28	W	Wacława, Eustachii	28	Wacław św.	5 57	5 43		5 41	6 17
29	Śr	Michała Archaniola	29	Dadzibóg	5 59	5 41		6 9	7 31
30	Cz	Hieronima, Zofii wd.	30	Imisław	6 0	5 39		6 41	8 46

W pierwszą niedzielę: Aniołów Stróżów. — W niedzielę po Nar. NMP.: Imienia NMP. — W trzecią niedzielę: NMP. Bolesnej, Wniepokal. Serca NMP. — *) Uroczystość kościelna w następną niedzielę.

Katedra
św. Jana
w
Warszawie



Chwile z życia Warszawy.
Katedra św. Jana jest budową gotycką z XV wieku.

Zmiany księżycy.

- ☾ Ostatnia kwadra: 5 września o godz. 8 wiecz.
- ☉ Now: 12 września o godz. 2 po południu.
- ☾ Pierwsza kwadra: 20 września o godz. 6 rano.
- ☉ Pełnia: 28 września o godz. 3 rano.



Stuletni kalendarz.

Od 1-go do 10-go piękna pogoda jesienna;
od 17-go do 25-go pochmurnie, chłodno i dżdżyto;
potem aż do końca pogoda piękna.



Szare gęsi podlatały — Na ścierniskach rozmawiały,
Jak jagódce dobrze w chłodzie — A dziewczęciu
w swoim rodzie,
Miła dla niej tam gościnka — U matuli, u tatynka,
Ale onych jak nie stanie — Cóż się z biedną wtedy
stanie?
Oto gdzie jej stąpa nóżka — To zarośnie dla niej
dróżka,
Płaczącami brzezunami — I gorzkimi piotunami.



Przypomnienia gospodarskie.

Nie tracąc czasu, kończyć sprzęt i zwózkę,
bo czem później to się robi, tem większe rosy
utrudniają schnięcie i zwykle potem deszcze pa-
dają. — Zbiór potrawu (otawy. Orać i siać
oziminę, pamiętając, że dobry gospodarz kończy
siew na Śty Michał, a już najdalej w kilka dni
potem. Dobry i wczesny zasiew ozimin liczy się
do najważniejszych czynności, ponieważ ozimina
to podstawa dochodu gospodarza. We Wrześniu
zwykle od połowy częste deszcze nieraz prze-
szkadzają gospodarzowi. Skoro więc rola zby-
tecznie wodą przesiąknie, wstrzymać się póki
znowu nie stężeje, od orania na żagon. W tym
przypadku skoro się znajdzie zboże zasiane, ale
jeszcze nie zabronowane, lepiej jest go dni kilka
nawet tak na wierzchu roli zostawić, niż przy-
bronowywać ziarno na błotnistej ziemi. — Kopać
kartofle celem ich przechowania na zimę. Na-
stępnie zabrać się do warzyw i do wyrębywania
kapusty.



Rocznice narodowe.

- 1-go Jan III. Sobieski oswobodzi Trembowłę od
obłężenia Turków 1674 r.
- 3-go Zwycięstwo Karola Chodkiewicza pod Mo-
skwą 1612 r.
- 6-go Stefan Batory zdobywa na Moskalach Wiel-
kie Łuki 1580 r.
- 7-go Wybór na króla Stanisława Augusta Ponia-
towskiego 1764 r
- 12-go Sławna odsiecz Wiednia przez Jana III,
Sobieskiego 1683 r.
- 21-go Ustąpienie Turków z Kamieńca Podolskiego
1699 r.
- 24-go Karol Chodkiewicz umiera w obozie pod
Chocimem 1621 r.
- 27-go Zwycięstwo Karola Chodkiewicza nad Szwe-
dami pod Kirchholmem 1605 r.

ZAPISKI.

Dotted lines for notes.



Dni	Kalendarz rzymsko-katolicki	Dni	Kalendarz słowiański	Słońca		Znaki	Księżycyca	
				wsch. g. m.	zach. g. m.		wschód g. m.	zachód g. m.
1 P	Remig., bł. Jana z D.	1	Znatusław	6 2	5 36	♋	7 19	10 0
2 S	Aniołów Str., Teof.	2	Stanimir	6 4	5 34	♌	8 5	11 10

41. 19 po Ziel. Św. O szacie godowej. Mat. 22.

3 N	Kandyda i Ewalda	3	Siemian	6 5	5 32	♍	9 1	12 14
4 P	Franciszka Seraf.	4	Bratusław	6 7	5 29	♎	10 6	1 9
5 W	Placyda m.	5	Zasław	6 9	5 27	♏	11 17	1 54
6 Śr	Brunona, Romana	6	Bronisław	6 11	5 25	♐	—	2 32
7 Cz	Winc. Kadl. *) Marka	7	Rostawa	6 12	5 22	♑	12 32	3 4
8 P	Laurencyi, Pelagii	8	Wojstawa	6 14	5 20	♒	1 49	3 32
9 S	Dyonizego, Ludw.	9	Dogomost	6 16	5 18	♓	3 5	3 57

42. 20 po Ziel. Św. O uzdrowieniu syna królewskiego. Jan 4.

10 N	Franc. B., Pauliny	10	Tomil	6 18	5 15	♈	4 21	4 21
11 P	Germana, Firmina	11	Dobromiła	6 19	5 13	♉	5 35	4 46
12 W	Maksymiliana	12	Grzmisław	6 21	5 11	♊	6 48	5 12
13 Śr	Edwarda, Daniela	13	Ziemisław	6 23	5 9	♋	7 58	5 41
14 Cz	Kaliksta, Ewarysta	14	Dzierzymir	6 25	5 6	♌	9 5	6 14
15 P	Jadwigi ks., Teresy	15	Długosława	6 27	5 4	♍	10 7	6 52
16 S	Saturnina, Florent.	16	Radzisław	6 28	5 2	♎	11 3	7 36

43. 21 po Ziel. Św. O dłużniku złośliwym i słudze. Mat. 18.

17 N	Wiktora, Małgorz.	17	Zytystawa	6 30	5 0	♏	11 52	8 25
18 P	Lukasza, Trylonii	18	Bratumił	6 32	4 58	♐	12 34	9 20
19 W	Piotra z Al., Pelagii	19	Ziemowit	6 34	4 55	♑	1 10	10 22
20 Śr	Jana Kant. *) Ireny	20	Budzisława	6 36	4 53	♒	1 41	11 20
21 Cz	Urszuli, Hilarjona	21	Daromiła	6 37	4 51	♓	2 8	—
22 P	Filipa bm., Korduli	22	Przybysława	6 39	4 49	♈	2 32	12 27
23 S	Ignacego, Teodora	23	Wlastymir	6 41	4 47	♉	2 55	1 34

44. 22 po Ziel. Św. O monecie czynszowej. Mat. 22.

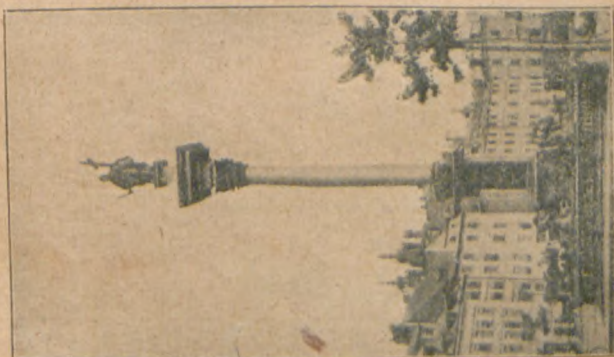
24 N	Rafala ar., Feliksa	24	Siemisław	6 43	4 45	♊	3 18	2 43
25 P	Chryzanta, Krysp.	25	Samomysł	6 45	4 43	♋	3 42	3 55
26 W	Ewarysta, Lucyana	26	Lutosław	6 46	4 41	♌	4 8	5 9
27 Śr	Sabiny, Florentego	27	Witomił	6 48	4 39	♍	4 38	6 25
28 Cz	Szymona, Tadeusza	28	Władybóg	6 50	4 37	♎	5 15	7 41
29 P	Zenobiusza, Narcyza	29	Daleił	6 52	4 35	♏	6 0	8 55
30 S	Marcela, Zenobii †	30	Przemysława	6 54	4 33	♐	6 54	10 4

45. 23 po Ziel. Św. O wskrzeszeniu córki Jaira. Mat. 9.

31 N	Lucyli, Antonina	31	Godzimir	6 56	4 31	♈	7 57	11 4
------	------------------	----	----------	------	------	---	------	------

*) Urocz. kość. w nast. niedz. — W 1. niedz. NMP. Różańc., w 2. Macierzyństwa NMP., w 3. Czystości NMP.

Kolumna
Zygmunta
III-go w
Warszawie



Chwile z życia Warszawy.
Kolumnę Zygmunta III-go
wznosił syn jego Władysław
IV-ty w roku 1644.

PAŹDZIERNIK 1920

Zmiany księżycy.

- ☾ Ostatnia kwadra: 5 października o godz. 2 rano.
- ☾ Nów: 12 października o godz. 2 rano.
- ☾ Pierwsza kwadra: 20 października o godz. 2 rano.
- ☾ Pełnia: 27 października o godz. 3 po południu



Stuletni kalendarz.

1-go i 2-go pogoda piękna; 3-go silna burza z grzmotem, potem dżdżysto aż do 9-go; od 16-go do 29-go pogodnie, potem mróz; 31-go pochmurno.



Biała pajęczyna — ścierniska okryła,
Oj, żebym ja prędko — szyć się nauczyła;
Wyszyłabym sobie — bielutką chusteczkę,
Braciszku memu — w jesień koszuleczkę;
Nosiłby braciszek — jesienną koszulkę,
Modliłby się ze mną — za naszą matulkę,
Ze mnie tak młodziuchną — szyć już nauczyła,
Zem mu koszuleczkę na jesień uszyła.



Przypomnienia gospodarskie.

Kończyć conajprędzej siew oziminy; kto późno siew, ten mało zbiera. — Kończyć zbiór kartofli, warzyw i kapusty, bo to o przymrozki nocne w tym miesiącu nie trudno, a dzień coraz krótszy, to i robota coraz mniejsza. — Gdy już zasiane i wszystko sprzątnięte, przez co gospodarz trochę swobodniejszy, niechże się stara ile tylko można przed mrozami popodorywać swe role pod przyszłe jarzynne zasiewy, zaczynając od najtwardszych kawałków pola. Ziemia się przez to lepiej sprawi, a na wiosnę jakby znalazł to, co przed zimą zorał. Młocka zboża. — Żywnienie krów dojnych głąbami i liśmi odrzucać od kapusty. — Trzoda chłевна na kartofliskach dobrze się żywi. Jeżeli z rana białe przymrozki bywają, to potrosze dawać suchej paszy inwentarzowi, żeby na czczo nie wychodził na pastwisko, czego dobry gospodarz bardzo przestrzega. Międlenie lnu i konopi.



Rocznice narodowe.

- 1-go Pobicie Czechów u Mostów Krzywickich 1110 r. — Odparcie Czechów od Wrocławia 1459 r.
- 2-go Sejm w Horodle utwierdza połączenie Litwy z Polską 1413 r.
- 3-go Pobice Szwedów pod Rewlem 1609 r. — Moskale wchodzą do Smoleńska 1654 r.
- 4-go Bitwa z Wołochami na Pokuciu 1509 r. — Koronacja Stanisł. Leszczyńskiego 1705 r. — Główny korpus polski wchodzi do Prus 1831 r.
- 7-go Klęska i śmierć hetmana Stanisława Żółkiewskiego pod Cecorą 1620 r.
- 10-go Klęska pod Maciejowicami 1794 r.
- 15-go Śmierć Tadeusza Kościuszki w Solurze w Szwajcaryi 1817 r.
- 19-go Książę Józef Poniatowski ginie w bitwie pod Lipskiem 1813 r.
- 24-go Klęska od Wołochów pod Bukowiną 1492 r. — Kozacy ustępują z pod Lwowa 1648 r.

ZAPISKI.

Zapiski gospodarskie



Listopad



Dni	Kalendarz rzymsko-katolicki	Dni	Kalendarz słowiański	Słońca		Znaki	Księżycyca		
				wsch. g. m.	zach. g. m.		wschód g. m.	zachód g. m.	
1	P	Wsz. Święt. Juliany	1	Warcisław	6 58	4 29	☾	9 8	11 54
2	W	Dzień Zad. Wiktor.	2	Witymir	7 0	4 27	☾	10 23	12 34
3	Śr	Huberta b., Sylwii	3	Chwalisław	7 2	4 25	☾	11 39	1 7
4	Cz	Karola b., Modesty	4	Mściwój	7 3	4 23	☾	—	1 36
5	P	Zachar. i Elżbiety	5	Sławomir	7 5	4 22	☾	12 54	2 1
6	S	Feliksa, Leonarda	6	Sławomir	7 7	4 20	☾	2 8	2 25

46. 24 po Ziel. Św. O kąkolcu między pszenicą. Mat. 13.

7	N	Amaranta, Florent.	7	Zytmir	7 9	4 18	☾	3 21	2 49
8	P	Gotfryda i Maura	8	Sędziwój	7 11	4 16	☾	4 33	3 14
9	W	Teodora żol. Ursyna	9	Bogodar	7 13	4 15	☾	5 43	3 41
10	Śr	Andrzeja z Aw.	10	Ludomir	7 14	4 13	☾	6 51	4 12
11	Cz	Marcina, Felicyana	11	Spitosław	7 16	4 11	☾	7 55	4 48
12	P	5 Braci Polaków	12	Newostaw	7 18	4 10	☾	8 54	5 30
13	S	Stanisl. Kost.*, Dyd.	13	Wszerad	7 20	4 8	☾	9 46	6 17

47. 25 po Ziel. Św. O ziarnku gorczycznym. Mat. 13.

14	N	Józafata, Jukunda	14	Wodzimir	7 22	4 7	☾	10 31	7 10
15	P	Leopolda, Gertrudy	15	Przebysław	7 23	4 5	☾	11 9	8 8
16	W	Edmunda, Otmara	16	Radomir	7 25	4 4	☾	11 42	9 8
17	Śr	Salomei, Grzegorza	17	Zbysława	7 27	4 2	☾	12 10	10 12
18	Cz	Anieli M, Romana	18	Stanisław	7 29	4 1	☾	12 34	11 17
19	P	Elżbiety wd.	19	Drogomira	7 31	4 0	☾	12 57	—
20	S	Feliksa Wal., Eust.	20	Sędzimir	7 32	3 59	☾	1 19	12 24

48. 26 po Ziel. Św. O okropnym spustoszeniu Mat. 24.

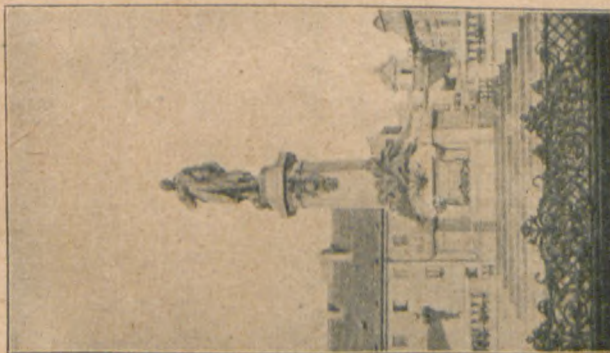
21	N	Alberta b. w.	21	Sław	7 34	3 57	☾	1 42	1 33
22	P	Cecylii, Filemona	22	Wszemiła	7 36	3 56	☾	2 7	2 44
23	W	Klemensa, Lukrecyi	23	Miływój	7 38	3 55	☾	2 35	3 58
24	Śr	Jana od Krzyża	24	Darosław	7 39	3 54	☾	3 8	5 14
25	Cz	Katarzyny p. i m.	25	Chwalimira	7 41	3 53	☾	3 49	6 31
26	P	Sylwestra op. Piotra	26	Lechosław	7 43	3 52	☾	4 39	7 44
27	S	Waleryana, Maks.	27	Tomir	7 44	3 51	☾	5 40	8 50

49. 1 Adwentu. O znakach na niebie i na ziemi. Euk 21.

28	N	Grzegorza III p.	28	Gościsław	7 46	3 50	☾	6 51	9 46
29	P	Saturnina, Illumin.	29	Przemysł	7 47	3 49	☾	8 7	10 32
30	W	Andrzeja, Justyny	30	Ludosław	7 49	3 49	☾	9 25	11 9

* Urocz. kość. w nast. niedz. — W niedz. po 2-gim list.: Opieki NMP. — W 3. niedz.: Ofiarowanie NMP.

Pomnik
Mickiewicza
w
Warszawie



Chwile z życia Warszawy.
Pomnik Mickiewicza, dzieło słynnego rzeźbiarza Godebskiego, wzniesiony został w Warszawie w roku 1898 w setną rocznicę urodzin wieszczka.

Zmiany księżyca.

- (Ostatnia kwadra: 3 listopada o godz. 9 po połud.
 ☉ Nów: 10 listopada o godz. 5 po południu.
 ☽ Pierwsza kwadra: 18 listopada o godz. 9 wiecz.
 ☽ Pełnia: 26 listopada o godz. 3 rano.



Stuletni kalendarz.

Niemilo i pochmurnie aż do 5-go; od 6-go do 8-go słonecznie; od 9-go do 18-go zimne deszcze, w końcu śnieg, tak, że jest już zupełnie czas zimowy; ostatnie zwłaszcza dni bardzo zimne.



O mój Boże, mocny Boże! com ja zawiniła?
 Lżem ja się tak ubóchną na świat urodziła?
 Nie frasuj się, moje dziecie, jest ci Bóg na niebie,
 Ma on jeszcze tyle bogactw, że ma i dla ciebie;
 Jenó trza go pięknie prosić a szczerze pracować,
 Nie będzie też Pan Bóg taki, żeby ci żalować.

Oj, szkoda ci, szkoda liczka rumianego,
 Kiedy serce nie do Boga, rączki do niczego;
 Oj, pożał się, miły Boże, tej młodej urody,
 Kiedy w sercu tyle cnoty jak w koszyku wody.



Przypomnienia gospodarskie.

Orać póki można pod wiosenne siewy. —
 Wywozić gnój pod kartofle lub jęczmień, lecz starać się go zaraz rozrzucić i przyorać. Gdy rozrzucony a nieprzyorany, to listopadowe deszcze, a potem wiosenne roztopy, co najżyźniejsze części wypłócą z niego i uniosą. Pożał się Boże takiej szkody, na jaką się wystawia niedbały, czy nieświadomy gospodarz. — Młócenie zboża, aby była słoma na paszę i podściół, a przytem, żeby później jak śniegi spadną mieć czas do zarobkowania wywózkami. — Przystosobienie opału, bo mrozy się zbliżają. — Odtąd regularnie co sobota wycierać w kominie sadze, gdyż się więcej pali. Przez zaniedbanie tej małej niiby rzeczy, ilu to gospodarzy co rok wychodzi na nędzę, bo niewytarte sadze zapalają się łatwo. — Jeżeli śniegu nie ma, nie wypędzać na czczo inwentarza na pastwisko.



Rocznice narodowe.

- 1-go Bitwa Konfederatów Barskich pod Lanckoroną 1769 r.
- 3-go Śmierć Kazimierza Wielkiego 1370 r.
- 4-go Rzeź Pragi po upadku powstania Kościuszki 1794 r.
- 8-go Ziemia spiska drogą zastawu przyłączona do Polski 1412 r.
- 11-go Władysław III, ginie pod Warną w bitwie z Turkami 1444 r.
- 16-go Wcielenie Rzeczypospolitej krakowskiej do Austrii 1846 r.
- 17-go Wybór na króla Jana Kazimierza 1648 r.
- 18-go Szwedzi rozpoczynają oblężenie Częstochowy 1655 r.
- 28-go Przyłączenie Inflant do Polski 1561 r.
- 30-go Polacy jako legioniści Napoleona zdobywają wawóz Samo-Sierę w Hiszpanii 1808 r.

ZAPISKI.



Dni	Kalendarz rzymsko-katolicki	Dni	Kalendarz słowiański	Słońca		Znaki	Księżycyca	
				wsch. g. m.	zach. g. m.		wachód g. m.	zachód g. m.
1	Śr Eligiusza b., Natalii	1	Samosław	7 50	3 48	☾	10 43	11 40
2	Cz Bibiany, Aurelii	2	Szulistawa	7 52	3 47	☾	11 58	12 7
3	P Franciszka Ksaw.	3	Wiślimir	7 53	3 47	☾	—	12 31
4	S Barbary, Piotra Chr.	4	Lubomila	7 54	3 46	☾	1 12	12 55

50. 2 Adwentu. O Janie we więzieniu. Mat. 11.

5	N Anastazego, Krysp.	5	Spitosława	7 56	3 45	☾	2 24	1 19
6	P Mikołaja b. i w.	6	Jarogniew	7 57	3 45	☾	3 33	1 45
7	W Ambrożego bwdk. †	7	Ludomyśl	7 58	3 45	☾	4 41	2 14
8	Śr Niep. Pocz. NMP.	8	Boguwola	7 59	3 44	☾	5 46	2 47
9	Cz Leokadyi, Waler.	9	Wyszostawa	8 1	3 44	☾	6 46	3 26
10	P NMP. Loreta, Julii	10	Radzistawa	8 2	3 44	☾	7 40	4 11
11	S Damazego, Sabiny	11	Wojmir	8 3	3 44	☾	8 28	5 2

51. 3 Adwentu. O świadectwie św. Jana. Jan 1.

12	N Aleksandra, Dyon.	12	Wolidar	8 4	3 44	☾	9 9	5 58
13	P Lucyi p. m., Otylii	13	Władysława	8 5	3 44	☾	9 44	6 58
14	W Izydora, Spirydona	14	Sławibór	8 6	3 44	☾	10 13	8 0
15	Śr Wiktora, Waler. †	15	Wolimir	8 7	3 44	☾	10 39	9 4
16	Cz Euzebiusza, Alb.	16	Zdzisława	8 8	3 44	☾	11 2	10 9
17	P Łazarza, Floryana, †	17	Zyroslaw	8 9	3 44	☾	11 24	11 15
18	S Oczek. NMP. †	18	Wszemir	8 9	3 44	☾	11 46	—

52. 4 Adwentu. O rządach Tiberyusza. Łuk. 3.

19	N Tymot., Urbana	19	Mścigniew	8 10	3 44	☾	12 8	12 23
20	P Teofila, Juliusza	20	Bogumiła	8 11	3 45	☾	12 33	1 34
21	W Tomasza, Sewer.	21	Tomisław bł.	8 11	3 45	☾	1 2	2 47
22	Śr Zenona, Honor.	22	Drogomir	8 12	3 46	☾	1 38	4 2
23	Cz Wiktoryi, Magdal.	23	Słowomira	8 12	3 46	☾	2 22	5 16
24	P Adama i Ewy †	24	Godysława	8 12	3 47	☾	3 17	6 27
25	S Boże Narodzenie	25	Grzymisława	8 13	3 48	☾	4 24	7 30

53. Niedziela po Narodz Chr. P. O Szymonie i Annie. Łuk. 2.

26	N Szczepana pierw. m.	26	Wróciwój	8 13	3 49	☾	5 40	8 23
27	P Jana apost. i ew.	27	Radomyśl	8 13	3 49	☾	7 0	9 6
28	W Młodzianków mm.	28	Godzistaw	8 13	3 50	☾	8 22	9 41
29	Śr Tomasza K., Dawida	29	Goślaw bł.	8 14	3 51	☾	9 41	10 10
30	Cz Sabina, Eugen.	30	Ludomił	8 14	3 52	☾	10 58	10 36
31	P Sylwestra, Melanii	31	Lasota	8 14	3 53	☾	—	11 1

W dzień św. Szczepana święcą owies.

Kościół
ś. Floryana
na Pradze w
Warszawie



Chwile z życia
Warszawy.

Herbem Warsza-
wy jest Syrena;
stąd często nazwa:
gród Syreni.

Zmiany księżycy.

- (Ostatnia kwadra: 2 grudnia o godz. 5 po poł.
 ☉ Now: 10 grudnia o godz. 11 przed południem.
 ☾ Pierwsza kwadra: 18 grudnia o godz. 4 po poł.
 ☽ Pełnia: 25 grudnia o godz. 2 po południu



Stuletni kalendarz.

1-go i 2-go bardzo zimno, poczem przychodzą śniegi; 8-go deszcz; 10-go marznie i wyjaśnia się; od 21-go do 25-go powietrze niemile; potem aż do końca zimno.



Gałązka zielona po wodzie płynęła;
 Ja wołałam na nią, ona niestanąła.
 Od pnia rodzinnego biedna oddzielona...
 Jakżeśmy podobne, gałązko zielona!
 Zaden cię też krzaczek niezatrzyma w biegu!
 Płyn sobie, niebogo, staniem ty przy brzegu,
 I ja się tem cieszę biedna, opuszczona.
 Jakżeśmy podobne, gałązko zielona!



Przypomnienia gospodarskie.

Młócić zboże. — Jeżeli mrozy tęgie a suche, to korzystając z tego, rozpocząć omłot koniczyny na nasienie. — Jeżeli kto tego w Listopadzie jeszcze nie zdołał zrobić, to spieszyć się, aby w pierwszych dniach tego miesiąca tak zaopatrzyć chlewy i obory, żeby ciepłymi dla inwentarza były. — Toż samo i co do domu mieszkalnego. Powylepiać z wierzchu szpary. Obrzucić go ziemią z dołu żeby nie wiało. Niektórzy perzem okładają od dworu ściany, zwłaszcza od strony północnej i wschodniej, bo stąd idą najmroźniejsze wiatry. Postępowanie to bardzo dobre, byle perz potem na wiosnę odjąć i na podściół użyć. — Kury dobrze w adwencie żywione, wcześniej się nieść poczynają, a wcześniejsze jaja droższe. — Pora tuczenia trzody chlewnej na potrzeby domu czy na sprzedaż. Pamiętać, żeby pokarm trzodzie nie zamarzl. W ciepłych oborach i chlewach przy jednakowej paszy zawsze się zwierzęta o wiele lepiej utrzymują niż w zimnych.



Rocznice narodowe.

- 8-go Wybór Zygmunta I. Starego na króla w Piotrkowie 1507 r.
 9-go Jan Kazimierz gromi Tatarów pod Zwańcem 1653 r.
 11-go Koronacja Aleksandra I. 1501 r.
 13-go Śmierć Stefana Batorego w Grodnie na Litwie 1586 r.
 15-go Wybór na króla Stefana Batorego 1576 r.
 23-go Odparcie napadu Tatarów na Kraków 1286 r.
 24-go Nadanie Konstytucji Polsce kongresowej 1815 r.
 25-go Szwedzi z hańbą i wstydem uchodzą z pod Częstochowy 1655 r.
 26-go Nadanie Infantom przywilejów i tytułu księstwa 1566 r.
 27-go Koronacja Zygmunta III. 1587 r.
 29-go Konfederacja tyszowiecka 1655 r. dla wyparcia Szwedów z kraju.

ZAPISKI.

WETERYNARZ DOMOWY.

Maść zielona na rany. Uciera się na proszek grynspan, gumę mastyks i mirrę, każdego po 2½ dkgr.; bierze maści ślazowej, topolowej, olejku laurowego, terpentynowego każdego po 2½ dkgr. i wszystko dobrze razem miesza.

Po wymyciu rany czystą wodą u bydlęcia, pochodzącej czy to od ubodzenia rogami, ukąszenia, lub skaleczenia, smaruje się takową powyższą maścią i obwiązuje. Czyszczenie to i zawieszanie rany powtarza się codziennie; uważać jednak należy, aby materya z rany wolny odpływ miała i stosownie była opatrywana.

Stłuczenia i uderzenia. Nie zawsze połączone jest z przebicciem skóry, tylko uszkodzone pod nią mięso, przechodzi w zgniliznę i w postaci wrzodu lub nabrzmiałego guza okazuje się. Namacać można palcami pod skórą zebraną materyą, a znalazłszy ją przeciąć skórę, wycisnąć, wymyć ranę i raz na dzień zieloną maścią smarować. Otwór który się robi, nie ma być mały, gdyż taki prędkoby się zagoił, zarósł i materyę pod skórą zamknął.

Krosty. Gdy się okażą w pysku cielęcia, na języku i podniebieniu, przeszkadzają mu jeść. Krosty te są zwykle białe; uleczyć je z nich można wzięwszy ¼ litra octu, łyżkę miodu i dobrze zmieszawszy, trzy razy dziennie pysk mu przemywając. Przydawszy do tej mieszaniny 8 gramów alunu w proszku, lekarstwo będzie jeszcze skuteczniejsze. Jeżeli by wkrótce skutek nie nastąpił, trzeba dać wypić cielęciu 2 gramy rabarbaru z 8 gramami magnezyi w stósownej ilości wody rozpuszczonych.

Oslabienie zębów. Krowy szczególnie po ocieleniu podpadają tej słabości; chwieją się im zęby trzonowe tak, iż należyście przeżuwać nie mogą. W tym wypadku bierze się 17 gramów alunu, ½ litra octu i cokolwiek miodu, miesza się dobrze wszystko i płynem tym dwa razy na dzień przemywa krowom dziąsła.

Robaki w uszach. Gdy bydlę głową wstrząsa, uchem o ścianę lub drzewo trze lub tylną nogą usiłuje się drapać, wtedy potrzeba obejrzeć mu ucho, w którym częstokroć muchy jaja składają, a z tych wylęgłe robaki skórę ucha toczą. Za pomocą drewnianej łyżki starać się trzeba wyjąć je o ile można a następnie wlać łyżką letnio cieplej oliwy w ucho. Następnie umoczywszy chorągiewkę pióra w terpentynowym olejku — smaruje się ranę. Smarowanie to powtarza się dopóty, aż rana dobrze się zagoi.

Zbicie lub nadłamanie rogu. Zdarza się często zwłaszcza na pastwiskach, że bydlęta zbijają sobie rogi lub je nadłamu-

ją. Ze zbitym nie ma już co robić, jak tylko krwią broczące rany oblepić mazią wozową lub smołą, aby do nich nie zakradła się nieczystość i muchy przystępu nie miały. Jeżeli róg nie całkiem został ułamany, ale się jeszcze głowy częścią trzyma, starać się trzeba ustawić go należyście, umocnić aby na nowo przyrósł; na samą zaś ranę kładzie się pakuły i obwiązuje płótnem w rzadkiej smole umoczonem.

Stłuczenie lub zranienie nogi. Miejsce uszkodzone macza się na zimno wodą z ½ litra wódki i 7 dkgr. octanu ołowiu (ekstraktum saturni) albo lepiej jeszcze, obwinawszy cierpiące miejsce szmatą, odwilża się szmatę pomienioną wodą o ile takowa wysychać będzie. Uskutecznia się to tak długo, dopóki puchlina nie zejdzie. Skutek tej kuracyi następuje zwolna, lecz pewnie.

Skaleczenie racic. Należy nasamprzód dobrze miejsce zranione obejrzeć, czy w niem nie uwiązł gwóźdź, cierń, szkło lub co podobnego, i jeżeliby było, wyjąć takowe, przyłożyć potem szmatkę w zimnej wodzie zamoczoną i obwiązawszy nogę, co godzinę wstawić ją z obwinieniem w naczynie zimną wodą nalane. W 2 lub trzech dniach rana się zgoi. Jeżeli rana już zaropiała, zerznąć trzeba w tem miejscu róg aż do mięsa, tak, iżby materya dobrze odchodzić mogła. Następnie przykładą się na ranę pakuły, takowe obwiązuje i w wodę zimną, jak wyżej, nogę wstawia. Po dwóch dniach ranę opatruje się na nowo, i tak postępuje, dopóki miejsce zranione się nie zagoi i rogiem nie zarośnie. Przyspieszy się lepiej zagojenie, kiedy się codziennie puści na ranę kilka kropli terpentynowego olejku.

Puchlina w wymionach krów. W czasie cielienia lub po ocieleniu, puchną niekiedy krowom wymiona i tworzą się w nich twarde guzy. W takim razie nacierać trzeba zwolna i łagodnie wymię, tam gdzie jest opuchłe, maścią, którą się z 7 dkgr. maści ślazowej i z 7 dkgr. olejku laurowego zmieszawszy razem — sporządza, i wydając z niego mleko trzy razy na dzień. Czasami puchnie jedno lub więcej z promion, należy z nich doić podobnież mleko i smarować je też samą maścią.

Liszaje. Najczęściej słabość ta nawiedza cielęta, z których sierść schodzi; tworzą się w tej słabości po skórze gołe plamy a na tych strupy, z których czasem wydobywa się materya, częściej jednak bywają suche, kruszące się. Choroba ta jest zaraźliwą, a przyczyną jej są złe pasze lub niedbałe utrzymanie. Smarować je trzeba terpentynowym olejkiem, a w 2 lub 3 tygodniach pewno zginą. Jeżeliby to nie pomogło, odłączyć trzeba chore bydlę i zasięgnąć rady weterynarza.



RATUSZ.

KOŚCIÓŁ PANNY MARYI.

GDAŃSK.

Już w XIII i XIV wieku poczyna słynać, jako miasto portowe, Gdańsk, którego dzieje ściśle, mimo zmiennych kolei losu, związane były z Polską.

Świełne początki handlu gdańskiego przytłumiła żelazna pięść krzyżacka. Zdobyto miasto podstępny, morderczym napadem, wycięto część ludności, precz wygnano niedobitków, zburzono, z ziemią zrównano spokojne siedziby, zostawiono pustkowie i zgłiszcza. Półtora wieku musiał wytrzymać Gdańsk pod surową władzą zakonną. Dotkliwie zostało powstrzymane w swoim rozwoju miasto. Dzięki jedynie swemu położeniu geograficznemu i w tym fatalnym okresie pozostało ważnym europejskim punktem handlowym, goszcząc u siebie po paręset okrętów angielskich, dochodząc do obrotów milionowych, wybierając się na czoło wszystkich miast europejskich.

Polska, odcięta od morza, często prowadziła boje z Zakonem, uwiecznione nareszcie zwycięstwem Kazimierza Jagiellończyka i powrotem do brzegów Bałtyku. Odgłos sukcesów oręża polskiego radosnem echem odbił się w sercach Gdańszczan; odtąd wstępowała i oni w okres swobody i rozkwitu pod berłem polskiem. Natychmiast też podwoiła się i potroiła liczba przybawających okrętów; prawie do 30 tysięcy lasztów

ładunku i dwudziestu milionów talarów wartości dochodził wywóz roczny zboża polskiego z Gdańska. Jeden tylko Amsterdam mógł równać się podówczas z polskim Gdańskiem, jako ogniskiem wszechświatowego handlu zbożowego. Następuje równocześnie rozwój innych miast, położonych nad rzekami spławnymi. Kupcy z Krakowa na własnych okrętach puszczają się do Anglii, Holandyi i Hiszpanii.

Wywdzięczając się Polsce za nadane przywileje, nieraz śpieszyli Gdańszczanie z poważną pomocą wojenną na morzu.

Związany z Rzeczypospolitą polską, Gdańsk wiernym pozostał jej do ostatka. Szlachetne to miasto, jedno z najpiękniejszych w Europie, pamiętało dobrze o przywilejach, udzielonych mu przez Jagiellonów, Wazów i spadkobierców ich tronu. Gdy wojsko pruskie wchodziło do Gdańska, aby zająć nadmorską strażnicę Polski i zagarnąć ją pod twardą rękę brandenburskich dawnych wazalów, płacz powszechny rozległ się na ulicach dumnego grodu, a rozpaczone tłumy rzuciły się z bronią w rękę na potomków krzyżackich swych ciemiężycieli. I po dziś dzień Polak, stanąwszy wśród murów wieżami świątyni strzelającego w niebo Gdańska, nie uczuje się obcym w tem mieście. Wicher królewskich wspo-

mień owieje mu rozręsknioną duszę, a białe me-
wy, szybujące nad falami morza, przypomną mu
inne srebrzyste ptaki, które tak długo otulały
potężnymi skrzydły cudny szlachetny królewski
Gdańsk...

O dniach potęgi zadumany,
Co z murów twoich jeszcze tchnie.
Bądź pozdrowiony, ze snów mi znany,
Mocarnej Hanzy stary lwie!
W gołębi morskich pióropuszu,
W szacie, co zblakłem złotem lśni,

Koronnych grodów patrycyusza,
Królewski Gdańsku! witaj mi!

Tak płynie Wisła, jak płynęła,
I szumi Bałtyk, jako wprzód,
O stary Gdańsku! ludzkie dzieła
Przetrwają królewski ducha cud!
Przez zagojone krwawe blizny
Może się ziszczać wielkie dni, —
Latarnio morska Słowiańszczyzny.
W śnie o przyszłości witaj mi!

O, - O!



MARYA KONOPNICKA

W GDAŃSKU.

Pani Möller. Przez »o«. Konieczne przez
kreskowane »o«.

Nie jest przecież z tych zwykłych Mellerów.
Patrycyat gdański.

Drobna postać, uśmiechnięta słonecznie,
tą nikłą słonecznością późnej jesieni, co to je-
szcze świeci, ale już nie grzeje. Postać stylowa,
od rozwianego w koronkach czepeczka do
płytkich ciżemek na wysokich korkach.

Małe, szczupłe, pomarszczone rączki w czar-
nych jedwabnych mitynkach. Spłowiełe włosy,
staromodnie przyczesane w szmelisy, oczy bar-
dzo modre, mrużące się lekko pod zaróżowio-
nym rąbkiem cienkiej podłużnej powieki. Twarz
wyrazowa, blada, delikatna, o wytwornych ry-
sach, głos cichy, zamatowany przydechem trochę
wąskiej, trochę zapadłej piersi.

Coś zeszlowieczonego, coś portretowego.

Dokoła — rama.

Salonik, nie salonik; coś, jakby muzeum. In-
krustowane, zalotne, na komarzyczych nóżkach biu-
reczka; komódki wątle i komódki brzuchate; mi-
sterne stoliczki z intarsją, z mozaiką drzewną;
tace, żardinery, półeczki, na gryfach oparte; dzi-
wne kombinacje sekretarzyków, na kręconych
słupkach, sepeciki, rznięte nadobnie, kunsztowne
skrzynki i truchła.

Wszystko — czeczotkowe.

Dopiero w głębi tego dziwnego składu
osobliwszych, wykwintnych i lekuchnych sprzę-
tów, dwie ciężkie potężne szafy, udziałane w dę-
bie, całe w girlandach kwiecica i amorków, z prze-
wijaniami przez pęki kłosów i owoców senten-
cyami, wypisanemi złotem tak zawile, jak tylko
zawili być może stary, wymyślny, gotycki
alfabet.

— Nie na sprzedanie. A, uchwaj Boże!
Same pamiątki rodzinne. Ród stary.

Pani Möller, »von Myszkowska« z domu. Z
dobrej polskiej szlachty. Z tej prawdziwej, z tej
rycerskiej szlachty.

— Teraz to w Gdańsku nie płaci. Ale da-
wniej! O, dawniej głośno o tem było.

Ojciec, »Joseph von Myszkowski« mistrzem
nadobnej stolarszczyzny będąc, niewiele miał cza-
su myśleć o szlachectwie swoim.

Ale dziad...

Dziad wieczorami, odpiąwszy z haftki zielony
czamlotowy fartuch, iż on to pierwszy ową sztukę —
tu śliczny, rzewny ruch zmrużonych oczu
i malej rączki ku potężnym szafom, — do rodu
wprowadził, rozповідаł o tem rzeczy wprost
do płaczu.

A jaka ta Polska, a jaka sławna, a jakie mia-
sta, dwory, jakie fortece, wojska, kościoły...

Po prawdzie, nie był on tam nigdy, ale od
ojca swego to miał i bardzo się w tem powia-
daniu kochał.

I wszystko zresztą poszło z kochania. No,
i z wojny.

Bo właśnie czasu wojny, kiedy się dużo ob-
cego narodu do Gdańska wparło, rycerz jeden
polski, poranion na bitwie, nie mógł za innymi
i w mieście pozostał. Leczyli go doktorzy, aż
wyleczyli.

Cóż, kiedy czarne oczy gdańskiej mjeszcza-
neczki pobiły go, prawie że śmiertelnym razem.
Trzy dni, trzy noce nie wychodził rycerz z co
najprzedniejszej piwnicy Joachima Kimtza, wprost
starej zbrojowni, i, patrząc na siedzące po gzym-
sach jej gryfy, pił miód z imbirerem, a naprze-
mian wino.

Co gdy mu w serdecznej opresyi, jaką cier-
piał, ulgi przynieść nie chciało, i owszem przy-
mnożyło w nim upalność żądz, drugie trzy dni
i trzy noce pił w zacnej piwnicy Radzieckiej pod
samym Ratuszem, smakując ratafie z przeróżnych
gąsiorów. Tak go jednak afekty sparły, że i to
mu niewiele pomogło.

Wziął tedy na odwagę, i uderzył o swoje
czarnoogie cudo.

Mökinsówna była. Seniora Mökinsa jedyna-
czka córka.

Ród Mökinsów nie bardzo się w chudej
szlachetczyźnie kochał.

Zmierzyły się tedy dwa przeciwne duchy. Rycerz mniemał się zniżyć ku mieszczańkom onym, Mõkinsy zaśię z góry i przez ramię poglądali na bezdomnego wojaka.

Rekurować jawnie, nie rekurowali, gdyż załotnik okrutnie wasy jeżył, w szablę trzaskał i rękami machał; ale zwlekali.

— Ni tak, ni siak.

Gdy wszakże pięknej Trudzie zaczęło wszystko z rąk lecieć, że co najcenniejsze farfury co dnia w skorupy szły, poznała matka, jako tu odmowa na nic, gdyż panna w rycerzu się kocha.

Iż wypróbowaną jest w całym Gdańsku rzeczą, jako tak wielkie szkody i liczne ubytki tam tylko przygodzić się mogą, gdzie miłość się wda i zastanowienie odbiera.

Nie było tedy co, tylko się do przyzwolenstwa nakłonić; tem bardziej, iż rycerz głośno deklarował, jako tę pannę zbrojną ręką będzie brał, gdyby mu jej po dobrej woli nie dano, żyć bez niej nie mogąc żadnym kształtem ni sposobem.

W trzy tedy niedziel od tej deklaracyi ruszył orszak weselny z kamienicy Mõkinsów, z tamtej strony zwodzonego na Motławie mostu, wprost

do Maryackiego kościoła, strojnie, barwnie uroczyście, świetnie.

Pan Młody konno i zbrojno, by karp, łuską pozłocistą kryty.

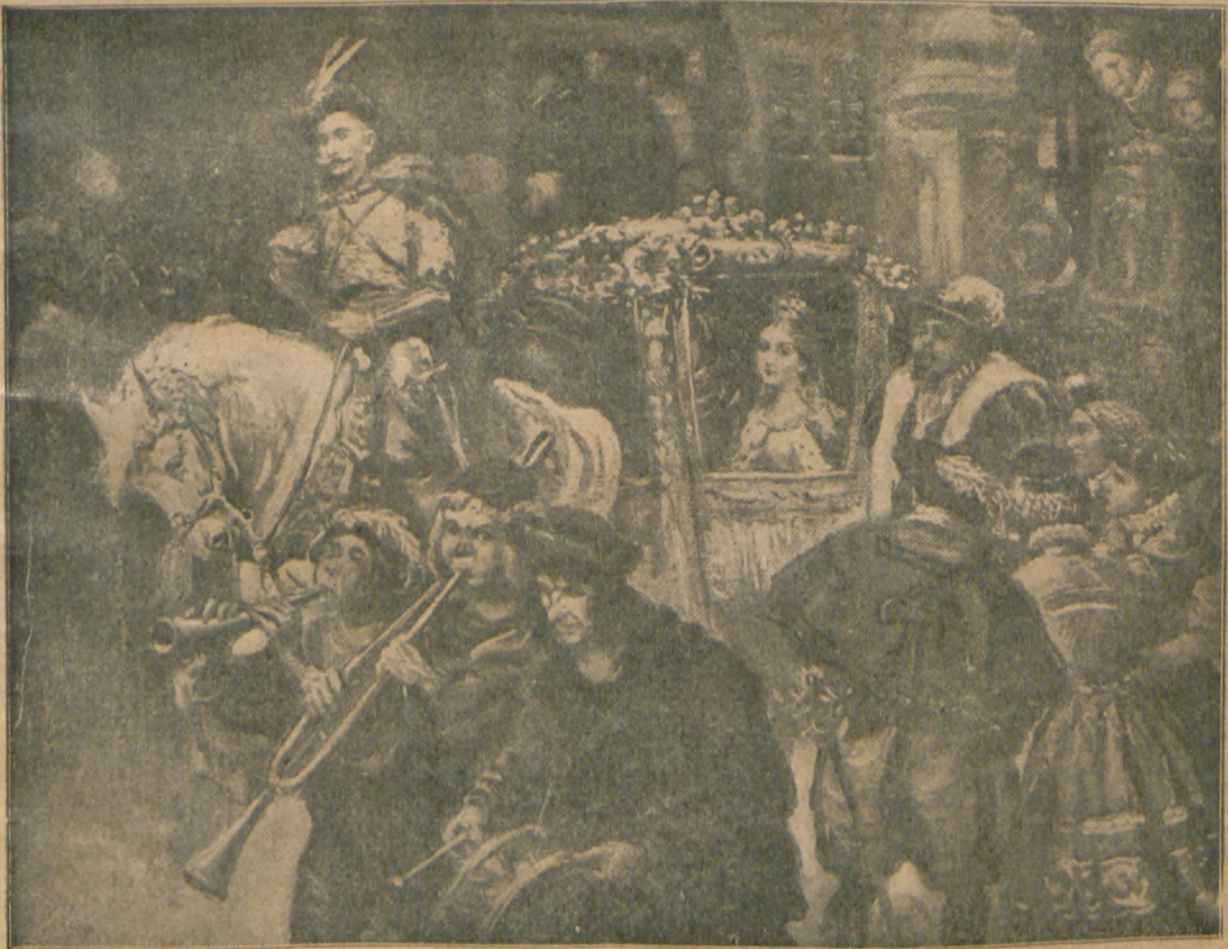
Panna Młoda, dla zbytnej subtelności tych przedmałżeńskich momentów mdłość cierpiąc, z matką w lektyce niesiona była.

Pan Ojciec, w burmistrzowskim łańcuchu, ze wszystkim Radziectwem zaraz za lektyka, a dalej — co przedniejsze i bogatsze rody.

Ciągnęli tedy jedni od »Langgartu«, gdzie z dziada pradziada mieli składy budulcu, całe puszcze, w zasieki zwalone, inisi od »Spichrzowej Wyspy«, gdzie im zsypy zboża górąmi stały; inisi od »starego Portu«, gdzie własne okręty na warsztatach mieli, albo je pławili do dalekich krajów; a jeszcze inisi od sławnych sukiennic i foluszów z »Nizkiego Podgrodzia«.

Waliło to huczno i buńczuczno, szumno i tłumno przez ciężką, poczerniałą wiekiem Maryacką bramę w starożytną ulicę Panny Maryi, która do kościoła, jak strzeżił prowadzi.

Tamże dopiero widowisko cudne. Owe to wązkie, a wysokie domy, różnobarwną dachówką kryte, wycinające się zębato, kanciasto, wieżasto



Waliło to huczno i buńczuczno, szumno i tłumno przez ciężką, poczerniałą wiekiem Maryacką bramę w starożytną ulicę Panny Maryi, która do kościoła, jak strzeżił prowadzi.

na bladym błękitnym nadmorskiego nieba. Owe to szczyty, przedziwnie rzeźbane, na których lwy, smoki, a nierazko i persy kamienne ku ozdobie stały, owe gzymsy, strojnie kładzione, owe galeryjki przyokienne, pełne kwiecica i dziewczęcych główek, owe przydaszki, owa mnogość szyb drobnych, lśniących w słońcu i w olów oprawnych.

Przed domami, na gankach, okładanych płytami z kamienia rzeźbiarskiego w drzewa, zwierzęta, w rodowe godła i w biblijne sceny, rajcowały pokrzykując wesoło pomniejsze mieszczki, w jedwabnych jubkach, w fartuchach, złotą nicią szytych, w bursztynach i srebrnych filigranach, w złotogłowych czepcach, z kogutkiem i w całej paradzie, jako że świąteczne popołudnie było.

Pod gankami zasię, od których ozdobne schodki wprost w ulicę szły, u wejścia do piwnic sławnych, roilo się od pospolitego ludu i co podlejszej gawiedzi.

Mieli też, bo mieli patrzeć na co.

Za samo noszenie złote z kamykami, w które Pani Matka jedynaczkę do ślubu przybrała, tęga skutę pszenicyby kupił.

Bogaty ród Mökiny!

Tak ciągnął orszak weselny, któremu przygrywały trzy kapele miejskie: radziecka jedna, halabardzistów jedna i kupiecka jedna. A kiedy Młodzi, pod biciem dzwonów, w gotyckie odzwia kościoła wchodzili, ogon orszaku jeszcze się u Motławy, lśniąc w słońcu setnemi barwy, z szumem i wrzawą gędzielną poruszał.

Huknął potężny organ, mało co ustępujący onemu cysterskiemu w pobliżkiej Oliwie, o którym powiadają, że, kiedy zagrzmi aboli fletowe głosy wypuści ze siebie, to morze staje i aż po zatokę Pucką ucisza się, a słucha.

Wnet tedy podpisywać zaczęto akt zaślubin onych. Samych kanoników coś pięciu, razem z Infułatem, prebendarzy nie rachując zgoła, ba, senatus wszystek, jako że senior Mökiny, jeden z czterech burmistrzów miasta będąc, jak nic królewskim burgrabią mógł zostać.

Jeden tylko Pan Młody markotno się w tej wspaniałości czuł, że to splendorów swego rodu narazie wykazać nie mógł.

Ale kiedy, podkręciwszy sumiastego węża, pióro ujął i przy zadziernym podpisie, »Nicolaus Myszkowski«, »Aequus polonus« przystawił, pod czem datę z łacińska: »Dantiscum, vel Gedanum« wyrznął, a górnice na ono mieszczaństwo spojrzawszy, szablą szcęknął, szmer poszedł między co bliższymi gośćmi, jako jest szlachcic ważny, rycerz i uczony.

I tak mu ta kondycya została.

Trwał w niej »Nicolaus von Myszkowski«, nie przeciwiając się losowi zbyt.

Handlu się ni kupiectwa nie miał, która rzecz — mawiał — mniej szlachcic przystoi. Pracą się też inszą nie zabawiał, czekając z dnia na dzień,

z roku na rok takowych politycznych konjunktur, któreby go do rycerskich spraw powołać mogły.

Tak w ciągłej gotowości wojennej żyjąc, szabli prawie że nie odpasował, włócząc ją na długich rapciach po ulicach Gdańska; Trudę swoją rzewnie miłował i po zacnych piwnicach, jakie tylko gdzie w »Dantiscum« znajdować się mogły, rad siadał.

Szczególne jednak ulubienie miał do tych u »Starej Windy«, u Świętoruskiej Bramy«, u Rybnego Targu«, gdzie z Retmaństwem, prowadzącym statki i galary Wisłą, przy szklenicy o Polsce ugwarzać mógł.

Poczem, gdy tak miód korzenny, jak i przypomnienia, do samego osierdzia go wzburzyły, szedł aż na »Stare Uście Wiślane«, klnąc kochania, które go jeńcem między »Szwaby« trzyma.

Mökinsówna de domo tymczasem, krzątając się pilno dzień cały, doglądała czeladzi, mieszkaniem rządziła sama, dobra przyczyniała, a raz to powziawszy sobie, iż szlachectwo męża dużo go nad nią wynosi, folgowała mu we wszelkiej fantazyi. Zaczem obrodziło dzieci, jak gruszek.

Chłopaki — w matkę.

Czarne oczy, więz tęga w sobie i śniada uroda.

Dziewczęta »von Myszkowski« w ojca, z modrem, tęskliwym kędyś w dal, spojrzeniem.

Ani synowie jednak, ani córki w mowie za ojcem poszli.

Jeszcze tam z maleńkości, w tych najpierwszych swoich leciech, ugwarzało to co nieco po polsku. Ale, od szkół zaczawszy, tępił im język na te polskie dźwięki, a po krótkim czasie już tylko »panociec«, »Polska daleko« i »Ojciec nasz« jak niebądź rzekali.

Co niedziela, rankiem, zanim ruszył do Oliwskiego klasztoru, gdzie stale Mszy świętej słuchał, zmawiał »von Myszkowski« na klęczkach, przed krucyfiksem, polski pacierz z dziećmi okrutnie tłukąc się w piersi.

Im zaś dzieci gorzej mówiły, tem silniej się tłukł, wołając ze skrucą: »Moja wina! Moja wina! Moja bardzo wielka wina!« a lzy, ja grochy, leciały mu przez lico.

Zaczem chodził osowiały, skruszony, rozmyślający o jakimś nagłym powrocie do Polski, bodaj na galarze, póki mu żona nie nagotowała polewki winnej z muszkatem, który specyał ratował go w desperacyach onych prawie że cudownie.

Synowie zresztą dłużej nieco utrwali przy czystej mowie; córki, za matką poszedłszy, piędko się onej polszczyzny wyzbyły.

Szły czasy.

»Nicolaus von Myszkowski« coraz głębiej wrastał w ciepły puch rodzinnego gniazda, w łatwe życie bez pracy, bez troski, lubo po brzękiwaniu w szablę zawsze było dość, a i tej zadzierności szlacheckiej, która go ponosiła, niby ptaka pióra. Pił-li albo-li w dyskurs wszedł,

zawsze się takowa okazywała należeć musiała, że ono szlachectwo na stół wychodziło.

Że jednak miękkiego serca człowiek był, na kredyt nie pijał, i rad, by najpośledniejszemu knechtowi wypitek jego, potkawszy go pod wiechą, płacił, byle mu tylko o Polsce mógł powiadać, ile dusza raczy — lubili go Gdańszczanie.

Co jednak pewna, to, że pod żebrem robaka miał, który go, nocami zwłaszcza, gdy wszystko dokoła ucichło, a tylko zegary miejskie wybijały powolne, niespane godziny, od samej miazgi serdecznej — zażerał.

Pyta go żona, czemużby zaś nie spał?

A on sierdżicie:

— Bom Polak! Bo mi w szwabskich betach spokoju nie należeć!

I zaraz od rana, po nocy takowej, zabierał się do Królów szedł.

Padła wtedy na dom cały głuche załęknięcie. Coś jakby oczekiwanie rzeczy niecofionych, wyrocznych.

— Do Królów Ojciec poszedł — oznajmiała matka, pobladała nieco, surowa.

— Ojciec poszedł do Królów... — szeptały po kątach dzieci, a wszyscy, choć niewyraźnie, czuli, że ich w tej chwili dzieli od niego świat — nie do przebycia.

Zatem pęzło gnębiące milczenie po komorach, alkowach, świetlicach wązkiej kamienicy przy Warzywnym targu, a piękna Truda, bo zawsze jeszcze była piękna, gubiła klucze, myliła się w rachunkach i z niepokojem, który jej serce, jakby strzała, bódł, wyglądała ku Oliwie to jednym, to drugim oknem, het, na północ miasta.

...Była więc moc, która jej zabierała męża i pod urokiem władzy swej trzymała...

...Była taka moc, której on serce otwierał, do której po ratunek biegł...

...Była moc, mocniejsza od niej, od dzieci, od kamienicy przy Warzywnym Targu...

Tymczasem von Myszkowski szedł pilno za bramy miasta, ku nadmorskiej, książęcej Oliwie, właśnie jakby tam kto czekał na niego.

A Króle istotnie czekały.

Czekały u Cystersów, w Oliwskim kościele, w samem prezbyteryum po obu stronach wielkiego ołtarza, pędzłem w całej postaci kunsztownie wydane.

Czekał Henryk Pobożny, z oczyma wzniesionymi w niebo; czekał Łokietek w wlokącej się purpurze, czekał Kazimierz z potoczystą brodą. Majestat łaski bił od nich i blask królowania.

A choć się ich tam znajdowało więcej, tych nadewszystko upodobał sobie von Myszkowski i do nich niósł serce wezbrane.

A nie musiało to być do niesienia letkie, bo rycerz włókł się przez nawę zgarbiony, jakby przyciśnion nieznośnym ciężarem.

Zaczem siadał w pustych stallach nawprost wizerunków onych, a spartałszy głowę na rękę, patrzył.

Aliści, im dłużej patrzył, tem mniej widział iż zachodziły mu oczy wilgotnym tumanem, który przed niemi świat mienił. Przepadał kędyś stary mur kościelny, przepadały żaloby przeciw światu, przeciw sobie; przepadały nawet konterfekty Królów, a skroś lekuchnej, pomglistej rozwiei otwierały się widzenia dalekie, niewypowiedziane.

I szły z dalekości onej roztworzyste, szumiące kłosem pola, po których niegdyś pacholeciem biegał; szły knieje borowe, uroczyska przeświętej ciszy pełne; szły położyste łągi w siedmiokrasym świecie; szły gaje, strumienne rozłogi, a długa wysada strzelistych topoli, majowym liściem szmerząca, tak blisko podchodziła ku niemu, że zapach lepkich żywiczek jej czuł, że tylko wstać i stąpić krokiem i iść do rodowego gniazda, co się u jej końca, skroś świeżej zieleni bielilo.

Ale nie wstawał.

Kulił grzbiet, pochylał głowę na splecione ręce, cisnął niemi zamknięte powieki, aby widzenie ono zatrzymać, a w piersi mu jakowyś skowronek trzepał w piórka i śpiewał zaczarowaną piosenkę, od której puszczały się dżdże bujne, kropliste z pod stulonych powiek.

...I szły na niego starodawne grody, kipiące wrzawą praoczystej mowy, szły mury dostojne, z których każdego kamienia hukowało światło i sława; szły rzesze ludu do jakiejś wielkiej, a wspólnej pracy...

...O ziemió rodzona! O miłowana!...

I znów szły czasy.

Synowie zaprawiali się wcześniej do kupiectwa, dorastali, żenili z Gdańszczankami z co najwyższych i najzdobniej gzymśowanych kamienic, przedsiębiorcze, zabiegłe, prawoszczere Mōkiny, po duszy i ciele.

Von Myszkowskie, drobne, ciche, delikatne, miały w sobie coś urokliwego. Sam kwiat młodości ubiegał się o nie, lubo żadna ciasta na piernik małemi rączkami zagnieśćby nie mogła. Dawano je też za mąż młodo, za Garnichów, Frenczów, Sebastów.

Z synów jeden drzewo do Anglii pławili, drugi okrętowych sucharów wypiek prowadził we własnych piecach, na sto rąk czeladzi, trzeci przedniemi sukniami handlował.

Ale najmłodszy, którego panociec cierpko wołał Hans, a pani matka, iż gagatkiem jej był, wabiła z polska: Jaszek, od pacholecych lat osoblwsze umiłowanie do snycerszczyzny powziąwszy, w sztukę się oną dał i, Norymbergę dla ćwiczenia się w niej zwiedziwszy, wprędce zastąpił, jako mistrz nad mistrze w ornamentowaniu onych to skrzyń, onych szaf, sepetów. z których Gdańsk na cały świat ma chlubę.

Nagle gruchnęła wieść, od wiślanych flisów przyniesiona, że się w Polsce na wojnę zanosi.

W von Myszkowskiego, jak piorun to trzasło. Rzucił się do ostrzenia szabli, do czyszczenia sprzączek, rzemieni.

Całymi dniami próbował młyńców, podbijań, sztyków falesznych, sztyków sięganych, górnych, dolnych, przierzucanych to na lewą, to na prawą rękę.

Jakaś młodzieńcza żywość przykryła mu nadwiedle oblicze, głos uczynił się dźwięczny, ruch sprężysty, gibki. Losiowy haftan szyć sobie dał i ku koniom oglądać się począł.

Było tego podpału coś tydzień z okładem. Zaczem gorączka ugasta, a zaczęły go nachodzić myśli zwątpiałe i frasunki mętne, co to nie dają k'rzeczy ni w tę, ni w tę stronę.

— Jakoż mu rzucać dom, żonę i dzieci? Jakoż mu zwykać na nowo do żołnierskiego żywota?

Kobieta, wiadomo, łatwo serce i sentyment odmienia, dzieci wypuszczają z pamięci... Fortuna też jest srodze variabilis... *)

A już i młodość minęła, i ciało ociężało, i dech coś w piersiach przykrótka... Co czynić? Czego poniechać? Czego się chwycić, dlaboga?

I tak, popadłszy w okrutną rozterkę, jakoby więc żywcem darty w dwie przeciwne strony, gdy serca ani od milej rodziny oderwać nie mógł,

*) Zmienna.

ani od powinności rycerskiej, gdy nadto kaftan losiowy ciasnym się okazał, a koń twardym w pysku i nieunoszonym, trzy dni »von Myszkowski« w »Piwnicy Nowej« nad Raduną siedział, bijąc się z myślami pojedyńkowym, prawie że śmiertelnym bojem i gęsto mieniając omśzałe gąsiory.

Ale trzeciego dnia pod wieczór, nie mogąc należeć spokoju ni postanowienia, w ognjach onej walki cały, z jakowymś wichrem gorącym i tętnieniem w głowie do »Królów« po ratunek ruszył.

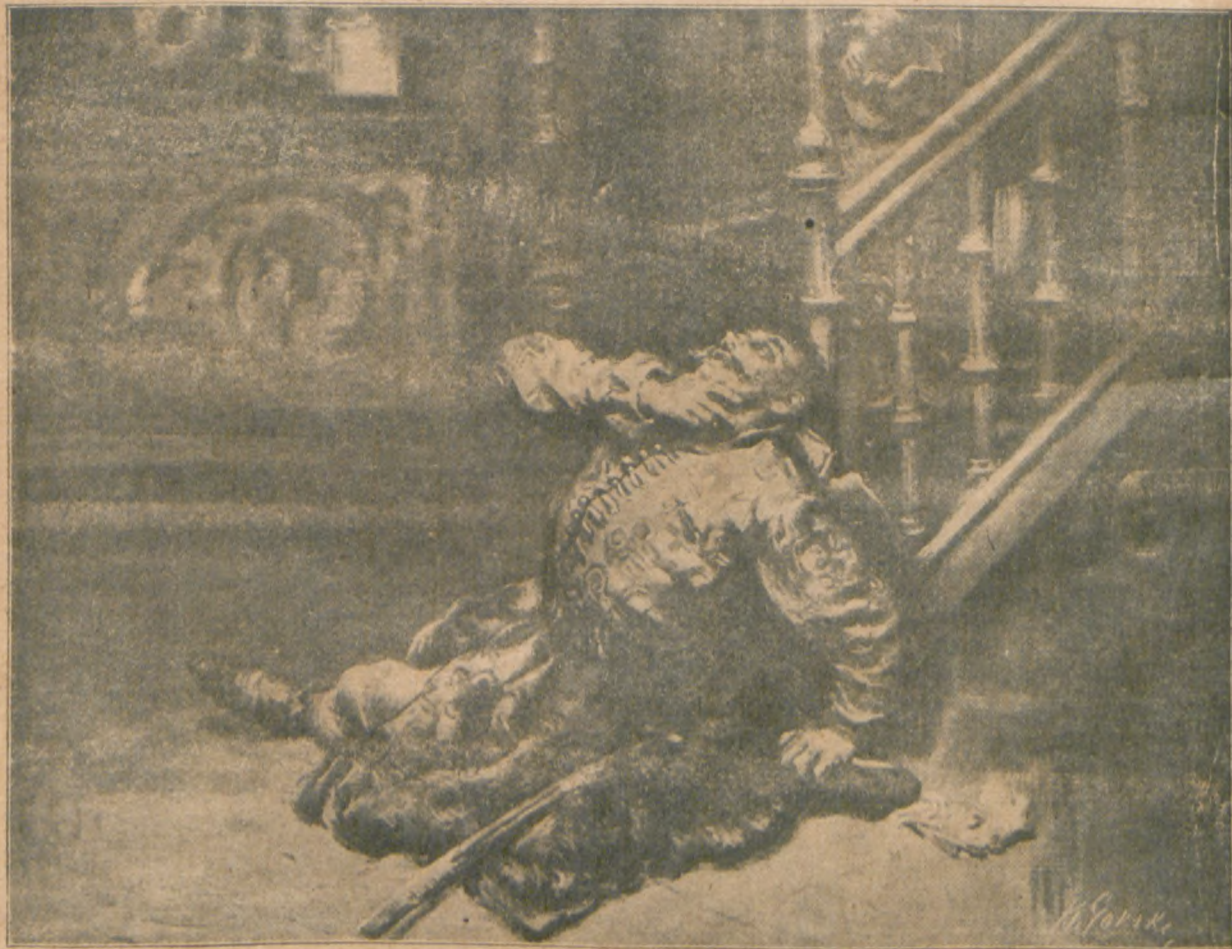
Już zorze niebem szły i pod Anioł Pański się miało, kiedy, przez kruchę do pustego kościoła wpadłszy, krzyżem się przed »Królami« rzucił.

...O Króle Najmiłościwsze! O Króle Polskie, prawe. Ratujcie mnie wy teraz w tym dusznym ucisku!

...O miłociwy Łokietku!... O wielki Kazimierzu! Przed wami serce moje na dwojgo rozdarte!...

O Najjaśniejsze Króle! O Łaskawe! Wszak wiecie, jakom tu tylko doczesny kampament miał, a jakom dyszał ku Ojczyźnie milej!

— Ratujcie!... Uciszcie we mnie tę nawałność krwawą!...



— Na pomoc! Na pomoc Ojczyźnie!

Nie dajcie mi pohańbić tej szabli! Tej rycerskiej wiary!...

Oto ja miles wasz i służebnik wierny... Za was... za Polskę... Żywot mój...

Jeszcze domawiał te słowa, rwane jakimś wewnętrznym, ciężkim szlochem, kiedy mu tuż nad głową huknął dzwon na »Ave«.

Porwał się »von Myszkowski« z nieprzytomnym rykiem, krew mu chlusnęła przez wargi, wyciągnął ręce, jak ślepy, potknął się, zatoczył, i tak go, wołającego wielkim głosem:

— Na pomoc! Na pomoc Ojczyźnie! — śmiertelny szlag trafił.

Tedy, pogrzebawszy rodzica na Katarzyńskim cmentarzu, zaraz się starsi synowie zaczęli pisać: »Mökins-v. Mischkowsky«.

Najmłodszy tylko uroczyście i wyraźnie podpiśwał: »Jaszek Myszkowski«, co na niejednej przedniej sztuce jego kunsztu, dłotem ozdobnie wydane, do dzisiaj zostało.

Ale kunszt upadał po trosze.

Już syn »Jaszka« Josephus von Myszkowski, ojciec pani Möller przez »o« kreskowane, zaniechał wyrobu onych szaf dębowych, na które, dla ich wysokiej wartości i ceny, mały popyt był, a puścił się w one czeczotkowe cacka i już tylko biureczka, komódki, stoliczki, jako i insze drobiazgi działał, sztuką ojcowską je ozdobiąc, iż wyglądały, jak wiązanki kwiecia.

A że się polityka obróciła kołem, czarnookie stryjce Mökinsy całkiem odrzuciły nazwisko Myszkowskich, w samą kupiecką miążgę duszy miasta wsiąkli, bez żadnej o obcość poszlaki.

Dziad Jaszek, po staremu przy polskiej firmie zostawszy, rad prawil o szlacheckim pochodzeniu swojemu, a gdy się rozochocił, polską piosenkę, którą od ojca swego miał, drżącym głosem śpiewał.

Była to ta sama piosenka, którą wygrywał kurant dzwoneczkowy z Mikołajskiej wieży, przez mistrza Lenarta z Krakowa tu zaprowadzony.

Podnosi się pani Möller z subtelnej kanapki i, do szpinecika pod okno podszedłszy, próbuje wygrać małemi, pomarszczonemi, w czarnych jedwabnych mitynkach, rączkami polską piosnkę dziada.

I palce jednak, i piosenka płaczą się tak, że trudno wyrozumieć nutę, a tylko spojrzenie rzwne, w dalekość puszczone, świadczyło, że piosenka żyje w duszy.

— To tak od tego nieszczęsnego pożaru palce się płaczą...

Ach, jaki to był strach! Jaka żalność! I tak nagle to przyszło, tak niespodzianie...

Nikt, w całym mieście, o niczem złem nie myślał, ludzi było pełno na Warzywnym Targu, iż się pod wieczor miało, kiedy właśnie kurant

grywał, gdy wiatr gwałtowny porwał się od morza, zakręcił z poświsem uliczną kurzawę, a chora-giewki na Starej Zbrojowni zaczęły trzeszczeć, obracać się, skrzypieć...

Za chwilę—ciemno, jak w nocy. Ludzie uciekali w popłochu, gdzie kto mógł otwartej bramy dopaść.

Huknęła burza. Siarczyste błyskawice rozświeciły mrok krzyżowym okropnym ogniem, a pierwszy piorun trzasnął w Mikołajską wieżę.

Stanęła w ogniu. Krzyk, tumult, wołanie. Zagrzehotały grzechotki. Pędzą pacholki miejskie z drabinami, osękami, kołami. Dudnią beczki na wozach, latają po rękach konwie, haki, sznury...

Godzie! Ani dostępu na trzeszczące w ogniu, w dymie schody.

A właśnie doszła godzina!

I zaczęły dzwoneczki na płonącej wieży śpiewać przerażonemu miastu swój ostatni kurant.

Ach, co za śmiertelnie cudna pieśń! Płakało to i śmiało się razem.

A coraz i pękał jakiś szklany głosek, mąciła się nuta, a napowietrzny śpiewak w gasnącym świegocie upadał w zgłiszcza i konał.

Tak cichła żywcem palona piosenka. tak miękła ton po tonie, poszarpana mrąca.

Tak gasły po jednym przejmujące dźwięki... Coś żywego, coś czującego w nich umierało z jękiem. Aż zgasł ostatni, w pół urwanej nuty.

A wtem runął przepalony tram od wielkich dzwonoń. Spadły z stuarmatnim hukiem, jakby się świat waiił.

Wtedy to szczupłe, blade rączki w czarnych mitynkach zaczęły drzeć, drzeć, i nigdy już od-tąd nie udało im się wygrać umartej polskiej piosenki.

Pamięta ją jednak. O, i jak pamięta!

I ciekim, bardzo cichym głosem śpiewa pani Möller, »von Myszkowski« z domu, daleką, daleką nutą.

...Ostatni dzwoneczek z zawałonej wieży...

Ale na schodach słyhać pewne, śmiałe, dosyc ciężkie kroki.

Piosenka milknie nagle.

Drobna, delikatna twarz zabarwia się lekko falą zaleknienia.

— Córka wraca... Córka nie lubi tego...

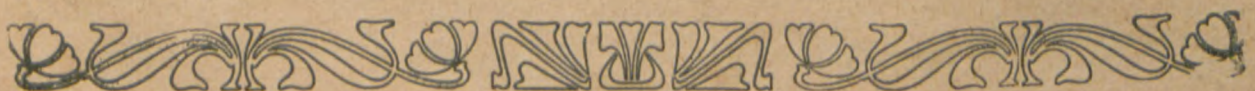
Jedyna córka pani Möller nie lubi »tego«.

Jakoż drzwi otworzyły się szeroko, a do saloniku weszła zamaszystym krokiem duża, sztyw-na, niemłoda już panna śniadej urody, czarnych oczu, płaskiej piersi, pedagogicznej i surowej twarzy.

Silny, wyrazisty, prawy typ Mökinsów.

Od szpineciku poważny uśmiech i lekkie westchnienie.

Koniec rodu »von Myszkowskich«.



Znaczenie wybrzeża i portów dla Polski.

Przyznanie Polsce dostępu do morza ma pod względem ekonomicznym znaczenie pierwszorzędne w interesie tak Polski jak i całego świata.

Dźwignięcie krajów polskich pod względem przemysłu, handlu i rolnictwa na wszystkich ziemiach polskich jest tylko możliwe, jeżeli państwo dla swojej rozległej sieci dróg wodnych ma własne wybrzeże morskie, a więc nieczem i przez nikogo nie skrepowany dostęp do morza a za jego pośrednictwem do całego świata. Kongres wiedeński zagwarantował Rzeczypospolitej dostęp do morza, lecz w przebiegu historii widzimy, jak państwa zaborcze się do tego zastosowały. Za ledwie kilka lat po zagarnięciu Pomorza przez Prusy, zaczęto nakładać na towary przewożone przez Wisłę z Kongresówki do Gdańska wysokie cła. W porcie gdańskim trzeba było płacić wysokie opłaty portowe, a kupcy polscy byli zniewoleni do posługiwania się w dalszej przesyłce towarów pośredniczącymi firmami gdańskimi.

Aby uniknąć utrudnień i systematycznych szykan, zmierzających do podkopywania handlu polskiego, rozpoczęto budować kanał augustowski.

Polska, mając wolny dostęp do morza, może też zabrać się na dobre do uporządkowania zdiciętych rzek. Przez zręczne połączenie różnych rzek kanałami można utworzyć połączenie Bałtyku z Morzem Czarnem. Na Wiśle będzie się koncentrował ruch przewozowy lokalny całego państwa i kierowany ku morzu, portom bałtyckim, ruch przewozowy między Bałtykiem a Morzem Czarnem i odwrotnie. W skutkach swych będzie to miało doniosłe znaczenie dla rozwoju handlowego i przemysłowego w Polsce.

Gdańsk będzie też i głównym punktem przejściowym po ostatecznym uregulowaniu stosunków politycznych dla drzewa spławianego Wisłą. Ruch ten skierowano po części kanałem bydgoskim albo przerabiano już w tartakach w Toruniu dla dalszego wywozu do Niemiec.

Podnieść należy, że handel polski aż do wybuchu wojny skierowany był ku Hamburgowi, cały ruch przewozowy emigrantów polskich do Ameryki przez Breme.

Polegało to na polityce niemieckiej, mającej na celu jaknajwiększe obciążenie towarów pochodzących z Polski i uzyskanie jaknajwiększych opłat kolejowych od emigrantów.

Z chwilą przyłączenia wybrzeża Bałtyku i Gdańska do Polski zmieniają się stosunki handlowe dla Gdańska i Polski gruntownie, ponieważ znika wówczas wroga dla handlu polityka pruska. W interesie Państwa Polskiego leżeć będzie, aby skierować cały swój handel zamorski do portu własnego i wejść w bezpośredni kontakt z odbiorcami i dostawcami zamorskimi. Gdy rzeki polskie będą uporządkowane, spodziewać się należy, że ruch portowy w Gdańsku wzrośnie do

rozmiarów przewyższających znacznie ruch portowy w Hamburgu. Wpłynie na to nietylko ogromne bogactwo ziem polskich w skarby przyrodzone, leżące przeważnie odłogiem, ale także konieczność sprowadzania dla rozwoju przemysłu polskiego niezbędnych surowców zamorskich, które dla wytrzymania konkurencji z wyrobami przemysłowymi obcemi, a zwłaszcza niemieckimi będą musiały być zakupywane u dostawców z pierwszej ręki z wykluczeniem licznych dotąd pośredników.

Wywóz krajowych i przewóz obcych kamieni budowlanych musi również przechodzić przez polskie porty bałtyckie.

Odbudowa zniszczonego tak gruntownie przez Niemców przemysłu polskiego, tudzież jego dalszy rozwój będą wymagały dowozu ogromnych ilości surowców i półfabrykatów przeważnie z krajów zamorskich, który będzie musiał iść w całości przez polskie porty bałtyckie dalej w głąb kraju drogami wodnymi, gdyż tylko w takim razie będzie można przedmioty te tanio ale także niezależnie od wrogiej nam polityki najbliższych sąsiadów sprowadzać i utrzymywać konkurencję z wyrobami obcemi.

Po naprawieniu i nowozałożeniu dróg powiększy się też znacznie produkcja rolna. Uzyskane produkty rolne wystarczą nietylko na żywienie własnej ludności, lecz pozostanie też znaczna ich część na wywóz.

Polska stanie się ponownie śpichlerzem Europy zachodniej a wywóz tych produktów będzie

Polaku, gdzie Ojczyzna twa?...

Polaku, gdzie Ojczyzna twa?
Czy gdzie u szarych Wisły wód
Po wieżach hejnał smutno gra?
Polaku, gdzie Ojczyzna twa?

Polaku, gdzie twych ojców kraj?
Na stepach? W puszczech? U stóp skał?
Cyt!... Jak po zimie idzie Maj,
Tak wkrześnie ojców naszych Kraj.

Polaku, gdzie twój dom... twój dom?..
Tam, gdzie od wieków stał i trwał
I gdzie go straszny rozdarł grom —
Tam odbudujem dom — nasz Dom.

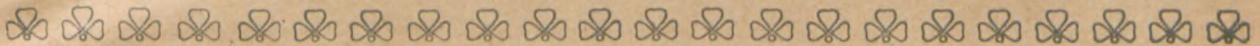
Czesław Jankowski.

przechodził przez Gdańsk i inne polskie porty bałtyckie.

Posiadanie własnego wybrzeża i pod względem rybołówstwa jest ważne: po pierwsze znajdzie liczna ludność polska zatrudnienie i niepośledni dochód, a powtóre ludność Królestwa Kongre-

sowego nie będzie potrzebowała ryb zakupywać po cenach wysokich z trzeciej a nawet dalszej ręki.

Tak się mniej więcej przedstawia ta ważna strona ekonomiczna uzyskania bezpiecznego dostępu do morza.



ZABÓJCZY PROMIENI.

Halmar Logan, inżynier górniczy, pogrążony we śnie głębokim, spoczywa na sofie w szczupłym pokoiku willi drewnianej, położonej na nagiem zboczu wzgórza w powiecie Tuolumne, stanie Kalifornii.

Całą noc spędził w głębinach kopalni złota, nie dziw więc, że teraz śpi snem kamiennym.

Na dworze upał podzwrotnikowy. Rolety niebieskie spuszczone. W półmroku pokoiku słychać brzęczenie much sennych. Niedaleko sofy stoi stolik, a na nim widnieją kilka książek, lampa i pudełko blaszane. W oknie wisi glob szklany, napełniony wodą. Służył niegdyś za akwaryum dla rybek złotych. Rybki jednak pozdychały. Wisi więc bez nich.

Drzwi pokoju otwierają się zwolna. Wchodzi mężczyzna krokiem cichym, ostróżnym. Przez chwilę stanął nieruchomo, spoglądając badawczo na śpiącego, poczem rzuca okiem na zegar i na glob szklany w oknie, zbliża się do stolika i otwiera ostróżnie pudełko blaszane. Pełne jest prochu brunatnego. Stawia je na innym miejscu stolika, a następnie podnosi roletę w oknie.

Promień słońca kalifornijskiego, gorący i biały, przedziera się przez szkło i kładzie plamą jasną na podłodze. Przybysz wychodzi na palcach z pokoju i znika za drzwiami, jak cień.

Godzina pierwsza po południu. Wirginia Stanton, narzeczona Logana, i Aleksander Bishop, pomocnik jego, idą w kierunku domu inżyniera ścieżką, wiodącą przez wzgórze. Wirginia spędza w towarzystwie ciotki lato w pobliżu Kilmar's Gap.

Już tylko kilometr dzieli idących od willi Halmara. Bishop zwalnia kroku, piękną za to towarzyszkę jego niecierpliwą każda chwila zwłoki. Bishop wyjmując z kieszonki od kamizelki zegarek i rzuca nań okiem. W tej chwili daje się uczuć lekkie wstrząśnienie ziemi, a w parę sekund po nim rozlega się głuchy huk w powietrzu.

— Znów rozsadzają skały — odzywa się Wirginia, podnosząc do góry paluszek ręki w białej rękawiczce. — Ciekawa jestem — dodaje po chwili — czy Halmar spodziewa się mnie

dzisiaj. A pan był taki dobry, że przyszedł po mnie, pomimo iż jesteście tak zajęci!

Weszli na szczyt wzgórza, z którego widać już było małą willę Logana. Z piersi Wirginii wyrывa się nagle okrzyk przeraźliwy. Towarzysz jej zadrżał, ścisnął pięści i stanął, oddychając ciężko.

Willi Logana znikła. Na miejscu jej widnieją drzazgi belek i desek, gdzieniegdzie zaś unoszą się lekkie obłoczki dymu. W pobliżu rumowiska gromadka górników gestykułuje żywo.

Wirginia rzuca się naprzód. Górniczy w ciężkich butach i czerwonych koszulach rozstępują się zdziwieni przed białym zjawiskiem, milcząc ponuro.

Na przewróconej i poszarpanej ścianie willi leży postać ludzka, przykryta prześcieradłem zaplamionem. Z pod fald jego zwisa ręka szczerznięta i okrwawiona. Na jednym z palców jej połyskuje pierścienek z brylantem.

Dziewczę pada na kolana przy postaci nieruchomej, chwytając zwisającą, szczerzniętą rękę w białe rączki swoje, przytyka do ust i w łzach kapie.

— Hally, Hally! — szepczą usta szlochające.

Opodal stoi Bishop nieruchomy, jak posąg, z oczyma utkwionymi w ziemię.

Nikt z obecnych nie umie wytlómaczyć przyczyny wypadku, którego ofiarą padł Halmar Logan. Wiadomo tylko, że wybuch straszny zniszczył willę, a jak szczątki rozrzucone wskazują, musiał nastąpić wewnątrz budynku. Nieboszczyk znany był, jako rzeczoznawca w zakresie materiałów wybuchowych. Ostatni wynalazek jego stanowiła substancja o niezmiernej sile wybuchowej, ochrzczona nazwą lewinitu. Jeden tylko Bishop, oprócz Logana, znał tajemnicę owego środka wybuchowego. Śnać nieostróżne obchodzenie się z nim wywołało katastrofę.

Po pogrzebie Logana Wirginia powróciła z ciotką do San Francisco. Towarzyszył im Bishop i nie zajął już do kopalni.

Mijały miesiące za miesiącami. Ruda złota zaczęła wysychać, jak wyrazili się górniczy.

Coraz mniej pracowało przy niej ludzi. Wreszcie wyczerpała się zupełnie. Stał młyn do kruszenia rudy, reszta górników rozproszyła się, kopalnia, niegdyś tak ożywiona, zamieniła się w pustkowie. Jedna tylko instytucja przeżyła jej upadek, a mianowicie szynk »Pod Rudą Złota«, zaspokajający pragnienie woźniców karetek pocztowych i pasterzy stad okolicznych.

Minęły lata od upadku kopalni, gdy wśród bywalców szynku »Pod Rudą Złota« rozeszła się wieść o przybyciu na pustkowie człowieka obcego.

Chudy był, wynędzniały, o szpakowatych włosach i brodzie, tudzież wejrzaniu bojaźliwem.



... Ustawiłem pudełko na miejscu właściwym...

Z desek i belek, znalezionych na pustkowie, zbudował chatkę i w niej zamieszkał. Z ludźmi spotkanymi rozmawiał rzadko. Unikał ich nawet i błąkał się samotnie po okolicy, zbierając kwiaty, oraz kamienie. W szynku »Pod Rudą Złota« mówiono o nim rozmaicie. Jedni twierdzili, że, zawiedziony w miłości, skazał się na życie pustelnicze, zdala od świata, inni zaś, że doznawszy porażenia słonecznego w Meksyku, ma mózg nadwyreżony.

Pewnego dnia grudniowego, gdy pierwszy śnieg okrył szczyty wzgórz, przybysz obcy nie zjawił się w okolicy, i komin chaty jego nie dymił. Dnia następnego dwóch pasterzy odważyło się podejść do chaty samotnika i wnet przynie-

śli do szynku wiadomość, że zastali go siedzącego w chacie, przed stołem, bez życia.

Zawezwano koronera z miasteczka powiatowego, zebrano przysięgłych na miejscu i orzeczono, że niezajony zmarł na serce.

— Każdy, panowie przysięgli, kto posiada taki odcień brunatny na wargach, cierpi na to — zawyrokował urzędnik powiatowy.

Śród ruchomości zmarłego znajdowały się dwa listy. Jeden z nich był zaadresowany: »Do koronera powiatu Tuolumne«.

— Oto, panowie przysięgli, druga oznaka ludzi, cierpiących na serce — odezwał się z namaszczaniem koroner — wiedzą zawsze, kiedy koniec ich nadchodzi.

Rzekłszy to, dobył z koperty pomięty świstek papieru, oddarty najwidoczniej z większej kartki, i czytał:

»Istniały dla mnie tylko trzy osoby na świecie: kobieta, którą kochałem, mężczyzna, którego ona kochała, i ja. Ale w trójcy tej jedna osoba była zbyt cenna. Czulem, że, gdyby nie on, to ona nie byłaby wzgardziła miłością moją. Wiedziałem także, co za bogactwa osiągnąć może przez wynalazek lewinitu. Postanowiłem tedy jednym zamachem śmiałym i bez skrupułów posiadać kobietę, bez której żyć nie mogłem, i wyłączne prawo do bogactw, zapewnionych przez wynalazek. Wypadkowo zauważyłem dnia pewnego, że glob szklany, zawieszony w oknie willi, gdzie z nim mieszkalem, stanowi soczewkę silną, rzucającą na stół promień słońca tak gorący, iż sparzył mi rękę, o stół opartą«.

»Wyczyściłem glob i napełniłem go wodą czystą, źródlaną. Stół ustawiłem na miejscu, z góry obliczonem i oznaczonem ołówkiem na podłodze, na blacie zaś zaznaczyłem drogę promienia słonecznego, padającego przez soczewkę globu. Następnego dnia, gdy przyjaciel mój, a wówczas już tylko rywal, spał na sofie po pracy nocnej w kopalni, wszedłem do pokoju i ustawiłem pudełko, napełnione lewinitem, na miejscu właściwym. Lewinit posiada tę własność, że wybucha pod wpływem tylko gorąca. O godzinie dwunastej minut pięćdziesiąt pięć ognisko promieni słonecznych, przedzierających się przez glob szklany, przejdzie punkcikiem palącym nad pudełkiem lewinitu...

»Słońce zabiło go! Słońce i lewinit! Ale ona odepchnęła rękę moją«...

— To wszystko — rzekł koroner, zwracając się do obecnych — przynajmniej, że wariat, wariat skończony!

Na drugiej kopercie widniał napis: »Tajemnica lewinitu. Proszę doręczyć spadkobiercom panny Wirginii Stanton z San Francisco.«



SKARBNIKÓWNA BOLECKA.

O rodzinie Boleckich heraldycy nasi nie rozpisywali się nazbyt. Wspomnieli o niej zaledwie Kuropatnicki i ks. Kacper, ale jeno kilkoma słowy. A przecież była to szlachta godna, chociaż fortuna ni dostojęstwem nie błyszczała.

Ci Boleccy nosili w herbie Abdank, z dokumentów zaś rodzinnych okazuje się, że osiedli na Mazowszu jeszcze za Wazów, z Podlasia przywędrowawszy. Nie rozradzali się licznie. Pod koniec panowania króla Jana nazwisko to reprezentowała wyłącznie panna Urszula Bolecka, jedyna córka pana skarbnika Boleckiego, zmarłego coś wkrótce po wyprawie wiedeńskiej.

Pan skarbnik zostawił jedynaczce folwarczek niewielki, lecz zagospodarowany pięknie i dość intratny. Za opiekuna uprosił pana Zaboklickiego, krewnego po żonie, z którym w przyjaźni był zażyły.

Co prawda, skarbnikówna opieki nie potrzebowała. Zaboklicki de nomine liczył się opiekunem, w gruncie rzeczy panna Urszula sama sobie radę dawała. Bo też osobliwy był charakter tej dziewczki, bardzo sprawiedliwie niejedyn mężczyzna mógłby go jej pozazdrościć. Trzydziestkę już przeszła, a chociaż ten i ów w konkury za jeźdźcą (wcale trafiali się kawalerowie stateczni, trza dodać), mimo to każdemu stanowczo odmawiała. Perswadowano jej, przekładano, że mąż w takim położeniu, w jakim pozostaje, jest potrzebnym nieodbitcie, ona zaś odpowiadała, iż jej z panieństwem bardzo dobrze, że wątpi, czy za mąż wyszedłszy, byłaby równie szczęśliwą.

Z początku mniemali ludzie, że sobie rady z gospodarstwem nie da i niebawem skapituluje; mniemania te wszakże okazały się omylnymi. Skarbnikówna, przy pomocy podstarościego Świerszcza, jako wzór gospodyni słusznie zasłynęła. Od świtu do nocy na nogach, sama zaglądała wszędzie, sama dysponowała, nawet sama na jarmarku, gdy tego potrzeba zaszła, jeździła. Stanowcza, energiczna, ruchliwa, jakby na mężczyznę stworzona. Bywało i na konia siadła, a gdy jej się kto sprzeciwił, z pewnością ruski mieśiąc popamiętał.

Zdybawszy raz nocą przy spichlerzyku złodzieja, choć chłop był, jak dąb, sama jedna tak go obdarowała, iż ledwie życie umiósł.

Z kruciczką się arte obchodzić umiała, nie chybiając prawie nigdy.

Myślałby kto, z opisu tego biorąc miarę, że pozór powinien odpowiadać usposobieniu. Otóż inaczej było. Skarbnikówna, mimo trzydziestki i oryginalności, należała do prawdziwie pięknych kobiet. Bo to wzrost w miarę, twarz krągła, oko niebieskie, a takim blaskiem rozjaśnione, że gwiazdy przypominało. Wyraszała twarz łagodny, lecz stanowczy, godności pełen, miał w sobie coś ciągnącego. Głos może cokolwiek za grubo, lecz na to nikt nie zważał. A płeć — alab. strowa!

A kształty — toczone! Spojrzawszy na tę dziwną mieszaninę temperamentów, odbijających się w postaci panny Urszuli, tak się jakoś człowiekowi robiło... kat wie jak. Delicya kobietka i... kwita.

Nie dziwnego tedy, że konkurentów miała huk, a chociaż ich z kwitkiem odprawiała, nie dawali za wygranę.

Pewnego poobiedzia — był zaś dzień grudniowy — siedziała skarbnikówna z wrzecionem przed kominem, na którym grube polano brzożowe płonęło, słuchając Świerszcza, składającego relacje jakies. Na dworze śnieżycą kołowała, że psa nie wygnać poza wrota. Wicher dał straszliwie, jak gdyby przygrywając hecom szatańskim. Ciemność przytem, choć oko wykol, zgoła pięścibys własnej nie dojrzał.

Słuchając relacji podstarościego, skarbnikówna nagle milczenie mu nakazała i uszu nadstawiała:

— Czy mi się zdaje, czy też coś huka na dworze? — szepnęła.

— Jakże nie, panno skarbnikówno — rzecze Świerszcz, przysłuchawszy się. — I to bodaj koło dworu...

— Biegajże asan obaczyć, co to jest?

Nie dał sobie podstarości drugi raz powtarzać: co żywo wybiegł w dziedziniec.

Hukanie, a raczej nawoływanie nie ustawało, zbliżając się ku dworowi. Wreszcie po kilku chwilach drzwi się otworzyły i do komnaty wszedł mężczyzna jakiś, a za nim podstarości.

Zrzuciwszy z siebie kożuch i otarłszy twarz ze śniegu, niespodziany gość poprawił czupryny, wąsa podkreślił, następnie ukłonem skarbnikównę witał.

— Niechybniebym życie dał, moja mością dobrodziejko, gdyby nie łaskawa pomoc w sam czas. A! co za pogoda... Bógże wam stokrotno zapłać, moiściwi, boście mnie trzęsowali, śmiećci niemal wydzierając.

— Niezasłużone to są podziękowania — rzecze Urszula. — Traf chciał, żeśmy nawoływania usłyszeli waszmościne i tym sposobem...

— Tym sposobem żyw jestem, moja dobrodziejko — podchwycił gość. — Wybacz mi też dobrodziejka — dodał po chwili — że się do ogieniaszka przysunę. Przeziąbłem do szpiku...

— Proszę, siadaj waszmość.

Nieznanomy siadł, skarbnikówna ciekawie go opatrywała.

Był to średniego wieku szlachcic, buńczuczny, wcale miłej powierzchowności. Rosły, tęgi w sobie, z zawieszonym wąsem, figlarnie patrzącem oczyma, nieco już szpakowaty, lecz pełen siły i życia. Twarz (ospowata trochę, co bynajmniej nie wzbudzało do niego wstrętu), świadczyła wyraźnie, że człek ten serce musi mieć dobre, na sumieniu nic mu nie dolega i że go można szanować, poznawszy.

Kto był? Nie wiedziała skarbnikówna; pierwszy go raz w życiu oglądała.

— Waszmość nie tutejszy? — spytała przemił czawwszy.

Porwał się gość, jak oparzony.

— Niechże mnie! — syknął. — Toż głowa jak gdyby jej na karku nie było. Wszak moim obowiązkiem jest zaprezentować się bez pytania.. Właściwie, mościa dobrodziejko, jam tutejszy, jeno zem siła czasu nie bywał, wyciągnawszy, szczęścia po świecie szukać. Jan Kowalski się cwę. Ongi mieliśmy tu siaki taki kęs ziemi, ale po śmierci rodziców (jedynakiem byłem), zmarowało się to Bóg wie jak. Rodzice odumarli mnie młodo... pono czternastolatkiem... zostawili smutkiego, jak palec...

— A przecież Kowalskich tu mamy w okolicy?

— Właśnie też. Aby zaś mościa dobrodziejka aktualnie wiedziała, z kim do czynienia ma, prozę o cierpliwość. Owo tedy... ziemię, jaka się mam po rodzicach została, ludzie za długi rozchwytały, mnie zasie wziął do domu stryj. Ano, pocziwe stryjsko, chcąc mi przyszłość zapewnić, wyprawił mnie w świat. Od szesnastego roku włóczyłem się tedy i owędy, wojskowo chleba szukając, i byłbym się włóczył jeszcze, gdyby nie wiadomość o śmierci stryja. Wezwano mnie do objęcia po nim sukcesyi, chociaż... taka to tam pewnie sukcesya!

Usta skrzywił pan Jan.

— To waszmość jesteś synowcem nieboszczyka pana Michała z Wólki Rogozińskiej? — spytała skarbnikówna.

— W swej własnej osobie.

— Tośmy niedalecy sąsiedzi, Wólka o niecałą milę od Zabrzezia.

— Więc w Zabrzeziu jestem?

Gestem przyświadczyła skarbnikówna.

— Aleś waszmość głodny pewnie? — rzekła w głos. — Proszę mi wybaczyć, że do kuchni zajrzę.

Skłonił się Kowalski, nie oponując, bo, co prawda, silnie się przetrząsł, rad był wtedy, gdy mu o posiłku wspomniano.

Podczas nieobecności gospodyni od Świerszcza dowiedział się nieco szczegółów o skarbnikównie, które go zastanowiły i zdziwiły.

— Patrzajcież państwo — myślał. — Taka na pozór niby przylepka, jeśby ją można, a... a... pokazuje się, że asińdzka kaduka ma za skórą Wierzże tu podwikom. Tfu!

Te refleksye przerwał panu Janowi powrót gospodyni, za którą wniesiono obfitą wieczerzę.

— Przysuń się waszmość i bez ceremonii radź sobie, jak możesz — rzekła skarbnikówna. — Skorośmy ci zmarznąć nie dali, nie zamrzyj z głodu.

— Oj, nie dali — odparł Kowalski, nakładając na talerz bigosu z szafranem i pierogów hreczanych. — Trzeba dobrodziejce wiedzieć, że zem Raciąza wyjechał, skoro jeno rozwidniało, no

i któż mógł przewidzieć taką aurę... Jak dwa a dwa cztery byłbym z pocziwą szkapą gdzie w śniegu zagrzązł, gdyby nie tak fortunne Fatum. Ale, jak żywo, podobnie smacznych specyałów nie kosztowałem w życiu. Toć że to lukulowa ucztła!

Zmiał zapamiętałe gość z półmisków, aż mu się uszy trzęsły, a za każdą łyżką chwalił gospodynię i jej umiejętność kuchmistrzowską.

— I że to dobrodziejka zamaż nie życzysz? — mówił podjadłszy. — Nie mogę pojąć tej dziwnej okoliczności.

— Skądże waszmość wiesz o tem? — spytała

— Od podstarościego językam trochę ułapił

— A waszmość żonaty?

— Ja? — ramiona skulił Kowalski. — Cobym ja, panno skarbnikówno, z żoną zrobił? Chudy pachół ze mnie... ni tanu... ni dachu... Chyba, że człek teraz o tem pomyśli.

— Sukcesyę objąwszy?

— Juźci. Hm... a kto wie, czy do panny skarbnikówny nie uderzę...

— Z góry powiadam, żebyś się waszmość nie fatygował, bobyś się zawiodł.

— Wiedz aśka o tem, że skoro mnie kto straszy, do postawienia na swoim pobudza.

— A waszmość wiedz o tem, że skoro mi kto natrętnym się staje, potrafię mu w każdym razie należną dać odprawę.

Kowalski się roześmiał.

— Takaś mi aśka sroga i twarda? — rzecze.

— Jednakam zawdy — odparła skarbnikówna.

Na podobnych żartach do późnego wieczora im zeszło.

O podróży, acz niedalekiej, nie mógł pan Jan myśleć. Rad-nie-rad przenocować musiał w oficytach u Świerszcza (we dworku nie wypadało), a dopiero nazajutrz, serdecznie za gościnę podziękowawszy, do Wólki swojej wyruszył.

Nie osobliwą była istotnie ona sukcesya, po którą pan Jan zjechał, ale... ponieważ zebranego grosza coś miał, przeto długi poopędzawszy, osiadł na dziewięciu chatach i gorliwie do pracy się zabrał. Szczęśliwie mu się wiodła ta praca. Wszystko mu szło po myśli, jak z płatka.

W nader krótkim czasie zapoznał się z sąsiadami, wszędzie mir i serca zyskując, bo też zaślugał na to bez kwestyi. Rychno siał się popularnym i nader mile widzianym w każdym domu. Najczęściej przecież bywał w Zabrzeziu, bo mu się skarbnikówna podobała okrutnie. Miałci z początku pewne wątpliwości, czy podobnego temperamentu niewiasta może być dobrą żoną, wszakże niebawem do tego przekonania doszedł, że ona jedynie mogła go uszczęśliwić.

Ze był determinant, więc tedy, coś w pół roku po zamieszkanu w Wólce, prosto z mostu ją zagadnął:

— Asińdzka wiesz co?

— Jakżebym wiedzieć miała? — spytała

— Mybyśmy do siebie pasowali.

— Cóż wasze przez to rozumiesz? — rzecze skarbnikówna, brwi marszcząc.

— Jużćie nic innego, jeno, że skorobys a siúdzka zechciała przyjąć mnie jako dozgonnego towarzysza, jam gotów

Na to skarbnikówna, ramionami wzruszywszy

— Nie pleć asan andronów i jeżeli chcesz przyjazny stosunek utrzymać, proszę, nie wspominaj mi o tem nigdy.

— Czemu?

— Bo zamąż nie chce.

— Alboż mi czego brak? Alboż nie wiesz asćka w mój afekt?

— Czy waszmości czego brak, o tem sądzić nie mogę, a co do afektu... przyjazny przyjmuję, inszym mnie waszmość nie traktuj.

Spochmurniał pan Jan, głową pokręcił.

— Bodajbym asćki nie zaznawał skoro tak — mruknął i ujawszy czapkę, wyszedł precz.

Nie zaprzestał jednak o maryażu myśleć, sądząc, że dowodami stałości potrafi serce panny Urszuli zmiękczyć. Tedy często ją odwiedzał i w kilka niedziel znowu zagadnął:

— Jakże asćka myślisz ze mną postanowić?

— Lepiejbyś wasze te oto zrazy zjadł, a po próżnicy słów nie tracił — odparła skarbnikówna miśę mu przysuwając, bo przy obiedzie się to działo.

— Zrazy zjem, bo arcywyborne, ale wiedz asćka, żeś mi miłsza... nad wszystko.

— Ejże, mości panie, bo się pogniewamy! — groziła Urszula.

— Ejże, mościa panno, serca mi nie krwaw i życia nie truj!

— Panie Janie, raz ostatni proszę, iżbyś tej myśli zaniechał. Szanuję cię wielce, ale powiadam, że zamąż nie pójdę.

Wyrzekła to tak stanowczo, że Kowalski nie miał przeczyć.

— A to ci osobliwszej komplikacji temperament! — pomyślał.

Od tej pory z oświadczynami się nie odzywał, poznaawszy stanowczość skarbnikówny.

Po roku, w zapustowej porze, zjechała się szlachta do pana Maryana Zawadzkiego. Bawiono się godziwie i wesoło, a że gospodarz podejmował serdecznie, przeto niewiele czasu upłynęło, gdy podochocono sobie w miarę. Pomiędzy zebranymi był pan Jan i niejaki Karasiewicz. Ten Karasiewicz, posesyonat zamożny, do liczby rekurowanych konkurentów skarbnikówny należał, przeto gdy mu w czuprynie zaczęło, nuż jej przycinać w rozmaity sposób. Słuchał tego Kowalski, aż wreszcie rzecze dobitnie:

— Panie Floryanie, nie godzi się zacej panu na pośmiewisko wystawiać.

— Oho! — roześmiał się Karasiewicz — znalazła obrońcę za tyżkę barszczu. Musi waszmości ten kozak-baba wygódki czynić, skoro obstajesz z nią.

— Słuchaj wać... — ostro podejmie Kowalski — słowo mi jedno jeszcze powiesz, kpem cię nazwę...

Porwał się Karasiewicz z pasyą.

— Baj, baj, baj! — takie miał przysłowie — otóż powiem: że kozak baba jest, a ty za nią trzymasz, bo cię słoniną opasa.

Kowalski skoczył na nogi.

— Panowie bracia, świadkami jesteście, kto burdę wszczął. Chodź jeno Karasiu, niechno twoje łuski pomacam.

Mimo perswazyi gospodarza, Karasiewicz i Kowalski rozprawić się postanowili natychmiast. Z szablami tedy do sadu poszli, za nimi zaś szlachta hurmem. Tam, zrzuciwszy kontusze i żupany, jeno w hajhawerach, rozpoczęli taniec.

Gracz był Kowalski, ale i Karasiewiczowi nie brakowało; więc poznaawszy się wzajem, składali szable z początku niby od niechcenia, upatrując słabych stron jeden w drugim. Aż Kowalski, zamiast odbić raz, uchyła się i młyńcem jedzie Karasiewiczowi, co uczynił tak zręcznie, że drasnął go w skroń. Poczuwszy krew, Karasiewicz zapalił się... żywiej natarł. Jak nie zaczęły szable gadać i zwijać się, jak nie zaczęły obadwaj przeciwnicy sztuczek sekretnych używać... miło było patrzeć! Wtem Karasiewicz „dobrzyńskim szusem” tnie Kowalskiego w lewy bok, a ten mu wówczas „przerzucanym ciosem”*) gębę rozwalił szeroko... Padł Karasiewicz, jękawszy: „Jezus Marya”, alec pada też i Kowalski. Pierwszy miał nos przecięty i policzek, drugi lewe ramię i bok rozplątany...

Stracił przytomność pan Jan, gdy zaś się ocłknął, znalazł się we dworku własnym, na łóżku, skrzepowany bandażami, jak niemowlę. Obok łóżka siedziała skarbnikówna. Chciał pytać o coś, lecz panna Urszula zagroziła:

— Ani mi się wasze pary z ust waż puścić. Nie wolno.

Przeleżał tak nasz pan Jan cztery niedziele z ogonem, dogładany troskliwie przez skarbnikównę. Ta przecież nie rozgadywała się z nim zgola, tłumacząc, że medyk wszelkiej rozmowy zakazał. Wreszcie, gdy o zdrowiu swego pacjenta dostatecznie się zapewniła, zdała go Świerszczowi w opiekę i do Zabrzezia odjechała.

Uczuwszy się dość silnym, pan Jan za opiekę skarbnikównie dziękować pospieszył.

Tu należy dodać, że wieść o zajściu pana Jana z Karasiewiczem rozbiegła się szybko po okolicy i tego samego dnia do Zabrzezia zawitała, skarbnikówna zaś, na względy żadne nie zważając, w te pędy wysłała Świerszcza, przewiozła rannego pana Jana do Wólki i sama go dogładala... o czem też Świerszcz powiadomić Kowalskiego nie omieszkiał.

*) Sposób ten polegał na nagłem przerzuceniu szabl z prawej ręki do lewej i niespodzianem porażeniu nóg zastąpionego z tej strony przeciwnika.

W Zabrzeżu, skoro jeno próg pan Jan przestąpił, skarbnikówna wręcz do niego:

— Burda z waszmości! Gdybym się nie obawiała, że nadal takim zostaniesz, cośbym zaproponowała...

— Ależ panno skarbnikówno... — począł Kowalski.

— Siadaj waszmość, boś jeszcze niecałkiem swój i odpowiadaj — mówiła, prowadząc go do krzesła: — Chcesz mnie za żonę?

Oniemiał pan Jan.

— Gadajże waść? — powtórzyła raz jeszcze.
— Moja dobrodziejko... nie żądam, iżbym oszalał ze szczęścia.

— Więc bierz mnie waść i... bądź mi dobrym mężem...

Kowalski ręce jej pochwycił, do ust przycisnął, słowa rzec nie mogąc.

Tak się oto skojarzyło dziwnym zbiegiem okoliczności stadło, które później jako godne naśladowania uważano.

Starożytne kościoły na Górnym Śląsku.

Śląsk, a zatem i Górny Śląsk, przyjął światło wiary Chrystusowej od Słowian. W IX. wieku pojawili się tu pierwsi apostołowie chrześcijaństwa: śś. Cyryl i Metody, a przynajmniej ich wysłannicy, o których niestety nie mamy żadnych wiadomości. W tych czasach atoli przeważało jeszcze pogaństwo tak dalece, że po pierwszych czasach chrześcijaństwa na Śląsku nie pozostało śladu. Niema tu z tych czasów żadnego kościoła, żadnego biskupstwa, ani parafii. Zupelne nawrócenie Śląska dokonało się dopiero o całe sto lat później.

W roku 966 dokonało się nawrócenie Polski. Książę Mieczysław, do którego także nasz Śląsk należał, przyjął wraz z całym swym państwem chrzest św. Rok przedtem ożenił się z Dubrawką, księżniczką czeską; z nią przybył do Polski kapłan imieniem Jordan, który ochrzcił Mieczysława i został pierwszym biskupem jego państwa. Dubrawka przez Śląsk jechała z Czech do Wielkopolski; przez Śląsk była droga światła ewangelii. Kapłan Jordan nie próżnował zaiste po drodze, i niejednego pewnie Ślązaka ochrzcił wcześniej, niż księcia Mieczysława. Poświęcał



KOŚCIÓŁ W PNIOWIE.

po drodze także krzyże, a pierwszy krzyż poświęcił niezawodnie na ziemi śląskiej. A gdy w roku 968 założył Mieczysław biskupstwo poznańskie, przyłączył także Śląsk do niego. Pierwszy biskup śląski — to biskup Jordan poznański.

Pod koniec X. wieku, a zatem wtenczas, gdy już na Śląsku szerzyło się światło wiary św., udaje się biskup praski, św. Wojciech, na północ, aby nawrócić pogańskich Prusaków, i zginął tamże w roku 997 męczeńską śmiercią. Św. Wojciechowi wypadła droga znowu przez Śląsk, jak niegdyś Jordano wi. Jest podanie, że wtenczas założył kościoły w Bytomiu i w Opolu. Nie da się to historycznie stwierdzić; żaden z kościołów, które tam później istniały, nie był taki stary, żeby był mógł pochodzić z tych czasów. Zapewne trzeba rozumieć to podanie tak, że św. Wojciech w tych miastach po drodze wypoczywał, nauki i sakramentów św. udzielał i postarał się o urządzenie jakich kaplic na początek.

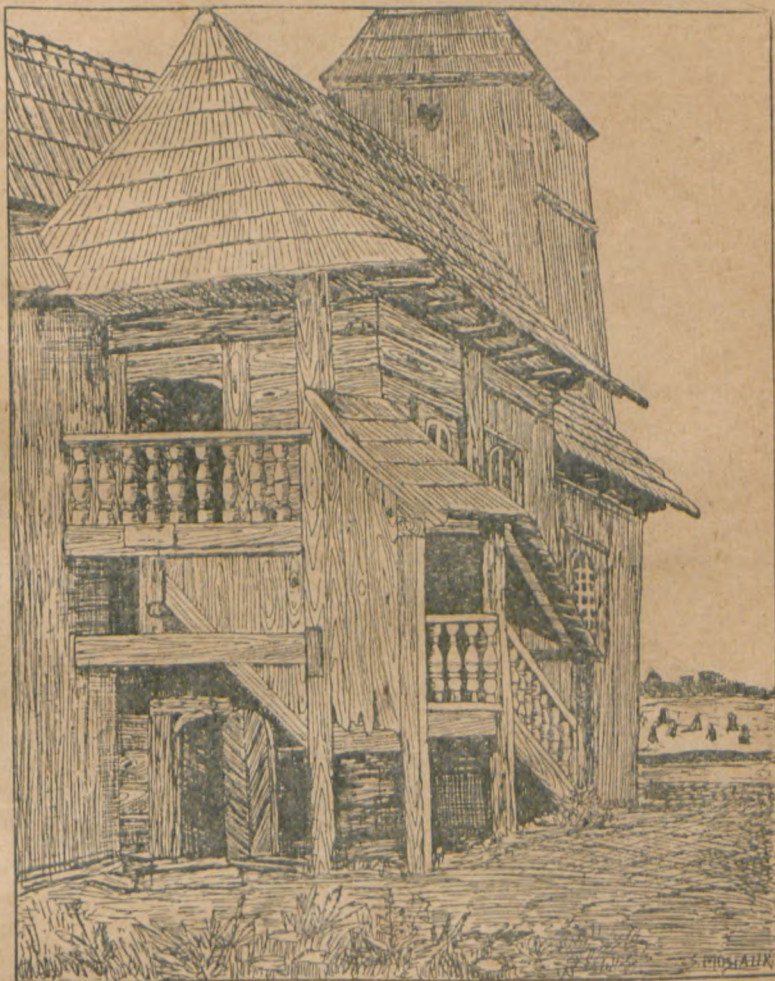
Kościółów bowiem na Śląsku wtenczas jeszcze nie było; św. Wojciech, przejeżdżając przez Śląsk, spostrzegł ten brak i postanowił mu zaradzić; jakoż potem na dworze ówczesnego władcy ziemi polskiej, Bolesława Chrobrego, o tem nie zapomniał. Być może, że najstarsze kościoły w Bytomiu i w Opolu powstały później z porady św. Wojciecha; ale on sam ich nie zakładał. W każdym razie były to raczej małe drewniane kaplice, niż kościoły w prawdziwym znaczeniu tego słowa.

Wobec tego, co wyżej powiedziano, zapytać się trzeba, kiedy powstały pierwsze kościoły na Śląsku, a zatem i na naszym Górnym Śląsku? Odpowiedź na zapytanie takie nie jest trudna.

W roku 999 powstało biskupstwo wrocławskie, do którego także większą część Górnego Śląska przyłączono. Z tą chwilą wyłoniła się potrzeba kaplic, które były poprzedniczkami dzisiejszych kościołów. Była wtenczas ziemia górnośląska pokryta gęstymi lasami, dostarczającymi podstawkiem do budowy kaplic potrzebnego drzewa. Dlatego też nie szukano innych trwałszych materiałów budowlanych, lecz stawiano drewniane świątynie. Wszyscy czytelnicy znają tego rodzaju kościoły, których i na Górnym Śląsku jest sto sunkowo wiele. Szczególnie wielką jest ich liczba w okolicach leśnych, tam gdzie wsie jeszcze są ubogie i niewielkie. Ale i w dzisiejszym obwo-

dzie przemysłowym były dawniej liczne kościoły drewniane; ponieważ z powodu wielkiego wzrostu ludności nie mogły tak wielkiej liczby wierznych pomieścić, dlatego je trzeba było rozebrać i większymi świątyniami, zbudowanymi z cegły lub kamienia zastąpić.

Kościoły w prawdziwym znaczeniu tego słowa powstały na Górnym Śląsku dopiero w XII. i XIII. wieku. Istnieją wprawdzie przypuszczenia, że już przedtem istniały kościoły na ziemi górnośląskiej, a mianowicie w Nysie już około



KOŚCIÓŁ W USZYCACH.

r. 1025, w Starejwsi pod Raciborzem około roku 1060, w Chrzumczycach pod Opolem około roku 1093, atoli brak na to dowodów. Natomiast jest pewnym, że 1193 r. istniał już kościół w Zarzykach pod Olesnem, i że 1198 r. poświęcił biskup Jarosław nowy kościół parafialny w Nysie pod wezwaniem św. Jakóba. W tym samym czasie powstał kościół parafialny w Rybniku, który poświęcił jeszcze przed rokiem 1198 ówczesny biskup wrocławski Zyrosław II.

Odtąd zaczęły się mnożyć klasztory, szpitale i inne fundacje pobożne na Górnym Śląsku. Do

pierwszych siedzib klasztornych na ziemi górnośląskiej zalicza się konwent OO. Norbertanów przy kościele św. Małgorzaty w Bytomiu, należący do klasztoru św. Wincentego we Wrocławiu. Wynika to z dokumentu ówczesnego papieża Innocentego III. z dnia 12. sierpnia 1201 r., którym zatwierdzone zostały wszystkie majątności wspomnianego klasztoru, między innymi także kościół parafialny św. Małgorzaty w Bytomiu. W roku 1211 założyła małżonka księcia górnośląskiego Mieczysława, księżna Ludmiła, klasztor

książę Bolesław II. zbudował przy kościele św. Wojciecha kościół drewniany.

W dalszych latach wzrastała się liczba klasztorów i podobnych fundacji. W roku 1280 założył wspomniany książę Bolesław opolski klasztor OO. Cystersów w Imielnicy, zaś 1287 r. klasztor OO. Minorytów w Opolu, do którego przybudował na początku wieku XIV. kościółek św. Anny. 1284 r. wspominają dokumenty po raz pierwszy o klasztorze OO. Minorytów w Nysie, podczas gdy już przedtem, mianowicie 1190 r. osiedli tu

Bożogrobcy czyli stróżowie Grobu św., założycy szpital. Drugą siedzibę mieli Bożogrobcy w Bytomiu, gdzie od r. 1300 posiadali szpital pod wezwaniem Ducha św. Trzecią siedzibą ich znajdowała się w Raciborzu, gdzie posiadali szpital św. Mikołaja z kościołem pod wezwaniem śś. Piotra i Pawła, zbudowanym w roku 1295. Poza tem założył książę Przemysław raciborski w stolicy swej Raciborzu klasztor Panien Dominikanek, wyposażając go bogato.

Wspomniano wyżej, że już przed rokiem 1200 istniały kościoły na Górnym Śląsku. Było ich, o ile nam wiadomo, bardzo mało. Dopiero wiek XIII. pozostawił liczniejsze ślady po dawniejszych kościołach górnośląskich. W roku 1201 istniał już kościół w Toszku, a prawdopodobnie w r. 1205 zbudowano także kościół parafialny w Raciborzu. W r. 1223 konsekrował biskup wrocławski Wawrzyniec kościoły w Sławikowie i w Makowie w Raciborskiem, w Maciowakrzy w Kozielskiem i w Szurgoszcy w Niemodlińskiem. Zdaje się, że ostatniem dziełem biskupa Wawrzyńca na ziemi górnośląskiej było poświęcenie kościoła w Oleśnie 1226 roku. Również kościoły farne w Opolu i Kazimierzu powstały na początku XIII. wieku, bo 1223 r.

Byłoby niepodobieństwem wyliczyć wszystkie kościoły, które w XIII. i późniejszych wiekach na

Górnym Śląsku powstały. Z zapisków historycznych wiadomo nam jednak, że w tych czasach istniały już następujące kościoły: kościół Najsw. Maryi Panny w Bytomiu (1253), kościoły parafialne w Pyskowicach (1256), w Leńnicy (1257), w Grzędzinie (1264), w Stanicy (1264), w Kamieniu w Bytomskiem (1277), w Głogówku (1284), w Chrzemczycach (1285), w Kotulinie (1285), w Gliwicach (1286), w Sławięcicach (1287), w Niem. Piekarach (1303), w Biskupicach w Zabrskiem (1305), w Jaryszowie (1305) i w Goście



KOŚCIÓŁ W PIEŁGRZYMOWICACH.

Panien Norbertanek w Rybniku, który 1227 roku przeniesiono do Czarnowasów pod Opolem.

Prawdopodobnie w roku 1258 powstał klasztor OO. Cystersów w Rudach wzniesiony przez księcia Władysława opolskiego, który jeszcze tego samego roku darował obszerne budowisko z ogrodem i młynem pod budowę klasztoru dla OO. Dominikanów przy kościele św. Jakóba w Raciborzu. Tenże sam Władysław założył 1264 roku klasztor OO. Minorytów w Głogówku. Niedługo potem osiedli OO. Dominikanie w Opolu, którym

cinie (1305 roku). Prawdopodobnie powstały w tym okresie czasu jeszcze inne świątynie górnośląskie, aczkolwiek obecnie dla braku wiarygodnych źródeł nic pewnego dociec nie można.

W pierwszych czasach budowano nasze świątynie przeważnie z drzewa, co poprzednio już wyraźnie zaznaczono. Drewniane kościoły górnośląskie przetrwały wieki. Wynika to z zapisów wyjętych przeważnie z ksiąg wizytacyjnych biskupstwa wrocławskiego. W roku 1687 było na Górnym Śląsku (z wyjątkiem starych dekanatów bytomskiego i pszczyńskiego, które należały do roku 1821 do biskupstwa krakowskiego) 169 drewnianych, 112 murowanych kościołów i 9 drewnianych, 6 murowanych kaplic.

Od roku 1687 pobudowano w miejsce drewnianych kościołów wiele świątyń murowanych, a równocześnie powstał cały szereg nowych kościołów. Mimo to przetrwała do drugiej połowy ubiegłego stulecia poważna liczba kościołów drewnianych. Przy pomocy różnych dzieł historycznych i statystycznych stwierdzono, że jeszcze w roku 1871 istniało na Górnym Śląsku około 155 kościołów drewnianych, pochodzących przeważnie z wieków dawniejszych. Obecnie liczba ta jest znacznie mniejszą; niebawem wzrost ludno-

ści na Górnym Śląsku w ostatnim pięćdziesięcioleciu przyczynił się do zaniku starożytnych, drewnianych kościołków.

Niejeden kościół drewniany, który przetrwał do czasów obecnych, wygląda, jak gdyby w pierwszych czasach chrześcijaństwa — przed tysiąc laty — był zbudowany. Tymczasem po pierwszych kościołach górnośląskich nie ma już śladu. Najstarsze kościoły drewniane, dziś jeszcze istniejące, pochodzą z wieków XVIII., XVII. a najdalej z wieku XVI. Pierwotne kościoły drewniane na Górnym Śląsku, chylące się z biegiem lat ku upadkowi, zastąpić trzeba było nowymi świątyniami. Inne zaś padły ofiarą licznych a częstych pożarów. Wobec tego liczą dzisiejsze najstarsze kościoły drewniane około 400 lat. Są to świątynie w Pniowie (w Gliwickim) z roku 1506, w Syreni (w Raciborskim) z roku 1510, w Uszycach (w Oleskiem) i w Chechle (w Gliwickim) z roku 1517.

Sposób budowy kościołów drewnianych na Górnym Śląsku był w dawniejszych czasach pojedynczy, prosty, jakkolwiek już w tych wiekach znajdujemy wspaniałe świątynie. Niektóre kościoły, powstałe w nowszych wiekach, jak w Pięgrzymowicach (w Pszczyńskim) z roku 1675

KOŚCIÓŁ W
PONISZOWICACH



i w Ponszowicach (w Gliwickiem) z pod końca wieku XVII. zaliczyć można do pierwszorzędných zabytków sztuki ówczesnej. Niebywałemi także okazami sztuki średniowiecznej są już poprzednio pokrótce wspomniane kościoły w Pniowie i Uszycach. O tych czterech świątyniach podamy niżej kilka bliższych szczegółów, tymczasem wrócimy do zaczętego tematu — dotyczącego budowy drewnianých kościołów w ogólności.

Zazwyczaj kościoły drewniane były szczupłe, o nawie mniej lub więcej podłużnej, zakończonej na trójkąt zbudowanym, ku wschodowi zwróconem presbiterjum. Zakrystya przylegała prawie zawsze do presbiterjum od strony północnej. Dachy kościołów były skromne. Były albo spadziste, zakończone wieżyczką formy cebulowatej lub też o dwóch szczytach, wyższym nad nawą a niższym nad presbiterjum kościoła. Wieża czyli dzwonnica, o ile istniała, przybudowana była ze strony zachodniej do nawy kościoła, lub też stała w odosobnieniu na cmentarzu. Okna i drzwi były prawie wszędzie proste, wewnątrz zaś wylepione gliną i bielone. Sufit był przeważnie płaski; rzadko gdzie napotkać można taflowany. Malowidła zaliczały się do rzadkości. Wprawdzie tu i owdzie widzieć było można malowidła przedstawiające ważne chwile biblijne, a i napisów nie brakło.

Skończywszy pobieżny pogląd o powstaniu i rozwoju starożytných kościołów na Górnym Śląsku, jako też wspomniawszy w kilku słowach o sposobie budowy tych świątyń, przystąpimy do podania najważniejszych szczegółów o kościołach w Pniowie, Uszycach, Pielgrzymowicach i Ponszowicach, których obrazki w tekście podajemy. Kościoły te zbudowano w dwóch różnych okresach czasu, dwa pierwsze na początku wieku XVI., dwa ostatnie pod koniec wieku XVII.

Dzisiejszy kościół w Pniowie w Gliwickiem (patrz obrazek 1-szy) zbudowano w roku 1506, a zatem jest on najstarszym kościołem drewnianym na Górnym Śląsku. Poświęcony czci św. Wacława, należy do parafii pacyńskiej i jest drugim z rzędu kościołem w miejscu. Pierwszą świątynię wspomina spis Świętopietrza z r. 1447. Rozmiar nadzwyczaj zajmującego kościoła jest bardzo mały. Chór świątyni zakończony jest w kształcie czworoboku. Wokoło niego jako też wokoło części nawy zbudowany jest obchód. Pochyła wieża kończy się kopułą barokową, w jednym miejscu przezroczystą. Na szczycie dachu nawę pokrywającego umieszczona jest wieżyczka. Więcej zainteresowania wzbudza wewnątrz świątyni. Sufit nawy podzielony jest w szerz na sześć, wzdłuż na jedenaście równokątných pól ozdobionych starami a bezsprzecznie pierwszorzędnymi dziełami sztuki malarskiej. W średnich sześciu polach mieszczą się figury przedstawiające św. Dorotę, Małgorzatę, Jakóba starszego, Wacława, pewnego nieznanego Świętego z krzyżem partryarchy i św. Jakóba młodszego. Pod obrazami

na ścianie znajdują się napisy łacińskie, niestety w ostatnim czasie przez malarza-partacza skażone. Na równoległych deskach chóru widnieją wszelkiego rodzaju malowidła.

Drugi obrazek prowadzi nas aż na sam wschodnio-północny kraniec Górnego Śląska. We wsi Uszycach, położonej na wschód od historycznego miasta Byczyny, wznosi się drewniany kościół pod wezwaniem N. Maryi Panny. Malownicza ta świątynia, zbudowana w roku 1517, nie jest ani w formie ani też w budowie do kościoła w Pniowie podobną. Długi, na trzy strony zwarty sześcioboczny chór, przykryty jest sklepieniem kolebkowatym. Na stronie zachodniej wznosi się pochyła wieża, zaś nad dachem kościoła sterczy wieżyczka w formie barokowej. Podziwienia godny jest zewnętrzny wchód na galerię, mieszczącą się nad nawą kościoła. Wewnątrz kościoła podpada obraz, stanowiący zabytek sztuki średniowiecznej. Malowany na drzewie, ma łto pozłacane i przedstawia Matkę Boską z Dzieciątkiem Jezus, św. Jana Ewangelistę i innego Świętego bez jakichbądź znaków. Obraz ten malowany jest około roku 1500.

Kościół parafialny w Pielgrzymowicach w Pszczyńskim pod wezwaniem św. Katarzyny (patrz obrazek 3-ci), zbudowano w roku 1675 w miejsce dawniejszej świątyni, o której wiemy, że już 1335 r. istniała. Chór, węższy w stosunku do nawy, jest tak samo jak w Uszycach sześcioboczny, na trzy strony zwarty i sklepieniem kolebkowatym przykryty. Brak jednak przy nim zewnętrznego wchodu, gdyż kościół pielgrzymowicki galerii nie ma. Natomiast biegnie wokoło kościoła taki sam obchód, jaki także przy kościele w Pniowie widzimy. Pochyła wieża ma zwisłe piętro, na którym mieszczą się dzwony, upiękzone przezroczystą kopułą barokową. Na cmentarzu, przy wchodzie zachodnim, wznosi się drewniany domek bramny, zbudowany w r. 1748.

Ostatnia świątynia nasza, poświęcona czci św. Jana Chrzciciela (patrz obrazek 4-ty), wznosi się w prastarej wsi powiatu gliwickiego, w Ponszowicach. Już w roku 1416 posiadała wieś kościół parafialny; dzisiejszy budynek powstał dopiero pod koniec wieku XVII. Jest to najpiękniejsza świątynia, jaką nam omówić wypada. Chór jej jest tak samo jak przy wszystkich poprzednich kościołach w stosunku do nawy znacznie węższy, lecz ośmioboczny, choć także na trzy strony zwarty. Przykryty jest sklepieniem płasko-kolebkowatym. Pod oknami chóru znajduje się podparty przypusnicami daszek, a nad zakrystyą łoża, do której prowadzą schody na zewnątrz umieszczone. Od północy nawy wznosi się kaplica na kilka stron zwarta. Częściowo wzdłuż nawy biegnie otwarty obchód. Całość przedstawia szczególnie bogate ugrupowanie. Na uboczu kościoła stoi pochyła wieża z zwisłym piętrzem mieszczącym dzwony.

Fr. Godula.

JESIEŃ.



Cisza...

Ziemia drzemie w szarym pyłe zbronowanych łanów — jak przez sen uśmiecha się brunatnymi ścierniskami i marzy o maju, o technieniu fiołków i białości jaśminów, o złocie, srebrze i chryzolitach, w które lato ubrało jej pola i o wrzącym uścisku lipcowego słońca.

Ale maj przekwitł, mozaikowane łany przywdziały włosienicę i oddychają beznadziejnością, a niebo zciemniało i teraz wloką się po nim leniwe, nikłe chmurki czy mgły, podobne do wielkich postrzępionych skrzydeł.

Cisza...

Słońce chodzi po nieruchomych szybach stawów, zapala w poczerńniętych ścierniskach blade ognie brązu i złota i patrzy na las, który mu kradnie promienie i w pożyczanych blaskach szaleje orgią barw szkarłatu i purpury — krwi i złota — rdzy i bursztynu — malachitu i szmaragdów.

A babie lato chce cały świat spowić w pajęczynę swojej przędzy. Chwyta blask słońca i pó cichej ziemi pełza tęczą, a w kryształach powietrza to płynie nisko niemi bielszemi od śniegów, to się czepia smukłych topoli i stroi im czoła w nimb biały i srebrzysty, to się wznosi ponad nie, wyżej — coraz wyżej, a w ślad za nią idzie bezbrzeżna i bezdena tęsknota jesieni.

Cisza...

Ani oddechu, ani westchnienia, zdaje się, sen wieczny... Ale oto z nad lasu wysunęło się

wielkie stado wron i przeciągłem krakaniem zmąciło spokój.

To krakanie mówiło o chłodach i o wichrze północnym, o trupach i o cmentarzyskach i w cichą martwość miało odwagę sączyć krople zniechęcenia i rozpacz. Więc od wsi odpowiedziało mu jęklive gęganie gęsi i żałosne pianie kogutów. Lecz z za węgla chaty wysunął się parobczak, szedł wolno, a potem stanął i zaśpiewał na żałosliwą nutę kujawiaka:

Powiedz ty mi raz,
Kiej mi rączkę dasz
I pierścionek z kraśnem oczkiem,
Co na palcu masz.

Z pod topoli zaś, z nad cembrowiny studni, odpowiedział mu cienki dyszkant dziewczyny:

Dam ci ja go, dam,
O mój najmilszy!
Przed obrazem Panjenczki
W niedzielę po mszy.

Poczem parobczak poskoczył pod topolę i skrobiąc się w głowę pod czapkę, rzekł z cicha:
— Słuchaj Maryś, żebyś ty mię kciała, tobym ja cię wołał...

A Maryś skrzyła róg fartucha dokoła wskazującego palca, następnie go odkręciła i zasłaniając oczy odparła:

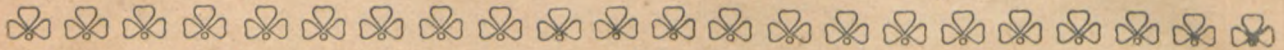
— Za cóż bym cię nie miała kcieć?...

Poczem jeszcze mówili długo i cicho, wreszcie chłopak rzucił tryumfalnie — po wykopkach i odszedł, a ona została z wiadrem u nóg, z rumieńcem na twarzy, z nadzieją w duszy.

Babim latem znowu popłynęła cisza i tęsknica, ale dla takiego kochania maj kwitnie zawsze, taka nadzieja nie więdnie w jesieni, takiego kwiatu nie zwarzy obawa mrozów i północnych wichrów. Podobno w ludzkim sercu rośnie kwiatów więcej, ale gdyby tylko ten jeden, najmniejszy miał niezwalczoną moc i siłę, gdyby

tylko ten jeden miał zdolność wiary w wieczyste zmartwychpowstanie i w odrodzenie przez wiosnę, bodajby kwiatów nie było wcale i bodaj nikczemna gleba zapadła w wieki, chłodny sen mgły jesiennej i listopadowej ciemności!...

A dziewczyna zarzuciła ręce nad głową, przebiegła się i utkwivszy jasne oczy w niebo, zaśpiewała znowu:



GODY WESELNE.

Jak dzień bez słońca, jak wiosna bez kwiatów i bez ptasząt śpiewu, tak byłyby nasze gody weselne bez starodawnych zwyczajów, pieśni i kołacza. W życiu poczciwego człowieka założenie gniazda rodzinnego i domowego ogniska jest chwilą najuroczystszą. Wszystko wymaga, aby tę chwilę uczynić najradośniejszą. aby uważać ją jako zadatek wesela, szczęścia i obfitości chleba w całym życiu nowego stadła. Rozumni ludzie szanują piękne zwyczaje, ku uczczeniu cnoty panieńskiej i świętości związku małżeńskiego, przez naród i setne pokolenia przodków naszych ustanowione i wnukom tradycją przekazane. Lecz głupcy często lekceważą i zaniedbują stary i piękny obyczaj weselny, te pieśni i obrzędy naszych praojców, te klejnoty słowiańskiego narodu, niepomni, że wyrodne dziatki, które obyczaju ojców zaniechały — nie będą ich błogosławieństwa i dobrej doli miały!

Podajemy tu niektóre śpiewy weselne, zebrane w pośród ludu przez Z. Glogera:

Swadźba.

Gospodarzu nasz, gospodarzu nasz,
Sliczne córki masz,
Staniemy tu wedle proga,
Będziem prosić Pana Boga,
To nam jedną dasz.

Gospodyni nasza, gospodyni nasza,
Sliczna córka wasza,
Staniemy tu wedle proga,
Będziem prosić Pana Boga
To będzie nasza!

Dziewiczy wieczór.

Wyszła Kasieńka na podwóreczko
I pod kaliną stała,
I zobaczyła w polu wesele,
I rzewnie zapłakała.

Moja mateńko, moja rodzona,
Cóż to takiego jedzie,
Pod pióreczkami, pod kwiateczkami,
Siwymi koczkami?

Moja córusiu, moja rodzona,
To do ciebie wesele,
To pod piórami, pod wianeczkami,
Drużyneczki tak wiele.

Ranek przedślubny.

Mój tatuniu, mój rodzony,
Nie daj mnie od siebie,
Niechże schodzę te zamzowce
Trzewiczki u ciebie.

Będą nam grali,
Będą śpiewali,
A my jako państwo młodzi
Będziem płakali.

Stado wron zapadło za wzgórzem, babie lato
pochwyliło nutę, niosło pieśń na szare pola
i poczerniało ścierniska, a potem ją pochwyliło
echo w stubarwnym lesie.

I znowu była cisza...

Moja córus, ty rodzona,
Już się nabyła,
Już nie jedne trzewiczki,
Tu u mnie schodziła.

Rozpleciny.

Usiadła Maryś na białym kamieniu,
Rozpuściła włosy po prawem ramieniu,
Oj, leżcie mi leżcie, moje złote włosy,
Już nie otrząsajcie po sadziku rosy,
Nie będę was plotła, ani ubierała,
A co na was spojrzę, to będę płakała.

Wyjazd do ślubu.

Stąpajże Maryś przez progi,	Chwytaj małego, dużego,
Chwytajże ludzi za nogi,	Nie mijaj Maryś nikogo,
Stąpajże Maryś drobniutko,	Podziękuj ojcu, macierzy,
Chwytajże ludzi niziutko.	Co cię uczyła pacierzy.

Powrót z kościoła.

Oj, jada, jada, w kolasach jada,
Wiozą Marysię z wielką parada,
Sto koni jedzie na naszym przedzie,
Drugie sto koni za nami jedzie,
Kogo spotkamy, prosimy z nami,
Na weselisko — kołacz i piwko.

Uczta weselna.

Przywieziono nam ziele	Pan družba kołacz siecze,
Od Węgier na wesele,	Aż mu pot z czoła ciecie,
Przez Dunaj go wieziono,	Pan družba kołacz kraje,
W kołacze go sadzono.	Sąsiadom go rozdaje.

A to ziele rodziło,	Równo, starosto krajcie,
Dwie jagód na nim było,	Nikogo nie mijajcie.
Jedna była jagoda,	Starego, ni młodego,
Jak nasza panna młoda.	Biednego, bogatego.

Oczepiny.

Ojże, ruciany wianeczku,
Da ciężysz mi na głowie,
Ojże, powiadają ludzie,
Że mi już nic po tobie.

Przenosiny.

Oj! dalekoż mnie, moja matusiu,
Da od siebie wydajesz?
Oj! niedaleczko, oj! przez poleczko,
Oj! ino tylko za wieś.

Oj! niedaleczko, córeńko, pójdziesz,
Da ino za górceczkę,
Oj! będziesz, córus, bywała u mnie,
W każdziutką niedziolceczkę.

Oj! bywaj u mnie, córeńko moja,
Da niezawarteć wrota,
Oj! nabywaj się moja Marysiu,
Za mojego żywota.



OBRAZ A. W. KOWALSKIEGO.

GODY WESELNE.

NIESPEŁNIONY ŚLUB.

(HISZPAŃSKIE OPOWIADANIE).

Dziwne zaprawdę zdarzenie opowiadała swym gościom, przybyłym z dalekiego kraju, stara donna Pepa, pewnego wieczora Wielkiego tygodnia w Sewilli.

Tego wieczoru balkon donny Pepy wyzierał ponad ciżbę ludu, przesuwanego się długim węzłem przez wąską ulicę.

Był to balkon stary o balustradach z żelaza kutego, pokryty plamami rdzy i pękami kwiatów szkarłatnych.

Naprzeciwko, na innych balkonach, ozdobionych draperkami z purpurowego aksamitu, widniały piękne, młode dziewczęta, ubrane czarno, w chusteczkach koronkowych, upiętych zalotnie na szczycie główek.

Oczekiwały one także na procesyę.

Ruch gwałtowny tłumu, wrzawa przeciągła, po której dał się słyszeć suchy i przygłuszony łoskot bębnow, wreszcie szybkie uginanie kolan, zwiastowały zbliżanie się procesyi.

Nagle gruchnęły dźwięki mosiężnych instrumentów orkiestry wojskowej i ukazała się w obłokach dymu kadzidel tak bardzo czczona przez mieszkańców Sewilli, La Virgen de la Esperanza. (Dziewica Dobrej Nadziei).

Tłum uniesiony zapalem, krzyknął głosem wielkim: „Viva la Virgen“.

Za pasągiem Matki Boskiej wlokły się poważne i skupione w sobie dwie bardzo młode kobiety, odziane w długie białe koszule, zamiatające bruk uliczny.

Twarze obu były niezmiernie blade, włosy rozpuszczone zdawały się jeszcze czarniejsze na białym tle koszul, wychudłe zaś ręce dźwigały ciężkie płonące gromnice.

Goście, pełni ciekawości niespokojnej zapytali donny Pepy, co znaczą te panny.

Odpowiedziała wówczas z westchnieniem:

— Są to amortajadas, dziewczęta, które uczyniły uroczysty ślub w czasie śmiertelnej choroby, że jeżeli za wstawiennictwem Matki Boskiej odzyskają zdrowie, to pójdą za jej procesyą w koszulach śmiertelnych. Jak panowie widzą, dotrzymały obietnicy, choć są jeszcze słabe bardzo i blade od śmierci, która się o nie otarła.

— Znałam jedną, — dodała po chwili smutnym głosem, — która nie wypełniła swego ślubu.

— Któż to taki?

— Siostrzenica moja, Juanita, zmarła przed dziesięciu laty. Najpiękniejsza dziewczyna w Sewilli i w całym kraju, którym opiekuje się Maria Santissima.

— Jakże to było?

Długa lza stoczyła się po pomarszczonym policzku donny Pepy. Ruchliwe jej ręce poruszały się gwałtownie.

— Straszne to było, straszne! — szepnęła. — Juanita rozpoczynała właśnie osiemnastą wiosnę swego życia i stawiała się z każdym dniem piękniejszą.

Powszechnie zwracano na nią uwagę, a kiedy zaś wracała z kościoła lub z przechadzki, — przechodnie zachwyceni, widząc jej piękność, wołali, jak to u nas jest we zwyczaju:

— Niech żyje piękna!... Niech żyje matka, co tak piękną na świat wydała.

Niejeden nawet rzucał jej swój płaszcz pod nogi, aby po nim stąpała.

Juanita była wzrostu wysokiego, a włosy miała tak długie, gęste, jedwabiste, że możnaby z nich utkać płaszcz dla Matki Boskiej.

Miała narzeczonego, imieniem Pedro, który kochał ją szalenie. Ponieważ jednak zaręczyny nie były jeszcze ogłoszone formalnie, mogła przeto rozmawiać z nim li tylko wieczorami przez zakratowane okno.

Na rozmowach tych spędzała długie godziny.

Pewnego poranka, pamiętam to jak wczoraj, Juanita drżąca i rozgorączkowana, z oczyma mgłą przysłoniętymi, nie mogła podnieść się z łóżka.

Przyznała się nam, że ubiegłego wieczoru rozmawiała bardzo długo z Pedrem przez okno, a noc była zimna i wilgotna. Widocznie się zaziębiła.

Nastaly dni smutne i męczące. Juanita mizerniała szybko, trawiona gorączką. Matka jej i ja kryłyśmy się po kątach, płacząc na widok dziewczęcia nie dawno jeszcze tak pięknego i kwitnącego, a teraz wychudzonego i majaczącego prawie bezustannie.

Pocciwy lekarz domowy wiedział, z pewnością co to za choroba, ale nie mówił nam tego. Kiwał jeno głową i za każdą wizytą zapisywał mnóstwo lekarstw.

Ale te wszystkie leki i zabiegi nie pomagały nic. Juanita marniała, ginęła w naszych oczach.

Wówczas to w całym domu rozległ się okrzyk jeden:

— Matka Boska Dobrej Nadziei uzdrowi ją!

Umieszczono tedy na okrągłym stoliku, w pobliżu łóżka umierającej Juanity posążek malowany Matki Boskiej — wśród snopów kwiecica, przyniesionych przez Pedra i otoczono stolik płonącymi świecami.

Gdy wszystko było gotowe, matka podeszła do chorej, dała jej gromnicę do ręki i kazała powtórzyć za sobą trzy razy:

— Matko Święta, włosy me są długie i ciężkie, ale jeżeli raczysz mnie uzdrowić, ślubuję obciąć je i złożyć na ołtarzu Twoim.

Wymówiwszy słowa przysięgi, Juanita podniosła włosy rozpuszczone w stronę posążka Ma-

tki Boskiej, jakby pragnąc pokazać Jej wielkość swej ofiary, poczem opadła na poduszki wyczerpana.

Zasnęła. Gdy obudziła się po kilku godzinach, czuła się lepiej. Nazajutrz gorączka zmniejszyła się, potem ustąpiła zupełnie.

Barwy zdrowia powoli wracały na twarz Juanity. Po trzech tygodniach chora mogła już powstać z łóżka.

Tak, panowie: Matka Boska uzdrowiła ją.

Po wyzdrowieniu Juanita stała się znowu piękną, piękniejszą nawet niż była przed chorobą, bo cierpienie dziwnie wyszlachetniło jej rysy.

Ze spełnieniem jednak ślubu, złożonego Matce Boskiej, wciąż się ociągała.

Wydawał się on jej snem chorobliwym, a powracające zdrowie rozpraszało go w tysięcznych nieciechach młodości.

Gdy matka mówiła:

— Jutro przyjdzie Miguel, fryzyer i obetnie włosy — Juanita wołała głosem słodkim i błagalnym:

— O! mamó droga, Pedro ma przyjść właśnie jutro. Pozwól, niech mnie jeszcze raz zobaczy w całej piękności włosów moich...

I tak prosić umiała, że matka słaba dla ukochanej córki, ustępowała.

Jednakowoż w głębi duszy dziewczyny musiały odzywać się wyrzuty sumienia, pewnej bowiem nocy — krzyknęła przerażona.

Włosy jak węże owiły się dokoła jej szyi, dusząc, a gdy usiłowała straszny węzeł rozluźnić rękami, zdało się jej, że słyszy jakiś nieznany głos w kącie pokoju.

Zerwała się tedy z łóżka. Włosy ciążyły i paliły tak straszliwie, że chciałaby wyrwać je wszystkie odrazu. Pó omacku szukała nożyczek i wreszcie łkając padła znowu na łóżko.

— Ze świtem, ze świtem — szlochała — niech przyjdzie Miguel... Miguel verdugo (kat) niech mi obetnie włosy... a potem pójdę do kościoła i złożę je na ołtarzu.

Skoro nadszedł poranek, biedna Juanita nie mogła wstać z łóżka. Zanadto wyczerpały ją przejścia nocne.

Niemniej przyzwano Miguela. Skoro jednak fryzyer zjawił się, Juanita nie chciała go przyjąć.

— Już i tak jestem ukarana — wołała — Matka Boska przebaczy mi, że nie dotrzymam Jej obietnicy, że pragnę zachować piękność moją!

Widocznie jednak ślub musiał być dotrzymany, bo od tego czasu włosy ciążyły Juanicie nieznośnie i choć były tak suche, że trzeszczały przy czesaniu, zdawało się jej, że zmoczono je wodą.

Ciażyły jej jak zgryzota, jak wyrzut sumienia, a przytem nabrały wrażliwości dziwnej, bowiem przy dotknięciu skręcały się, jakby od bólu.

Na samą wszelako myśl rozstania się z niemi wzdrygała się dusza Juanity.

— Jaktó, za kilka słów, które kazano wymówić jej, gdy leżała niemal bez przytomności, miałby Miguel ściąć jej włosy nożycami, pozbawić ją najpiękniejszej ozdoby?!... Nie, nigdy!...

— I stał się — szepnęła Pepa — cud okropny... Pewnego poranka matka zastała Juanitę w łóżku nieżywą!

Bujne sploty czarnych jej włosów okryły twarz, wdzierały się do ust, okręciły szyję...

Umarła zaduszona... zaduszona włosami, które nie należały do niej, bo ofiarowała je była Matce Boskiej...

Donna Pepa umilkła, a oczy jej wilgotne skierowały się ku posązkowi Matki Boskiej, przed którym migotało światło lampki...

Słuchacze milczeli także — wzruszeni...

Z LEGEND KASZUBSKICH.

Latem, gdy w starym drewnianym kościółku w Swornych Gajach*) duże dzwony biją z wieży — w jeziorze „Starcu” coś się odzywa: — jakby jęki jakieś, — jakby płacz przytłumiony, — jakby odgłos pękniętego dzwonu. Podanie głosi, że w jeziorze tem śpi wojsko całe, kiedyś zatopione. Kobiety i dzieci przechodząc wtędy tam, boją się i żegnają, bo:

„Któż tam odgadnie,
Co w Starcu jest na dnie,
Wedle starych ludzi opowieści
Tajemnice piekielnej treści.”

Ale największe, niepojęte dziwy dzieją się w jeziorze w noc świętojańską. Woda się wyraźnie gotuje, potem słychać: plusk wody, rzenie koni,

trąbkę wojenną, a nim kur zapieje, tętent licznych koni ku mogile Księcia Kaszub. Mogiłę tę usypały wiatry północne wysoko — wysoko ponad jezioro, aby księżę, gdy się obudzi, mógł okiem objąć całe swoje ukochane Kaszuby; te jeziora tak ciche — te bory prastare tak ciemne i tę wielką groźną pustynię złotego piasku! — Księcia kaszubskiego uspiły boginki leśne; — gdyż jego wojsko utonęło. — Spi on na miękkim i białym posłaniu z wrzosów, paprocie mu się kłaniają — macierzanka tchnieniem swem go upaja, a czarny bór smętne dunki śpiewa. Co rano, gdy noc z dniem się żegna jasny promień różowej „Jutrzenki” całuje lube usta swego uspiętego kochanka.

Lud mniema, że kiedyś wybije godzina, w której i księżę i dostojni rycerze w jeziorze obudzą się i powstaną!

*) Wieś na Kaszubach, położona w bliskości jeziora, zwanego Starzec.

KOŃ PRZYJACIEL.

Przemysław Sreniawita, sterany wiekiem wracał w rodzinne strony. Jechał na Białonóżce swej. Wracał smutny i zgnębiony.

Miał niegdyś liczne włości, dom okazały, przyjaciół moc wielką i sług poczet liczny.

Dzisiaj wracał do małego, nędznego dworku, do starej, szczupłej zagrody, leżącej u stóp wysokiej góry.

Majątkości się wyżył.

Pierzchno przyjaciół grono, gdy z bogatego stał się biednym.



Cały jego majątek — to Białonóżka rozumna i przywiązana do niego, jedyny druh i przyjaciel.

Przybył do zagrody i zamieszkał w dworku, chylącym się do upadku, co długo stał pustkowiem.

Późna jesień była, drzewa stały ogołoczone z liści, suchemi, rozrzuconemi na ziemi wiatr pomiałał.

Wkrótce nadszła zima z płatami śniegu, mrozem i zawieją.

Smutno było w dworku Przemysława.

Trochę zostało grosiwa, więc z dnia na dzień włócił życie nędzne, więcej dbając o Białonóżkę, niż o siebie.

Białonóżka wybiegała często ze stajenki, rżąc radośnie i spoglądając na pana swego wielkimi, rozumnymi oczami.

Zabłyła na niebie i ziemi wiosna, budząc wreszcie do życia uśpioną naturę pieszczotą, wabiąc ku sobie, wonią i pieśnią ciesząc ludzi.

Przemysław atoli się nie weselił, blaski lśniącego w przestworzu, promienie słońca jasne i gwar wiosenny dokoła, nie ożywiły go, nie dodały mu nadziei i nie zagrzały do życia.

Pochylił się ku starości bardziej jeszcze, smutek i zgryzota zasępiły mu czoło.

Przywołał raz Białonóżkę ku sobie i zaczął się z nią żegnać...

Objął szyję konia swemi ramionami i rzekł:

— Białonóżko moja, mój jedyny druhu, musimy się rozstać. Próżny jest żłób twój: niema ani garstki siana, ani owsa ziarenka. Pastwisk nie posiadam. Sprzedać cię nie chcę, acz tylu kupców o ciebie się napraszało. Nie mogę! Byłaś mi wierną i nazbyt cię Kocham. Idź, pędź na step bujny, tam znajdziesz karm obfity. Tam na swobodzie harcuj. Idź moja towarzyszeko.

Spojrzała nań wymownie, jakby zrozumiała każde słowo.

Wyprowadził ją za wrota i ręką w dal pokazał.

Zarżała Białonóżka, głowę schyliła do nóg Sreniawity i po chwili pomknęła.

Kilka razy zwracała głowę ku panu swemu aż znikła zupełnie.

Przeszła uroczą wiosną i lato zbiegło skwarne. Nadszła chmurna jesień.

Powoli, bardzo powoli wlokły się dni Przemysławowi, na progu jego chaty zasiadła troska i objęła go w swe ramiona... tęsknił za Białonóżką, za swym koniem.

Przypominał zbiegłe lata. Wszędzie i zawsze widział swego nieodstępного i wiernego towarzysza, swą Białonóżkę.

Gdy słyszał szmer spadających z drzew liści, zdawało mu się, iż to w jego sercu one opadają; gdy wicher huczał, to jakby głosy, rozlegające się w duszy, jakieś dumki żalose, jakieś skargi i jęki, bo w jego wyobraźni grób się mieścił przy grobie...

Gdy raz tak siedział późnym wieczorem w zadumie głębokiej, usłyszał nagle kołatanie do wrot. Zdziwił się wielce.

— Cóżby to być mogło? — pomyślał.

Usłyszał wtem rzenie Białonóżki.

— Nie, to wiatr zapewne jesienny, to gra wyobraźni, złudzenie niestety.

Białonóżka na stepie bujnym rej wiodła wśród koni tabunu, rzenie jej było rozkazem, na głos jej zbiegało się stado i dążyło, kędy ona chciała. Raz otoczona licznym orszakiem klaczy i źrebiąt wybrała się w drogę.

Dokąd?... Pomknęła na północ.

Usiłowano kilkakrotnie zatrzymać tabun w biegu.

Na czele pędzi z grzywą rozwianą Białonóżka rąca, tuman z pod kopyt się wzbija, a ona... rży coraz radośniej, bo czuje zapach pól rodzinnych, bo się zbliża do ojczystej ziemi.



Kołatanie do wrót się wznowiło.
Rżenie Białonóżki głośniej się rozległo.
Wybiegł Sreniawita, otwiera wrota i oczom
wierzy.

Przemysław niebawem, dzięki Białonóżce, ko-
le bowiem rozkupiono w mgnieniu oka, odzy-
kał stracone mienie.

Na górce, którą nazwał Koniuszą, wzniósł
kościół okazały na pamiątkę odzyskania ojcowi-
ny i powrotu towarzysza.

Koń żołnierski toć to typ prawie dziś niezna-
ny, bo gdzie może, zwłaszcza w armiach euro-
pejskich, dojść do tej zażyłości między koniem
a jego przygodnym panem? Inna rzecz, gdy daw-
niej, zwłaszcza u nas, w czasach najświetniej-
szych dla jazdy polskiej XVII-go i XVI-go wieku,
jeździec był właścicielem konia lub jako pocztowy
stanowił jedność nierozdzielną z wierzchowcem,
czyha śmierć jednego z nich wpływała na zmia-
nę składu tej bojowej jednostki.

W długich pochodach, atakach, ręcznej walce,
ciągle obcujać z jednym człowiekiem, zwierzę na-
bierało pewnych cech w usposobieniu, podobnych
do charakteru pana.

Jeździec spokojny, rozważny, wyrabiał w
swym wierzchowcu przez ciągłą styczność pewną
rozwagę i zastanowienie, gdy tymczasem wojak
pędziwiatr, lecący bez namysłu naoslep przed sie-
bie, przyuczał konia do nieliczenia się z przeszkod-
ą, do walenia, jak to mówią, łbem w ścianę,
gdyby ta stała na drodze. Ludzie źli, impetycy,
zwyczajnie narowiały konia, a jeśli im nie uczyni nic

złego, to jedynie przez bojaźń kary, nie zaś z
przywiązania do osoby jeźdźcy.

Znane są wypadki tęsknoty konia za panem.
Tak tęsknił, odmawiając jadła, wierzchowiec Ste-
fana Czarneckiego, gdy pan jego, złożony niemo-
cą, nie mógł go o zwykłej porze odwiedzić. Bro-
niły konie rannego jeźdźcy wśród bojowego za-
mętu, co dało myśl Kraszewskiemu, gdy pisał po-
wieść p. t. „Pamiętniki Mrocza”, do utworzenia
bardzo wdzięcznego wojennego obrazka. Ież to
wróżb wyciągali dawni żołnierze, biorąc pod uwa-
gę zachowanie się i fantazje swych koni! Gdy
np. przed bitwą koń w stajni lub na biwaku le-
żał, zła była przepowiednia dla jeźdźcy lub ko-
nia: śmierć albo rana; gdy zaś przy wejściu do
stajni zarżał wesoło na widok pana, otucha wstę-
powała w serce wojaka; za dobrą wróżbę uwa-
żano też, gdy konie parskały w pochodzie. Koń
wiarus, dostawszy na swój grzbiet rekruta, nie
sobie z niego nie robił, a na musztrze więcej sy-
gnałów trąbki niż woli jeźdźcy słuchał, mając tę
pewność, że lepiej sam żądane obroty wykona-
ni niż gdyby wszedł w jakikolwiek kompromis z nie-
wprawnym jeźdźcem. Koń bojowy doświadczony,
drżał i potniał ze wzruszenia, gdy wyszła
komenda przygotować się do ataku, a po zatrą-
bieniu sygnału na: Marsz! marsz! — próżneby były
usiłowania utrzymać go na miejscu. Wiele koni
żołnierskich brało czynny udział w bitwie, gryząc
i wierzgając konie nieprzyjacielskie, a nawet ką-
sając wrogich jeźdźców.

U dawnych Słowian palono zwłoki wojaka,
składając na stosie broń, zbroję jego, tudzież bo-
jowego konia i ulubioną sforę psów. Zabierał
tym sposobem w pojęciu ówczesnych z sobą wszy-
stko, co miał najmilszego i najwierniejszego, a
popioły razem zmieszane utrwały symbolicznie
tę jedność człowieka z wiernym zwierzęciem. Nie-
jednokrotnie przytaczane są w historii fakty prze-
czuwania nieszczęścia przez koni. Po śmierci lub
kłęsce przypominano sobie, że zwykle posłuszny
rumak tego lub owego rycerza stawał dęba lub
potykał się, okazując niechęć do marszu bez wi-
docznej przyczyny.

Jako znak jedności i przywiązania do dziś
utrzymał się zwyczaj w wojsku, iż za trumną
oficera prowadzą okrytego kirem wierzchowca.
U nas, dawniej, każdy szlachcic był rycerzem,
a zwyczaj prowadzenia za zwłokami pana wier-
nego rumaka należał, zwłaszcza na wsi, do forn-
konicznych w obrzędach szlacheckiego pogrzebu.



MODLITWA ZA OJCZYZNĘ.

BOŻE! który stworzonym od Ciebie ludziom, oddając w dzierżawę ziemię, na różne podzieliłeś je narody, a każdemu odmienny nadawszy język, odmienne obyczaje, oddzielne granice, przy powszechnej miłości bliźniego, zaszczyliłeś w sercach wszystkich szczególną miłość Ojczyzny; przyjm łaskawie modły, które za ukochaną Ojczyznę naszą, my, jej synowie przed Ołtarz twój niesiemy.

Ty! który zatraconą aż do imienia Polskę, cudem wszechmocności Twojej wskrzesiłeś, racz dopełnić miłosierdzia Twojego. Zasłużyli zapewne Przodkowie nasi na chłosty, którymi ich, Ojczy Niebieski, tak długo karałeś. Żałujemy serdecznie za przestępstwa Ojców naszych i nasze własne, przepraszamy Cię za nie o BOŻE! a prosimy pokornie, abys był miłościw Ojczyźnie naszej. Niech za łaską Twoją odzyska resztę dziedziny swojej, a z nią dawną świetność i sławę. Natchnij mądrością jej rządców, karnością i męstwem jej obrońców, nie, aby kiedy będzie potemu sposobność, obce najeżdżali krainy, lecz aby swojej od napaści bronili. Wznieć we wszystkich kraju mieszkańcach, powszechną czynność i pracowitość. Naucz ich ze wszystkich źródeł krajowego bogactwa mądrze korzystać. Daj dobrym w kraju ustanowieniom wzrost potrzebny, udoskonalenie i trwałość. Wytęp wszystką między stanami zawiść, rozwiążłość ludu i pychę możnych. Niech w Ojczyźnie naszej, sam tylko występki i zbrodnia będzie ohydą i hańbą, a cnota, zasługa i zdatność, jedyną do wszelkich urzędów drogą. Wykorzeń samolubstwo tuczące się kosztem dobra powszechnego; niech los ślepy i względy prywatne żadnego do rzeczy publicznej nie mają wpływu. Niech każdy obywatel, w powszechnej tylko Ojczyzny pomysłności swoje upatrując dobro, gotów zawsze będzie majątek i samo nawet życie, chętnie dla niej poświęcić. Dopomóż nam BOŻE! abyśmy takimi będąc obywatelami, ze wszystkimi rodakami naszymi, wspólną złączeni Ojczyzną w zgodzie i jedności między sobą, a w stałym z sąsiadami żyjąc pokoju, Ciebie Stwórcę i Powszechnego Ojca kochali, czcili, wielbili, teraz i przez całą wieczność. AMEN.

Modlitwa ta, rozszerzona w Polsce w latach 1861—1863 i do dzisiejszych potrzeb się stosuje, wskazując wszystkim obywatelom Polski ich obowiązki.)

Bóg doświadcza — Bóg pociesza.

I.

Ten tylko, kto mieszka we Flandryi, wie, jak smutna jest postać tego kraju przy końcu jesieni, gdy zimny i rześisty deszcz pada przez kilka tygodni. Niebo ciągle jest pochmurne, nie ma ani promienia słońca, ani kawałka błękitu; wiatr świszczy i wyje gwałtownie pomiędzy drzewami i wstrząsa ich obnażone konary; po drogach zamienionych w potoki płynie bystra woda z mułem zmieszana. Ta wilgotna atmosfera ściska nerwy i zachmurza najweselszą wyobraźnię. Wszystko przejmuje się wrażeniem smutku. Bydło gnuśnie kładzie się w stajni i obojętnie patrzy na przynieszoną paszę, a jego bezczynni właściciele siedzą w milczeniu przy ognisku. Gospodynie nawet, zasmucone szumem wichru, którego wstrząsa oknami, nie są tak zwinne; zapominają rozweselać gospodarskie prace śpiewaniem starych ballad; zawczasu zamykają drzwi i psy spuszcza. Bo w takiej porze, gdy noc zapada o 4-ej, oddziały żandarmeryi nie zapuszczają się w niedostępne drogi, a złoczyńcy krążą około folwarków i nie raz napadają na nie z toporem w ręku. Dla tego też, wiadomość o pożarze lub zabójstwie częstokroć podwaja przestraszony i nieufność, a gospodarze ryglują drzwi i nabijają zardzewiałe muszkiet, wiszący spokojnie nad kominem.

Otóż więc: było to przy końcu jesieni: noc zapadła, deszcz gwałtowny padał, po drogach spływała woda, a przecież człowiek mający około czterdziestu lat, jechał z udaną obojętnością, małym wózkiem, ciągniętym przez wychudłego konia. Wózek ten składał się z dwóch oddzielnych części; na przodzie był to jakoby karykiel, a w tyle była ogromna skrzynia, tak wysoka jak karykiel i zapewne przeznaczona na towary. Latarnia przymocowana do jednego boku wózka, rzuciła żółtawe światło na twarz podróżnika i ukradkiem pokazywała jego fizyonomię pełną energii i czoło zachmurzone jakąś smutną myślą. W rzeczy samej, biedny ten człowiek, mimo uporczywego boju z nieszczęściem, stracił wszystko co tylko posiadał, stracił skutkiem niespodziewanego ciosu, który niszczy najlepsze, najrozsądniejsze rachuby. W wigilię dnia tego, przybywszy do wioski Lejendorp, wypakował szkła i fajanse, składające jego ładunek. Nazajutrz spodziewał się pomyślnej sprzedaży i usnął z nadzie-

ją, że po tygodniowym pobycie w Lejendorp nie mało pieniędzy przywiezie do domu, gdy wtem obudziło go wołanie: „gore! gore!”... Zerwał się napół nagi. Karczma, gdzie w osobnej izbie złożył był swoje towary, już stała w płomieniach i zaledwie zdołał wyratować pustą brykę i konia. Musiał wyjechać nazajutrz rano, zniszczony ze szczeniem, z rozpaczą w sercu. Dlatego to puścił lejece koniowi, dlatego brwi jego zmarszczyły się z wyrazem ponurej i okropnej boleści.

„Smutny będzie, pomyślał sobie, mój powrót do domu. Żona moja, matka i syn, liczą, ile dni jeszcze upłynie i mówią sobie: „Dziś zaczął się jarmark, przedaj pójdzie mu pomyślnie, powróci za osiem lub dziesięć dni z dobrym zarob-



...jechał z udaną obojętnością, małym wózkiem, ciągniętym przez chudego konia.

kiem i zapłaci długie, które zaciągnąć musiał podczas trzymiesięcznej choroby. Nieszczęście! jutro zobaczą mię powracającego, bez szeląga, zniszczonego, zadłużonego, zagrożonego więzieniem, bo lichwiarz, który mi pożyczył trzy tysiące złotych, nie zaczeka ani jednej godziny. O mój Boże! jakżem nieszczęśliwy! Cóż przewinił Mikołaj Dow, że tak surowo z nim się obchodzisz!

„I nie mam żadnego środka ratunku! Będąc winien tak znaczną kwotę, nie znajdę nikogo, któryby mi chciał dopomóc. A więc nędza i sromota spadnie na mnie i na rodzinę moją, gdyż wrzucą mię do więzienia złodziejów i bankrótów!

„Nie! — zawołał uniesiony rozpaczą — nie! nie pójdę do więzienia. Jeśli nie mogę dopomóc

mojej żonie i synowi, jeżeli mam ściągnąć na nich ohydę, zakończę nędzę, która mię tak długo obarcza. Umrę.”

I mocno zaciął konia, który powoli i z obawą postępował nad brzegiem głębokiego wąwozu.

Koń przestraszony wstrzymał się natychmiast i nie chciał iść mimo wołania i razów. Podczas tej sprzeczki wóz cofnął się, brzeg wąwozu rozmoczony od deszczu osunął się, a powóz, koń i człowiek wpadli z łoskotem w przepaść, w głębi której płynął wezbrany potok.

Wóz roztrzaskał się na kawałki, a bystre nurty porwały pokaleczone zwłoki konia. Ale człowiek, ze złamaną ręką i zranioną głową, uczył znowu, w tem okropnem niebezpieczeństwie, przywiązanie do życia, którego przed chwilą chciał się pozbyć i usiłował dostać się do brzegu.

Po niesłychanych wysileniach dokazał tego, ale nie mógł uchwycić się brzegu, gdyż był za bardzo śliski. Bystry potok wycieńczył siły nieszczęśliwego i uniósł go w swoim pędzie. Wkrótce przestał pływać. Potem zniknął w toni i tylko dwa razy jeszcze wyrzuciła go woda.

Nareszcie pień drzewa leżącego w poprzek potoku zatrzymał trupa.

II.

Nazajutrz słońce weszło jaśniejące na wypo-godzonem niebie, a jego promienie zaiskrzyły ty-sięciem światła mokry i jeszcze ciekący dach male-go domku w Lejdzie.

Dlatego też trzy kobiety mieszkające w tym domu, które zaledwie zdołały usnąć pośród huku burzy, obudziwszy się rano, doznały, na widok pogodnego słońca i błękitu nieba, takiej radości, jak Noe w arce, gdy gołębicą przyniosła mu różdżkę oliwną. Przydać trzeba, że prócz pogody, wracającej po tylu dniach dżdżystych, inny powód zadowolenia rozpogodził ich twarze. Rzęsisty deszcz wczorajszy napełnił trzy ogromne beczki stojące pod rynnami, i zacne gospodynie miały zapas przynajmniej na trzy tygodnie wody najlepszej do prania bielizny; nie licząc i tego, że woda ta potrzebuje daleko mniej mydła, niżeli woda ze studni albo źródła.

Najpierwej przeto udzieliły sobie tę ważną wiadomość.

— Mamy trzy pełne beczki — rzekła tłusta Barbara do swojej pani, która jeszcze leżąc w łóżku, karmiła ładną dziewczynkę, dopiero pięć miesięcy mającą.

— Trzy beczki są pełne, matko — powtórzyła ta młoda kobieta do podeszłej damy, która ją pocałowała w czoło. Dziecię spojrzało na babkę błękitnymi oczyma i uśmiechało się do niej, nie puszczając wszakże piersi matczynej.

— Wiem o tem Garitto, wiem, nieraz bowiem obudziłam się tej nocy i słyszałam, jak woda leciała rynną. To dobrze, pomyślałam sobie, nocujemy w ciepłych izbach, my tu, a syn mój w Lejendorp. Bogu niechaj będą dzięki za ten deszcz;

byleby tylko nikomu krzywdy nie zrobił, oszczędzi bowiem roboty Barbarze, a nasza bielizna będzie jak najbielsza. A Gerard czy śpi jeszcze? — przydała, podnosząc firankę zasłaniającą okno małego gabinetu.

— Spi snem jak najgłębszym od wczorajszego wieczora i ani się domyśla biedne dziecię, że tej nocy była taka burza. Gerardzie, Gerardzie!

— Co, babko? — odpowiedział dwunastoletni chłopczyk jeszcze nawpół uspiomy.

— Ósma bije — odpowiedziała ze złośliwym uśmiechem — za późno przyjdiesz do pracowni.

— Ósma, ósma! Będą mię łajać.

I z pośpiechem dziecię zerwało się z łóżka.

— Nie spiesz się tak, Gerardzie, masz czas ubrać się i zjeść śniadanie, dopiero jest wpół do siódmej.

— Ach, babulu! zawsze mi wyrządzasz tę psotę.

— I dlatego zapewne nie uściskałeś ani mnie, ani twojej matki i maleńkiej siostrzyczki?

— Przebacz mi; ale bo nie można późno przychodzić do pracowni. Rembrandt się gniewa i łaje. Przeciwnie zaś, dobra panna Ludwika, gdy wcześniej przyjdę, nie omieszka powiedzieć: „Otóż jest Gerard, najpilniejszy ze wszystkich naszych uczniów”, a to mi jest bardzo przyjemnie.

Gdy tak rozmawiali, Barbara otwierała sklep i myła jego posadzkę z palonych kafli zrobioną.

Na pierwszy rzut oka trudno byłoby powiedzieć, jaki był główny handel, którym trudnili się właściciele tego sklepu, zawalonego tysiącem rozmaitych rzeczy. Ażeby się objaśnić, trzeba było przeczytać szyld, na którym dużemi literami ze złota już wypłowiałego napisano:

Pod czerwoną pończochą

MIKOŁAJ DOW

Kupiec towarów szklanych i łokciowych.

Zresztą, najmniej było szkła w tym sklepie, a za to znajdowało się mnóstwo innych rzeczy, jako to płótna, korzenie, a nawet szkarpetki i kaftanki.

Sklep Mikołaja Dow, zarządzany przez jego żonę i matkę, posiadał wielką sławę w Lejdzie, wiadano, że tam wszystkiego dostać można taniej niżeli gdziekolwiek indziej, że towary są w jak najlepszym gatunku i nareszcie wszyscy przyzwyczaili się Bóg wie od jak dawnego czasu kupować w tym sklepie od pani Dow, dobrej starej kupcowej, wiedzącej o wszystkim, co się dzieje w mieście i tyle tylko zaceniałej wyżej nad istotną cenę, ile było trzeba, iżby mieli przyjemność potargować się trochę.

Trzeba ją było widzieć w tym sklepie, w małym czepekku jaśniejącej białości, który pokrywał jej siwe włosy, podług zwyczaju krajowego. Uprzejma, rozmowna, z uprzedzającą żywością usługiwała gościom, a dosyć znaczna otyłość nic jej nie przeszkadzała. Jeśli przez chwilę nie było

nikogo w sklepie, pani Dow stawała na progu, spoglądała co się dzieje w sąsiedztwie, witała znajomych, którzy przechodzili koło jej sklepu (a miała znajomych w całym mieście), a jeśli było dosyć czasu, prowadziła z nimi rozmowę. Zresztą, chociażby jak najwięcej osób było w sklepie, na najmniejszy hałas wybiegała na próg, pytała się o przyczynę tej wrzawy i wracała natychmiast opowiedzieć ją swym gościom, nie mniej ciekawym.

Dziewiąta biła; mały Gerard dawno poszedł już do pracowni Rembrandta, jego matka uspiwszy dziecię, dopomagała Barbarze mydlić bieliznę i już pięciu lub sześciu kupujących zawitało do sklepu.

Wtem nadzwyczajna wrzawa powstaje na końcu ulicy, ta wrzawa musi oznajmiać wielkie zebranie ludzi, albowiem odgłosy licznych stąpań dają się słyszeć, pomieszane z niewyraźnym wołaniem.

Wokamgnieniu pani domu wybiega na próg i patrzy w tę stronę, skąd idzie gromada, lecz słońce bijąc jej w oczy, nie dozwalało jej widzieć dobrze, musiała rękę przyłożyć do oczu.

— O Boże! gdzie idą ci ludzie, niosąc nosze pokryte prześcieradłem? Dobrze! idą ku mnie, zaspokoje moją ciekawość.

Jeden z ludzi odłączył się od gromady i postąpił ku niej.

— Dzień dobry, sąsiedzie. O Boże! jakże jesteście blade? Wnijdź i usiądź.

— Pani Dow! biedna pani Dow! — rzekł ten człowiek, skinąwszy na orszak, aby nie postępował naprzód.

Ścisnęło się serce starej kobiety, sama nie wiedziała dlaczego; jakaś niespokojność ją ogarnęła, chociaż przekonana była, że to nieszczęście nie może jej zagrażać.

— Cóż ci to jest, kumie? mów, cóż ci się stało?

— Mnie nic, moja kochana pani, ale wam...

— Mnie!

— Milczcie, potrzeba przygotować waszą córkę na tę okropną wiadomość. Karmi, mogłaby to przypłacić życiem.

— Mój syn!

— Jego to przynoszą.

— Mój syn! mój syn jest zraniony. Ach! może niebezpiecznie. Lećmy.

— Zostań, zostań!

— Zatrzymujesz mnie... a więc umarł!

Blada wyrwała się z rąk tego człowieka i pobiegła do gromady. Na jej widok tłum ustąpił z uszanowaniem.

Stara kobieta postąpiła prosto ku noszom, odrzuciła prześcieradło zakrywające zwłoki jej syna i patrzyła na trupa, nie roniąc ani jednej łzy, nie wydając ani jednego westchnienia.

Jest rozpacz, w której płakać nie można. Jej spojrzenia były krwawe i wryte, oczy zamykały się konwulsyjnie, a zęby szczykały gwałtownie;

może byłaby nie zniosła tego ciosu, ale proboszcz jej parafii nadszedł na tę scenę rozpacz, zbliżył się do nieszczęśliwej matki, wziął ją za rękę i rzekł po cichu:

— A twoja synowa? a twoje wnuki?

Spojrzała na niego, dwie łzy puściły się z jej niewzruszonych powiek i spłynęły po zmarszczonych licach.

— Pójdę do niej — rzekła nareszcie. Uszła kilka kroków i zatrzymała się.

— Nie, nie zdołam jej tego powiedzieć — zawołała.

Przez ten czas młoda kobieta, ciekawa jak wszystkie osoby wiodące jednostajne życie, wybiegła także dowiedzieć się, dla czego takie mnóstwo ludzi zebrało się na ulicy. Bliskość niebez-



— Oto jest weksel waszego syna; winien mi jest trzy tysiące złotych.

pieczeństwa, przywróciło starej matce siłę i przytomność umysłu.

— Garitto — rzekła — pójdź; odejdź stąd.

Zaprowadziła ją do izby za sklepem i zalana łzami rzuciła się w objęcia nieszczęśliwej małżonki.

— Mąż mój! co się stało mojemu mężowi? — wyjąkała Garitta i zemdlła.

Przyszedłszy do siebie, ujrzała proboszcza i Barbarę ratujących ją ze łzami, matkę, która jej podawała niemowlę i Gerarda płaczącego rzewnie.

— Ach! — zawołała — przecież mi jeszcze coś pozostało na ziemi.

I na pół obłąkana prawie, podała piersi dziecieniu.

Lecz wskutek boleści nagle utraciła pokarm.

— Ani matka, ani żona! niczem już nie jestem; niczem o Boże! — zawołała biedna wdowa, z twarzą rozplamioną od gorączki, z obłąkanymi oczyma, z drżącymi i spiekłymi ustami. — Chcesz więc Boże i mnie powołać do siebie!

Wtem objęła dwoje swoich dzieci i konwulsyjnym uściskiem przytuliła je do serca.

— Nie chcę umrzeć! nie chcę was porzucić sieroty! Ach, to rzecz okropna! biedne sieroty, nie mają ani ojca, ani matki. Nie chcę, ażebyście były sierotami. Ach! otóż jakiś człowiek... chce je porwać!... nie dostanie ich, nie dostanie.

I stojąc na łożku, na pół obnażona, z rozpuszczonymi włosami, szarpała się i groziła doktorowi, którego przywołano.



— A cóż, — rzekł Rembrandt — ten sklep, czyli się wam podoba?

Doktor milcząc, dotknął się pulsu chorej, położył rękę na jej rozpalonem czole, przepisał lekarstwo, przyrzekł, iż wkrótce powróci i wyszedł z proboszczem.

— Lękam się bardzo — rzekł do niego — ażeby ta kobieta na zawsze nie pozostała obłąkaną.

III.

W rzeczy samej biedna Garitta pozostała obłąkaną; cały dzień siedząc w oknie, czekała bez ustanku na powrót męża; śpiewała, przędła i nie poznawała nikogo, nawet własnych dzieci. Jeśli Gerard zbliżył się do niej, wlepiła oczy w niego, odpychała go bez gniewu i znowu spoglądała przez okno. Jeżeli jej mała dziewczynka zaczęła krzyczeć, głuszyła natychmiast jej wołanie głosem swoim, do najwyższego stopnia natężonym. Świe-

krze posłuszną była machinalnie, tak prawie jak machina wykonywająca ruch, który jej nadadzą, lecz bez żadnej pojętności i wiedzenia, co czyni; zachowała w pamięci jedno tylko słowo, które powtarzała kiedy niekiedy głupowatym i jednotonnym głosem, a zwłaszcza gdy była głodna:

„Szczęście!”

Można wyobrazić sobie rozpacz biednej Katarzyny Dow, pozbawionej obojga dzieci tak ciężkim i niespodziewanym ciosem.

— Boże! Panie mój! — rzekła nazajutrz po pogrzebie syna swego do poczciwej Barbary, która z oczu nabrzmiących bez ustanku łzy roniła — jakże sobie poradzimy, moje dziecię, aby dojrzeć sklepu, wykarmić smoczkiem tę maleńką, jakieśmy to spróbowali dnia onegdajszego, czuwać nad

Garittą, zajmować się Gerardkiem i co miesiąc zapłacić jego nauczycielowi malarstwa. Bóg surowo nas karze, ale niechaj spełni się jego wola... Gdybym przynajmniej tak była silną i czerstwą, jak za młodu, nie traciłabym serca.

— Ach! moja pani, czyliż potrzeba tak się zniechęcać? Nie jesteś zdrową i mocną jak ja? A przytem Gerard jest już teraz prawdziwym młodzieniaszkiem, który sam idzie do pracowni malarza i powiada, że tak dobrze maluje tam, jak najstarsi uczniowie. Nic to nie szkodzi, pracować będzie trochę więcej, a w nocy postawię kolebkę dziecka przy moim łożku, aby krzyki małej nie budziły pani; bardziej bowiem potrzebujesz czasu, niżeli ja. A zresztą, Bóg nas nie opuści, jak mówi ksiądz proboszcz.

— Zadzwoniono, któż to przychodzi tak rano? To pan

Ruskonnetz! Wejdz pan proszę. Pani Dow zaraz przyjdzie, tylko włoży czepek na głowę.

— Chciałem mówić z nią sam na sam.

— A więc wniądź pan do izby w tyle sklepu i zaczekaj trochę.

Pan Ruskonnetz, człowiek niezmiernie otyły, który za najmniejszym poruszeniem zdyszał się i spocił, rzucił się bez ceremonii w krzesło z pręgami i twarz obtarł. Zdawało się, że tak sobie postępuje jak we własnym domu.

— Przepraszam pana, żeś na mnie zaczekał trochę — rzekła pani Dow, przybiegając jak najspieszniej i jeszcze zawiązując czepek pod brodą.

— Pani Katarzyno — odpowiedział otyły człowiek, zmuszony przerywać sobie za każdym słowem, ażeby dech chwytać — przychodzę tu w ważnym interesie i powinnaś mi być wdzięczna,

zem zczekał aż do dnia dzisiejszego, przez wzgląd na twoją boleść.

— Cóż takiego, panie Ruskonnetz?

— Oto jest weksel waszego syna; winien mi jest trzy tysiące złotych. Termin zapłaty upłynął wczoraj, przychodzę więc po pieniądze.

— Trzy tysiące złotych! trzy tysiące złotych! — zawołała Katarzyna, z przestachem, któreś łątwo pojąć możemy.

— Trzy tysiące złotych! — powtórzył lichwiarz sapiąc, najobojetniejszym tonem.

— Posłuchaj mój panie Ruskonnetz; mój syn pozostał ci dłużnym, ja ci zapłacę, ale dozwól mi zwłoki. Co tydzień oddam ci małą kwotę, tak jest, wszystko co mi pozostanie od nieuchronnych wydatków na życie. Tym sposobem wypłacę ci powoli, lecz aż do ostatniego szeląga, przysięgam.

— Wczoraj termin upłynął, zacna pani Katarzyno. Jeżeli dziś nie dostanę zapłaty, jutro każę zatradować wasz sklep i wszystkie sprzęty.

— Ach! nie uczynisz tego panie Ruskonnetz, nie uczynisz! Cóżbym zrobiła ze sobą, z dwójgiem dzieci, i moją biedną synową, która postradała rozum. Panie Ruskonnetz! miej litość.

— Znam dochód waszego sklepu i wiem, ile wydatków pociąga za sobą wasze położenie; nie moglibyście zapłacić mi ani szeląga na tydzień; i ja mam także dzieci i żonę; bądź mi więc zdrowa, pani Katarzyno, dziś wieczorem odeślijcie pieniądze, albo jutro przysyłę komornika.

— O mój Boże! mój Boże! co począć, coż się z nami stanie? Moje dzieci! moje biedne dzieci!

— Tak więc jutro będziemy bez sposobu do życia, bez kawałka chleba, bez przytułku! Boże! czyliż się nie ulitujesz nad nami?

— A przecież trzeba poddać się losowi swemu. — rzekła po pierwszym przystępie rozpacz — niechaj przynajmniej nie powiedzą, że moje sprzęty gwałtem sprzedano przede drzwiami naszego domu, jak to robią oszustom i bankrutom. Nigdy jeszcze nie tradowano nikogo z mojej rodziny. Pójdę do komornika pana Ruskonnetz i powiem mu, że wszystko oddaję temu człowiekowi, że tylko wezmę trochę bielizny dla mnie i dla moich dzieci. Pozostają mi dyamentowe kolczyki; sprzedam tę szacowną spuściznę po rodzicach moich; warte są przynajmniej sto talarów, a za te pieniądze założę sobie mały handelek. Bóg, który mię doświadcza, nie opuści mię przecie.

Natychmiast poszła do komornika, który chociaż przyzwyczajony do przykrych czynności, uczuł uwielbienie na widok takiej odwagi i rzetelności; chciał więc jej dopomódz.

— Posłuchaj mię pani — rzekł, prowadząc ją do osobnego pokoiku. — Może potrafiemy załatwić ten interes. Zaprzysięż mi tylko, że nikomu nie powiesz, kto wam doradził użycie tego środka.

— Jakiego środka? powiedz panie, a sprawisz mi jedyną pociechę, jakiej jeszcze doznawać mogę.

— Posłuchajcie mię. Po śmierci Mikołaja Dow, waszego męża, czyliżście zrobili akt spółki z waszym synem?

— A to na co? nie miałam więcej dzieci.

— To dobrze; nawet szyldu nie zmieniono, jak sobie przypominam.

— Byłby to niepotrzebny wydatek, ponieważ mój biedny syn tak się nazywał jak ojciec jego.

— A więc wszystko pójdzie dobrze. Długi twojego syna nie należą do ciebie; umarł, wszystko stracił; tem gorzej dla jego wierzyteli; nie masz potrzeby przyznawać i płacić jego długów.

— Ale imię mojego syna byłoby shańbione? Komornik osłupiały spojrział na nią.

— Ale wszyscy powtarzać będą koło mnie: „Jej syn był nieuczciwym człowiekiem.” Wolę cierpieć nędzę, wolę, ażeby dzieci moje pozostały bez chleba. Bądź zdrow panie.

I powróciła do domu, z rozpaczą w sercu, ale z postanowieniem, że wytrwa w tak chwalebnym zamiarze.

Za powrotem uczynić musiała jeszcze jedną ofiarę; zawołała Barbarę, służącą swoją, powiedziała, jakie nieszczęścia spadły na nią, i z płaczem rzekła do niej, aby sobie poszukała innego miejsca.

— I mogłaś pani mniemać, że zdołam odłączyć się od ciebie, teraz gdy jesteś nieszczęśliwą i gdy jestem ci potrzebniejsza, niżeli kiedykolwiek. O Boże! jakże źle sądzicie o mnie pani Katarzyno! Nie zastużyłam na takie obejście się ze mną. Ja mam was opuścić! o nie... chociażbyś mi pani rozkazała, chociażbyś mię za drzwi wypchnęła... Jestem młoda i silna, mam krzepkie ręce, będę pracować, będę się najmować do prania, to wystarczy na moje pożywienie i jeszcze się okroi trochę pieniędzy. Gdy nie trafi się robota na miesiąc, będę prząść, szyć, ale nigdy was nie opuszczę.

I te dwie kobiety uściskały się, tonąc w łzach.

Nazajutrz rano, gdy komornik przyszedł z panem Ruskonnetz, zastał samą tylko Barbarę, która im oddała pismo, zawierające ustąpienie całego handlu, za dług Mikołaja Dow.

O świcie pani Katarzyna Dow, biedna sześćdziesięcioletnia kobieta, opuściła dom, zabrawszy ze sobą wnuka, dziecę w powiciu i obłąkaną, powtarzającą jedyny wyraz, który pozostał w jej pamięci: „Szczęście! szczęście!”

IV.

Pomińmy piętnaście lat upłynionych od owej smutnej chwili i przenieśmy się do innej części miasta Lejdy, uboższej i wyłącznie zamieszkałej przez artystów.

Tam jeszcze znajduje się szyld dawnego sklepu pani Katarzyny Dow:

Pod czerwoną pończochą
DOW MIKOŁAJ

Kupiec towarów szklanych i łokciowych.

Ale ten szyld, niestety! jest tylko ubogą czarną deską, na której litery nakreślone nie już złotem, ale po prostu żółtym kolorem, wskazują, że są dziełem bardzo niezgrabnego malarza. Serce się ściska, gdy porównamy kramik, nad którym ten szyld jest zawieszony, ze sklepem, którego Katarzyna Dow posiadała przed piętnastu laty, na najpiękniejszej ulicy. Nie mniej zasmucającą zmianę widać było w ubraniu Barbary i jej pani; wprawdzie ich suknie były ochędżone jak zawsze, ale niezliczone ścięgi i delikatne cery, które tylko z bliską dostrzedz było można, wskazywały starość tych sukien i pracowitą wytrwałość, z którą te kobiety usiłowały je ratować. Zresztą, podobnie jak dawniej, pani Katarzyna siedziała za kantorem, albo wychodząc na próg, przypatrywała się najmniejszym zdarzeniom, przytrafiającym się na ulicy. Tłusta Barbara, przez te lat piętnaście rozrósłszy się na krzepką kobietę, jakie tylko we Flandryi znaleźć można, zawsze toż samo uszanowanie okazywała pani swojej. Jedyne tylko zamiast prząść w izbie za sklepem, przędła w samymże sklepie, a to z tej przyczyny, że ten sklep stanowił teraz całe pomieszkowanie biednej Katarzyny.

Przy Barbarze, młoda dziewczyna niepospolitej piękności, z pochyloną głową, z oczyma wilgotnymi od łez, milcząc robiła pończochę.

W głębi wysoka i blada Garitta, niedbale i gnuśnie rozciągnięta w krzesle z poręczami, drzemała jak zwykle.

Wtem młoda dziewczyna zadrżała i zbladła. Odgłos znanych jej kroków dał się słyszeć na ulicy i młody człowiek szybko przeszedł koło sklepu. Tak mocno był wzruszony, iż zaledwie zdołał drżącą ręką unieść szeroki kapelusz, który mu głowę zasłaniał.

Barbara i jej pani wzajemnie spojrzały na siebie z wyrazem politowania i westchnęły. Młoda dziewczyna nie mogła wstrzymać się od łkania.

Sama tylko obłąkana została obojętną.

Katarzyna i Barbara wyszły parę kroków na ulicę, aby młoda dziewczyna nie słyszała ich rozmowy.

— Ach pani Katarzyno! — rzekła Barbara — serce się kraje, biedni ci młodzi ludzie!

— Tak jest, Barbaro, tego tylko zmartwienia nie dostawało nam jeszcze.

— A przecież mieliśmy je wszelkiego rodzaju. Od lat piętnastu, jakieśmy tu założyły ten kramik za sprzedane dyamentowe kolczyki, ileż to trzeba było znosić niedostatku, niespokojności i nędzy; bo nie łatwo wyżyć można pięć osób, zarobkiem z tak małego sklepiku w tak biednej części miasta, i to jeszcze, gdy jedna jest w takim stanie, przydała, wskazując na Garittę. A przecież dokazałaś tego; nasza córka jest najładniejsza i najlepiej wychowana ze wszystkich pańienek w naszym mieście. Co za szkoda, że nie ma posagu! Gdyż byłaby to przesłiczna para z tym

młodym Mieris, który ją tak kocha, a któremu nie pozwalał być u nas.

— Czyliż mogłam pozwolić Barbaro, kiedy jego familia najbogatsza w Lejdzie, kiedy jego ojciec, syn burmistrza, rozpowiadał głośno, że ich syna przyciągam do siebie, ale że nigdy nie da swego Jakóba tak ubogiej dziewczynie, jak moja wnuczka?

— Prawda, ale mimo tego boli mnie serce, gdy patrzę na zmartwienie tych biednych dzieci.

— Oby tylko, kochana Barbaro, nie zagrażało im inne cięższe nieszczęście. Już od roku nie mam wiadomości od Gerarda, który przed czterema laty wyjechał dla wydoskonalenia się w malarstwie. Czyliż go spotkało jakie nieszczęście?

— Po cóż je przypuszczać?

— Inna okoliczność jeszcze bardziej mnie ztręca. Od niejakiego czasu już nie przysłała nam, jak to czynił dawniej, małej kwoty, która nam dopomagała do życia, a zwłaszcza służyła na opłacenie procentów od czterechset dukatów, które pożyczył mu Rembrandt na kosztą podróży. Wie, że ja nie mogę tych procentów opłacić; już nadszedł termin, a nie mamy pieniędzy.

— Otóż i Rembrandt sam przychodzi po pieniądze.

W rzeczy samej wielki ten malarz, który obojętności swojej trudnił się pożyczaniem pieniędzy, zmierzał ku sklepowi pani Katarzyny Dow; lecz jego fizyonomia, zazwyczaj nieprzyjemna, nie zwiastowała nic złego, i widać było mimowolny uśmiech na jego ustach.

— Niechaj Bóg ma was w opiece swojej, pani Katarzyno — rzekł uchylając kapelusz — i ciebie także tłusta Barbaro, nie zapominając i o tobie, moja Treo — przydał, całując ją w czoło.

— Co! znowu płaczesz! zawsze płaczesz?

— I cóż, pani Katarzyno — mówił dalej, bez ceremonii siadając w krzesle — czy są jakie wiadomości od mojego ucznia Gerarda?

— Niestety, nie, panie Rembrancie i bardzo jestem niespokojna... Jakże się ma twoja dobra siostra, panna Ludwika? — przydała spiesźnie usiłując czempredzej odwrócić rozmowę i nie dopuścić, aby jej wierzytel zaczął mówić o pieniądzach.

— Ach! ach! będę więc musiał obejść się bez pieniędzy — przerwał malarz, odgadując podobieństwo biednej Katarzyny.

— Niestety! kochany panie Rembrandt, gdy byś chciał jeszcze zaczekać trochę.

— Posłuchajcie mnie; zaczekam, ale przysługę za przysługę. Potrzebuję tego sklepu i musicie ustąpić go, tak jak jest, ze wszystkim, co się w nim znajduje.

Katarzyna z przestraszeniem spojrzała wokół siebie.

— Ustąpić panie Rembrandt!... a cóż się z nami stanie?

— Zaprowadzę was do innego domu, gdzie będziecie mogli tak dobrze prowadzić wasz han-

del jak tu. Podaj mi rękę, a ty idź z tej strony, ładna Treo. Pójdź także Barbaro... A jeśli się wam nie podoba ta zamiana, wolno wam będzie powrócić — przydał, widząc ich boleść i obawę.

— A moja biedna pani? — zapytała się Barbara, wskazując na chorą.

— Weź ją pod rękę Barbaro i pójdźmy.

I wyszli wszyscy, kobiety bardzo niespokojne, Rembrandt z uśmiechem na ustach.

Za dziesięć minut stanęli przed dawnym pomieszkaniem Katarzyny. Nie wiedziała, co się z nią dzieje, ujrawszy, że ten sklep przerobiony potem na szynkownię znowu stał się składem towarów łokciowych.

Siostra Rembrandta, Ludwika, stała w progu, wyszła naprzeciw Katarzyny i uściskała ją czule.

Biedne kobiety mniemały, że to jest sen i nie mogły pojąć, co to znaczy.

— A cóż — rzekł Rembrandt — ten sklep czyli się wam podoba?

— Nie żartuj z nas, panie Rembrandt, nie znieśliśmy tyle szczęścia.

Drzwi się otworzyły i młodzieniec, Gerard Dow, wbiegł i rzucił się na szyję babki i siostry.

Rembrandt i Ludwika nie mogli powstrzymać się od łez na widok radości i wzruszenia tych szczęśliwych kobiet.

— A mnie też — rzekła nareszcie Barbara, płacząc z radości — mnie, czy nie przywitasz, Gerardzie?

— I ciebie także, moja wierna, moja przywiązana Barbaro!

— Gerardzie, mój chłopaku, jeszcze nie koniec na tem; jest tu ktoś, na którego także kolej przyjść powinna — przeświadczył Rembrandt, prowadząc zapłoniętego młodzieńca, na którego widok Treo spuściła oczy. — A ty Barbaro, zrób dobrą wieczerzę, prawdziwą wieczerzę weselną, bo dziś wieczorem rodzice Jakóba Mieris przyjdą prosić o rękę tej ładnej dziewczyny. Wszystko to wydaje się snem, albo czarodziejstwem, wam pani Katarzyno i tobie także Barbaro... Wyłupiasz oczy, bierzesz mnie za czarownika. I jeśli kto jest czarownikiem, nie ja zapewne. On to jest, pani Katarzyno, Gerard Dow, niegdyś mój uczeń, a dziś mój rywal, Gerard Dow, którego każdy obraz zasypują złotem, którego imię cała Flandrya, cała Europa z uwielbieniem powtarza. Jest to wielki malarz, a co lepsza syn cnotliwy i brat czuły, co jest rzadką rzeczą, nieprawdaż, Ludwiko?

— Czuły, jak ty mój bracie.

— Nie zawsze takim jestem, Ludwiko. Zbyt często ogarnia mię melancholia, ale dziś jestem wesółym i czułym. Ci zaci ludzie powrócili mi najświętszą i najśodsą ufność. Ufność w cnotę.

Rembrandt, słynny holenderski malarz i sztycharz, ur. r. 1606 — um. r. 1669, pozostawił około 400 obrazów i 250 sztychów, cenione dziś na znaczne sumy. — Gerard Dow, jego uczeń, niemniej był słynny, lecz nie zostawił tyle prac, gdyż umarł młodo.

PRZYSIĘGA ŻOŁNIERZA.

Tobie, Ojczyzno miła,
Wszystkich sił moich siła
I serca mego krew
Na Twój najpierwszy zew.

W pokoju moja praca
Niech szczęście Twe wzbogaca,
Dostatek mnoży Twój
Przez ramion moich znój.

W czas wojny zasię krwawej
Niech wawrzyn zrywa sławy
Mój miecz w bitewnym dymie,
W Twe nieśmiertelne imię.

Gdzie wre najsroższy bój,
Niech święty sztandar Twój
Z królewską dumą stoi
W prawicy krzepkiej mojej...

Niech w szale wielkiej bitwy
Głos płynie mej modlitwy
Za całość Twoich granic,
Których nie oddam za nic.

W zwycięstwa idąc zorze,
Oręża niech nie złożę,
Póki mi nie da Bóg
Ujrzeć, jak ginie wróg.

Na świętość ojców prochów,
Na Wołę i na Grochów,
Gdzie kości dziadów drzemią,
Ślubuję Tobie, ziemo!

Ślubuję Ci, Ojczyzno,
Że wszystko, co krwawizną
Zdobyłaś dawnych lat,
Nie ujdzie moich czat;

Ze we dnie, jak i w nocy,
Ustrzegę od przemocy
Každy Twych granic słup,
Póki nie zejde w grób.

Zdzisław Dębicki.

DOM I JEGO OZDOBA.

Polska nasza odradza się. Wielka część kraju, zniszczona przez wojnę, nanowo musi być odbudowana; gdzieindziej znów wielkie obszary ziemi ulegną parcelacyi i powstaną na nich liczne nowe zagrody włościańskie i folwarczne. Nie ulega wątpliwości, że w ciągu lat kilku zmieni się zewnętrzny wygląd naszego kraju. Baczycy tylko należy, aby nie zmienił się jego charakter. Ten powinien pozostać zawsze polskim, tak, aby cudzoziemiec, przybывая do nas, od razu spostrzegł, że znajduje się w kraju polskim, my zaś, abyśmy gdziekolwiek, czy w mieście, czy na wsi, zawsze czuli się u siebie, wśród swoistego otoczenia, wśród swoistych zabytków.

Mamy tyle wiary w poczucie swoistego piękna naszych włościan, że ani na chwilę nie przypuszczamy, aby budując dla siebie dom i zagrodę, stawiali je na sposób niemiecki i amerykański. Nie przemawiamy bynajmniej za tem, aby na domy mieszkalne stawiano chaty pierwotne, bez kominów, jak w dawnej Polsce; przeciwnie, pragniemy, aby każda zagroda włościańska odpowiadała w swem urządzeniu wymogom zdrowotności, wygody, a nawet i komfortu. Nie kosztuje to już o wiele więcej, jeżeli choć w małym domu osobne jest pomieszczenie na sypialnię, osobne na kuchnię, osobne na izbę mieszkalną; jeżeli się w nim znajdzie małe choćby pomieszczenie na szpiżarkę i jeszcze jedno na komorę, gdzieby i kąpielnię urządzić można i miejsce mieć na różne niepotrzebne narazie graty.

Chodzi jednak o to, aby dom taki i na zewnątrz nosił na sobie piętno polskie, czyli, jak się to mówi, był w stylu polskim. Jak już powiedzieliśmy: ufamy w poczucie swoistego piękna naszych włościan i robotników, którzy nowe sadyby stawiać sobie będą, a zresztą sądzimy, że i władze nasze dopilnują tego, by krajobraz polski nie został zeszpecony. Tu o czem innym chcemy pomówić: o ozdobie domów i zagród na zewnątrz, czyli o ogródkach.

Ogródek ozdobny przy domu — jak pisze znany nasz ogrodnik polski E. Jankowski — nie



DAWNA CHATA POLSKA Z DYMNIKIEM.

daje wprawdzie zysków materialnych, ale jest ozdobą domu i dopełnieniem mieszkania w lecie.

Przecież z okien patrzymy na najbliższe otoczenie prawie bezustanku; przecież w ogródku bawią się dzieci, odpoczywają starsi. Wszak zielony trawnik, kilka pięknych drzew na nim, różne krzewy, kwitnące kolejno i barwne, wreszcie kwiaty strojne i wabne — miłe są każdemu. Mało bowiem jest ludzi nie lubiących roślin, a pomiędzy rolnikami pewno wcale takich niema. Każdy też człowiek ma wrodzone upodobanie do rzeczy pięknych — a ogród przecież do najpiękniejszych należy. Raduje on swym zmiennym a zawsze pięknym widokiem, siedzibę czyni miłszą i przywiązuje do niej człowieka. Po części, dzięki miłym chwilom w nim z rodziną spędzonym, rodzi się w sercu dziecka to umiłowanie rodzicielskiej zagrody, które każe do niej powracać z szerokiego świata, tęsknić za nią, gdy się jest daleko, a pragnąć ją przyozdobić i utrzymać, gdy się ją odziedzyczyło. Temi delikatnemi lecz mocnemi niemi, przywiązuje się człowiek do całej swej ziemi rodzinnej, co jest zarazem źródłem jej wielkiego ukochania, a przez to i poświęceń dla niej, o ile się okażą potrzebne.

Niejeden rolnik pomyśli: „Do mnie należy, żebym rolę dobrze uprawił i chleb z niej wydobyla, a zajmować się ogrodami nie mam ani ochoty, ani czasu, a nawet pieniędzy.”

Odpowiemy na to, że ogrodem może się zajmować ktoś z rodziny, zwłaszcza kobiety, jako ciągle przy domu przebywające, a pieniądze się znajdują z oszczędności i nie tak wiele ich potrzeba, byle wiedzieć, jakie rośliny kupić, nie pozwolić im zmarnieć (o ile są trwałe, nie roczne) i co-rok wydać na ten cel pewną, choćby nieznaczną sumkę, według możliwości. Stopniowo nabędzie się piękne drzewa iglaste i liściaste, ozdobne, kwitnące krzewy i róże, obsadzi ściany domu roślinami pnącymi, zaopatrzy ogródek w rozmaite byliny (zimotrwałe), nagromadzi się lilie, piwonie, kosańce i mnóstwo innych roślin ozdobnych, a wdzięcznie i prawie bez starania z naszej strony kwitnących. Trzeba tylko co-rok poprawić trawniki, pociąć krzewy, przekopać ziemię między niemi, wyciąć z drzew suche gałęzie, przywiązać do palików róże, rozpiąć pnące na budynkach.

Roboty jest tu dosyć, ale ją wykonać mogą nawet dzieci gospodarza. Wyjdzie im to na zdrowie i na pożytek, bo się zapoznają z roślinami, nauczą je hodować, polubią, a przytem niejednego się dowiedzą, co im potem w życiu przydać się może.

Zaden dom mieszkalny na wsi nie powinien stać przy drodze, od której idzie kurz i hałas, lecz powinien być oddalony od niej chociaż o łokci kilkanaście; im dalej, tem lepiej. Przestrzeń pomiędzy drogą a ścianą domu zamieni się na

ogródek kwiatowy, a gdyby ona była obszerna, to można w niej pomieścić i trochę krzewów, a nawet drzew ozdobnych. Dobrze jest sadzić ładne drzewa w ogródku przy drodze publicznej, np. lipy, klony lub dęby w ziemi żyznej, jesiony lub olsze — w ziemi wilgotnej, brzozy lub akacje — w chudej. Topole mniej są odpowiednie, bo rozrastając się wielkimi, włóczącymi się kolumnami odbierają pokarm innym roślinom, a przytem ciągle tęsknie szumią, co usposabia do smutku.

Tymczasem otoczenie domu powinno być wsłone i przyjemne. Dlatego też nie należy nigdy obsadzać go drzewami, a zwłaszcza sadzić ich przy samych ścianach, jak to dość często u nas się widuje. W takim domu panuje wieczny półmrok, chłód i wilgoć, a wszystko to wpływa na zdrowie i usposobienie mieszkańców. Jeżeli chodzi o przyozdobienie domu, mogą do tego posłużyć różne rośliny pnące. Przy ścianie południowej lepiej, bo korzystniej, będzie posadzić krzew winny, by z niego mieć grona smaczne na jesieni, a na ścianie zachodniej — brzoskwinie i na wschodniej — morele mogą być rozpięte. Będzie to i ładnie i korzystnie.

Za to w pewnej od domu odległości, np. o 20 do 30 łokci można i trzeba sadzić chociażby takie drzewa, które dużych dosięgają czasem wymiarów. Na pierwszeństwo przed innymi zasługują drzewa iglaste. Więc w ziemiach wilgotnych — świerk pospolity i biały amerykański oraz roniąca na zimę igły Szubercya (*Taxodium distichum*); w ziemi żyznej — wszelkie jodły,

świerki, modrzewie i sosny wejmuć; w ziemi chudej — sosna czarna, smołowa, nadmorska, świerk kołący (*Picea pungens*), jodła Duglasy, pospolite i ich odmiany, a także świerk biały. Mogą też być użyte żywotniki (*Thuja*), cyprysy, cyprysniki (*Retinospora*).

Ilość i jakość drzew zależy od przestrzeni i gatunku ziemi. Kto na ogródek przy domu może przeznaczyć tylko kilkaset łokci kwadratowych, ten nie ma miejsca na wielkie drzewa i zadowolni się mniejszymi, jak: jarzębiny, głogi, kaliny, bzuwiny i liczne krzewy, a z iglastych posadzi: żywotniki lub jałowce i cyprysniki. Jeżeli zaś kto może na ogród ozdobny pozostawić cały móg, to u tego mogą się już znaleźć i drzewa większe: różne lipy, wiązy, klony, akacje, graby, wierzby, topole, dęby i to w różnych gatunkach i odmianach.

Naokoło domu pozostawia się przestrzeń wolną, odpowiednią do obszerności całego ogródka, w małych ogródkach chociaż po 4 lub 5 łokci, w większych można przeznaczyć na to nawet łokci kilkanaście, żeby było gdzie chodzić, podjechać, zatrzymać się w osób kilka dla rozmowy. Jednakże pod samym domem urządza się najczęściej grządkę, szeroką na parę łokci, pozostawiając za nią przy samej ścianie z łokciem wolnej przestrzeni, dla dostępu do okien lub okiennic. Wszelako rośliny pnące muszą być posadzone tuż pod samą ścianą.

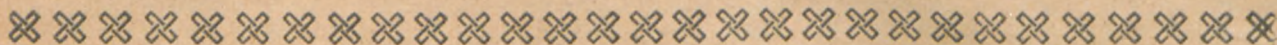
Na tej grządce sadi się kwiaty różne, żeby mieć z nich uciechę największą i jak najwięcej korzystać z ich woni. Wyższe kwiaty, jak ozdo-



ZAGRODA WŁOŚCIANSKA NA BIAŁORUSI.

bne słoneczniki amerykańskie, cyprys letni, georginie kaktusowe, różne pienne — sadi się bliżej domu, niższe, jak lewkonie, astry (wyższe odmiany np. Strusie pióro), groszki (czepiające się na różgach wetkniętych w ziemię), tujałki (Salpiglossis), marszawy (Godetia), nieśmiertelniki, goździki letnie — w środku, a przed nimi od brzegu: nasturcyje, płomyki (Phlox), zwieratki (Petunia) i wreszcie po samym brzegu: rezedę, kamienne ziele (Alyssum), portulak, bratki, witułki (Verbena), stokrotki wielkie, stroiczki (Lobelia). Jeszcze ładniej ta grządka będzie wyglądała, gdy się na jej brzegu zasieje pasek cienkiej trawy, przynajmniej na stopę szeroki. Trawę tę trzeba często kosić, a wychodzącą na drogę przycinać równo.

Na grządkach tych pod domem pięknie wyglądają róże krzaczaste, sadzone co 2 lub 3 łokcie, między nimi można posiać groszek, rezedę, posadzić bratki, rośliny cebulkowe, witułki, płomyki. Ponieważ kwiatki potrzebują częstego i obfitego podlewania, usuwania części przekwitłych lub usychających, przycinania, rozpinania, pali kowania — więc dobrze i z tego względu mieć je pod samymi oczami i jaknajbliżej domu. Rozumie się, że kto kwiaty lubi i jest na to dość młody, posadzi je jeszcze i w innych częściach ogródka, jak np. wprost bramy wjazdowej, przy altanie, naprost ławek, na których się najczęściej spoczywa, nad wodą, jeżeli ona jest w ogrodzie. Pamiętajmy więc o ozdabianiu domów i zagrod naszych.



KROPLA KRWI.

WOJENNA LEGENDA.

Był sobie raz żołnierz pewien, który ponad wszystko umiłował swoje rzemiosło wojenne.

I pola orać nie chciał, ni młota się imać robotniczego, ani książek mądrych czytać, ni piórem wodzić po papierze.

— Szabla i karabin, to moje narzędzia pracy — mówił — a moja powinność, to bić się dzielnie na wojnie. Jeżeli własną pierśią kraj zasłonię od nieprzyjaciela, to więcej się przysłużyć królowi i ojczyźnie, niż wszyscy ci, którzy co dnia w ciężkiej pracy znoją się i trudzą.

Nawet żenić się nie chciał, aby go żona i dzieci płaczem swym nie powstrzymywały, gdy przyjdzie iść na wojnę.

A gdy stara matula, którą kochał bardzo, choć mniej niż wojnę, prosiła:

— Porzuć, synu, wojaczkę, bo w chacie gospodarza potrzeba. Ożeń się, boć mnie starej zdalyby się wnuki...

Wówczas odpowiadał:

— Nie, matko, żenić się nie będę, ni gospodarki zakładać. Bom ja nie na gospodarza, nie na męża i ojca stworzony. Ja jestem żołnierz duszą, sercem i ciałem. Królowi służę tylko i całemu krajowi... Z tem stara matulu, pogodzić się musisz...

Wzdychała matka, popłakała czasem, ale cóż rzec mu miała?...

Kiedy wojny długo nie było, przykrzył sobie żołnierz, że mu broń stępuje i zardzewieje, że ręka pewność, że oko bystrość straci...

Aż wreszcie spełniło się życzenie żołnierza. Wybuchła wojna i jak pożar, wiatrem gnany, rozlała się po całym kraju.

Niszczaly plony, płonęły wsie i miasta, jęczeli po szpitalach ranni, płakały kobiety. Żołnierz wojował.

Z poza czarnych skłębionych chmur wychylił się zaczerwieniony, jakoby krwawy księżyc.

Powietrze mdle było od zapachu krwi i ciężkie od duszących chmur dymu, które wisiały jeszcze nad niedawnym polem bitwy.

Na ziemi umęczonej, porytej, stratowanej czerniały trupy ludzi i koni. w kałużach krwi walały się odłamki żelaza, broń porzucona, strzępy odzieży...

Ranni jęczeli... Jeden błagał Boga o zmiłowanie. inny ludzkiej wzywał pomocy — czasem ktoś zaklął straszliwie.

Niekiedy krzyk jeden, rozpaczny, pożegnalny... Jakieś drogie, kochane imię zabrzmiało ostatnią skargą, a potem słychać już tylko chrapliwe rzeżenie konającego.

Przez pobojowisko potykając się niekiedy o leżące ciała, szedł żołnierz i gwizdał dziarskie go marsza.

Był bardzo zadowolony ze siebie.

Dnia tego pierwszy wdarł się jako zwycięzca do okopów nieprzyjaciela, pierwszy zatknął sztandar na zdobytym szańcu i przeszył bagnem pierś młodego wojaka nieprzyjacielskiego, który do ostatniej chwili nie chciał ustąpić ze straconego posterunku.

Po skończonej bitwie dowódca sam pochwalił wobec wszystkich kolegów waleczność żołnierza i przyrzekł, że na jego piersi błyszczące odznaczenie na czerwonej wstędze zawiesi...

Jakże więc nie miał cieszyć się żołnierz, który wojaczkę nad wszystko umiłował — nad uroki wiosny, nad spojrzenie pięknej dziewczyny, nad ciszę i spokój własnego domostwa...

I dumny był Żołnierz, że oto tak dobrze i dzielnie pełni swą służbę.

Nie martwił się też wcale, że teraz po dniu tak znojmym i krwawym wysłano go znowu nocą na zwiady...

Przeciwnie, rad był i wesół i coraz raźniej wzdawał marsza:

„Niemasz to niemasz, nad życie żołnierza...”

Wtem potknął się tak silnie, że omal nie apadł. I w tejże chwili posłyszał jęk błagalny:

— Wody, wody, choć kroplę wody!... Umieram z pragnienia...

Żołnierz spojrział i zobaczył, że to jęczy tak i prosi ranny wojak w mundurze nieprzyjacielskim.

— Eh! to któryś z wrażej psiarni — pomyślał żołnierz i zamierzał obojętnie przejść dalej, boć serce stwardniało mu w wojennych trudach i okropnościach.

Ale w wielkich wyrazistych oczach rannego, w jego głosie, błagalną prośbą nabrzemiałym, było coś takiego, że żołnierz mimowoli zatrzymał się...

— Pić... pić... — jęknął znowu ranny.

W sercu żołnierza zadrgało coś jak litość... Pochylił się i podał tamtemu własną manierkę z wodą.

Ranny pił chciwie, odwilżając spieczoną gorącą wargi.

Był to młody bardzo człowiek z twarzą urodziwą i gładką, jak u dziewczyny.

Miał ranę w głowie i gęste włosy jego były polepione krwią.

— Hm... — mruknął sam do siebie żołnierz — trzeba go opatrzyć... Choć moja rzecz zabijać nieprzyjaciół, a nie kurować ich, ale niech tam...

Obmył ranę i jak mógł założył opatrunek. Przy tej czynności skaleczył się w rękę jakimś leżącym obok na ziemi kawałkiem żelaza.

Drobne to było skaleczenie, jedna tylko kropla krwi się pokazała, bolesne jednak, bo żołnierz aż syknął.

Za chwilę zapomniał o tem draśnięciu, bo cóż taka drobnostka znaczyć mogła dla żołnierza, co niejedną już odniósł ranę.

Pewnego dnia świsnęła celnie wymierzona kulka i trafiła żołnierza w samo serce.

Padł na posterunku, jak przystało na takiego wojaka.

I pogrzeb miał taki, jakiegoby sobie życzył, gdyby był kiedykolwiek pomyślał o śmierci.

Pochowano go w mundurze, koledzy usypali mu mogiłę, nad grobem dano trzy razy ognia i sam pan kapitan miał przemowę o tem, jaki to such był z niego, że szukać drugiego takiego żołnierza.

Tymczasem dusza żołnierza wedrowała na Sąd Boski.

Szła śmiało, bo zdawało się jej, że spełniła w życiu doczesnem wszystko, co do niej należało.

I śmiało stanęła przed obliczem Michała Archaniola, dzierżącego w rękach wagi ludzkich win i zasług.

— Człowiecze — zapytał Archaniol — jakież były twoje zasługi na ziemi?

— Żołnierzem byłem dzielny, odważny, prawdziwym żołnierzem!... — odparł gromko żołnierz, salutując po wojskowemu.

— Ale powiedz mi, jakie były twe zasługi?

Zdziwił się trochę żołnierz, bo wyobrażał sobie, że dość tego, co powiedział.

— Bilem nieprzyjaciół!...

— Bo byłeś żołnierzem, ale jakież są twoje dobre uczynki?...

Teraz dusza żołnierza zmieszala się silniej, bo pojąć nie mogła, czego od niej żądają.

— Przelewałem krew za króla...

— Patrz na tę wagę! — rzekł Michał Archaniol.

Morze krwi popłynęło na szalę zasług, na szalę win padła jedna duża lza... I szala win przeważała.

— Widzisz, to jest lza matki, której zabiłeś syna jedyne, pociechę i podporę jej starości... Pamiętasz, chciał złożyć broń, prosił o litość... Zabiłeś go, bo ci spieszo było do szturm...

Zdumiała się dusza żołnierza, co na ziemi jeno w karabinu celność i ostrze bagnetu wierzyła, że jedna lza matczyzna cięższą być może niż całe morze krwi...

— Zawiniłem... — szepnęła zmieszana.

— I jakież są jeszcze twoje dobre uczynki?

— Przelewałem krew za kraj cały!...

— Patrz!...

Bluznęła rzeka krwi na szalę zasług, ale szala nieznizzyła się.

Padł jeden maleńki kamyczek na szalę win i szala zasług poszła jeszcze więcej w górę.

— Widzisz, to kamyczek z domostwa, w którym mieszkali ludzie dobrzy i szczęśliwi... Podpalisz im dom, kiedy cofać się przyszło, boć chciał nieprzyjacielowi jeno gruzu a zgliszczą zostawić.

Nie dziwiła się już dusza żołnierza, bo rozumiała, że na Boskim Sądzie inaczej ważą winy, jak na ziemi.

— Zawiniłem... — przyznała zasmucona...

— Jakież masz jeszcze zasługi, jakie dobre uczynki?...

— Przelewałem krew za wieś moją rodzoną!

— Patrz!...

Pociekł strumień krwi, a na szalę win upadł jeden kłos żytni... I szala zasług uniosła się tak wysoko, jakby na niej nic nie było...

— Spojrz, oto kłos z pola, zasianego w trudzie i znoju, a które ty nieopatrznie stratowałeś koniami, bo ci się droga zdawała najbliższą... Czy to pamiętasz?...

Przeatrach ogarnął duszę żołnierza, bo oto wyczerpała już wszystko, co za zasługę swą uważała...

— Zawiniłem... — jęknęła przerażona.

— I żadnych więcej dobrych uczynków nie przypominasz sobie?...

— Jakież mógłbym mieć jeszcze dobre uczynki, kiedym ja przez całe życie tylko w wojnie się kochał...

— Zawodną masz pamięć, lecz w księgach niebieskich wszystko zapisane... Patrz!

Jedna tylko kropla krwi padła na szalę sąług, która nagle opuściła się w dół, przewracając szalę win...

— To jest kropla krwi, która wytrysnęła z twej ręki, kiedyś opatrywał rannego nieprzy-

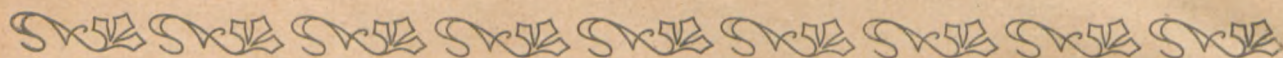
jaciela... Dla niej przebaczone ci będą przewinienia twoje...

— Jakże to? — zapytała zdumiona dusza żołnierza, — ta jedna kropla krwi cięższą być może niż całe jej morza, rzeki i strumienie...

A wtedy posłyszała dusza koło siebie głos cichy, smutny i słodki:

— Azaliż nie powiedziałem wam, azaliż nie uczyłem was: „Miłujcie nieprzyjaciół swoje!”

Marya Jadwiga Migowa.



TORUŃ.

Miasto to starożytne, początek swój grzebiące w pomroce dziejów, niejednokrotnie bywało jakby symbolem walki tych dwu żywiołów, krwawiących się na rubieżach Polski o panowanie nad krajami Pomorza, Prus i Wielkopolski. Sporne w nauce jest, już to, kto był założycielem grodu: Krzyżacy, czy rdzenni panowie tej ziemi, mieszkańcy Mazowsza. Niewątpliwą natomiast jest rzeczą, że Krzyżacy przez znaczny czas okres usadowili się tutaj prawem miecza i że właśnie Toruń był ich punktem oparcia w zbrodniczych wypadach na ziemię polskie. Tutaj, za panowania Kazimierza Jagiellończyka, panowie polscy z ziem pruskich zgromadzili się w lutym 1454 roku i stąd wysłali do króla polskiego błagalną prośbę o wyzwolenie ich z pod jarzma krzyżackiego. Tutaj Kazimierz Jagiellończyk odbierał hołd od wyzwolonych Polaków. Tutaj, w dniu 19-ym października 1466 roku tenże sam król po dwunastoletniej zwycięskiej wojnie podyktował Zakonowi pokój, mocą którego Prusy Zachodnie, czyli województwa: pomorskie, malborskie, chełmińskie, Warmia i Gdańsk wróciły do Polski, a mistrz Zakonu stawał się lennikiem Polski. Tutaj umarł Jan Olbracht, przybyły do Torunia, by odebrać ten hołd lenny.

Pod opieką Rzeczypospolitej zakwitnął Toruń w bogactwa i okazałość. Klonowicz we „Flisie” wychwała mieszkańców Torunia.

Mury Torunia gościły niejednokrotnie i nie na krótko królów polskich. W roku 1519 w pełni majestatu wjeżdżał tutaj Zygmunt Stary; tutaj przebywał przez czas dłuższy Batory; w r. 1626 do Torunia zwołuje sejm Zygmunt III i osobiście nań przybywa. W r. 1635 gości tu Władysław IV, by z bliska doglądać zawierającego się w Stumdorfie pokoju ze Szwedami. Dwór jego toruński staje się wówczas widownią zjazdów dyplomatycznych. Tutaj spoczęły na wieczny spoczynek w kościele Najświętszej Maryi Panny zwłoki Anny, siostry Zygmunta III. Tutaj z woli Władysława IV odbywa się w roku 1645 słynna teologiczna rozprawa Colloquium Charitativum między katolikami i protestantami, wymowny akt tolerancyi państwowej w Polsce. W roku 1655,

czasu najazdu Szwedów, mieszczanie toruńscy, wierni ojczyźnie, stawiają zacięty opór wrogowi. W podzięce za to Jan Kazimierz odbywa uroczysty wjazd monarszy do Torunia w r. 1658. W roku 1709 przebywa tu August II.

W roku 1793, po drugim rozbiorze, Toruń przechodzi pod władzę Prusaków. Kończy się kilkunastoletnia Toruńszczyzna wierna służba Ojczyźnie. System germanizacyjny wyciska swoje piętno. Ale duch ziemi, duch polski żyje w mieście po dziś dzień.

Dwie chwile z życia Torunia.

Pamiętny był rok 1454 dla mieszkańców ziemi pruskiej, nad Wisłą rozłożonej. Już od czasu bitwy pod Grunwaldem ziemianie jako i mieszczanie pruscy dążyli do oswobodzenia z pod panowania Krzyżaków. Założyli oni w tym celu związek, pod znakiem jaszczurki. Wreszcie w roku 1454 wybuchło powstanie pruskie, w maju już Prusy znowu były z Polską złączone, a król przy końcu tego miesiąca przybywa do Torunia.

Przedtem wysłali byli Prusacy Jana Bajzena, Mikołaja z Wołkowa, Wawrzyńca Czicza, Rudgiera Birkena, Wilhelma Jordana i kilku innych panów do Krakowa, by się z królem ułożyli o warunki, pod jakimi Prusy będą z Polską złączone na wieki. Tam zgodzili się na to, by ci nowi synowie Polski takie mieli prawa, jak starsi bracia. Sami na siebie będą podatki nakładać, jeżeli uznają, że tego potrzeba, razem z wszystkimi Polakami będą króla obierać.

Król mianował dla Prus czterech wojewodów: Gabryela Bajzena toruńskim, Jana Bajzena gdańskim, Ścibora Bajzena elbląskim, a Augusta Szwewego królewieckim.

Starostą toruńskim będzie zawsze jeden radny miejski, a wszystkie posiadłości Krzyżaków w ziemi toruńskiej otrzymało miasto na własność.

Odprawiwszy posłów z Krakowa, wybrał się sam król do ziemi pruskiej. Dnia 23-go maja przybył do Torunia. Całe miasto wyroiło się przed bramą. Wszystko strojne i radośnie, kobiety i mężowie, panny i dzieci. Dzielni młodzieńcy pod dowództwem Henryka Kopernika

stają zbrojni w szyku bojowym, aby ich ujrzeni bracia z stron dalekich od gór i od Krakowa i powitali jako zwycięzców pierwszych nad niemieckiem krzyżactwem.

Długo się ciągnie orszak królewski. Jadą poprzedzają rycerze, polska konnica w sześciu oddziałach. Na ich zbroi, na hełmach i koniach błyszczą srebro, kapie złoto. Przed każdym oddziałem chorągiew na czele, za nią stu pięćdziesięciu dziarskich jeźdźców. Po nich w złotystym powozie król z królową, z nimi w powozach ks. biskupi Jan Gruszczyński i Andrzej z Bnina, dalej wojewoda krakowski, wielkopolski i kujawski, kanclerz, podkanclerzy, wielu innych panów, a orszak cały zamykało znowu sześć chorągwi wojska.

Przybyło miastu ludności tłumnej, świetnej, błyszczącej, poważnej; przybyło radości, szczęścia.

Na rynku wystawiony tron wspaniały, dla króla i królowej. Oni zajmują miejsce, niżej stają na stopniach wojewodowie, biskupi, kanclerze, chorążowie trzymają chorągwie. Na jednej orzeł biały na czerwonym polu, na drugiej biały rycerz na koniu na czerwonym polu, tamto chorągiew Polski, ta litewska.

Przed tron przystępują wojewoda toruński Gabryel Bajzen, posłowie wszystkich już od Krzyżaków miast uwolnionych i radni miasta Torunia. Niosą chorągwie pruskie. Chorągiew województwa toruńskiego biała, na niej czarny orzeł z koroną na szyi, z prawego skrzydła wystająca ręka człowieka zbrojnego, trzyma miecz nad głową, jakby do cięcia. Druga taka sama chorągiew elbląskiego województwa i gdańska też biała. Na znak poddania złożywszy chorągwie u stóp tronu, przysięgali panowie i posłowie pruscy wierność ojczyźnie.

Po tej ceremonii ruszył król z całym orszakiem do kościoła, by Bogu dzięki złożyć za tak szczęśliwe połączenie oderwanej ziemi z koroną polską. Ulice roiły się napływem tysięcy ludzi. Niezliczone mnóstwo ścisnęło się na rynku i przyległych ulicach. Sam król nie mógł się dostać do kościoła, bo gdy zszedł z tronu, ludzie do niego, jak pszczoły płyną, by go zbliżka ujrzeć, by mu rękę ucałować, lub kraj sukni. Postępował więc wolno wśród szczęśliwego narodu i sam oddychając szczęściem.

Wieczorem skończyła się ceremonia kościelna. Wojsko królewskie stanęło pod zburzonym zamkiem, w przygotowanych namiotach. Król i panowie w mieście. Dla wszystkich gości miasto samo stara się o pomieszczenie, o żywność i napój. Oni jedzą i piją, aż do ostatniego pachołka, a nikt nie płaci. Niejeden nie miał jeszcze czasu pomyśleć, gdy mu już podano najwyborniejszych przysmaków.

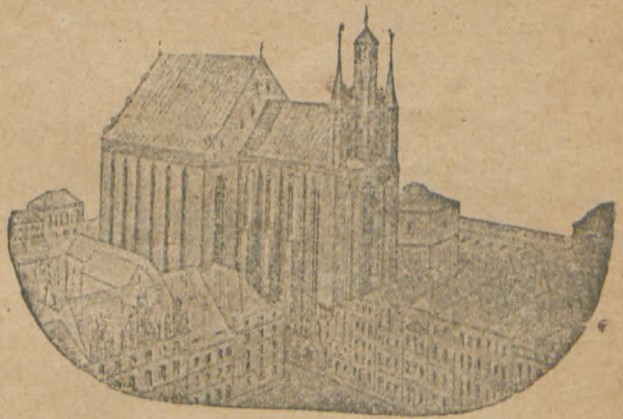
Dom Kopernika podejmuje także gości. Zniżające się ku zachodowi majowe słońce wpada przez otwarte okna. Przy stole w sali jadalnej

siedzi kilka osób, kilku panów z Krakowskiego. Henryk, syn gospodarza, jeździł w lutym do Krakowa z poselstwem związku pruskiego, by ziemię swoją poddać pod panowanie króla polskiego. Narady z królem toczyły się przeszło dwa tygodnie, tam Henryk poznał wielu panów z rady królewskiej i nawet zaprzyjaźnił się z Stanisławem Zakliką. Gdy się sprawa już ułożyła i Prusy na nowo złączono z Polską i zaprzysiężono, wracali do domu posłowie, a Henryk kilku bliższych znajomych zaprosił, by w jego domu przyjęli gościnę w czasie pobytu królewskiego w Toruniu.

Przy stole u Kopernika siedzą goście i ojciec, syn i córki obie usługują. Odbierają u drzwi półmiski z jadłem od służących i sami podają do stołu. Henryk nalewa wina w kieliszki.

Stary Kopernik, siwy nie gołąbek, lecz sokół, wstał i podniósł kielich:

— Przebaczcie mi, że najpierw nie wasze



KOŚCIOŁ NAJŚW. MARYI PANNY W TORUNIU.

zdrowie wypiję. Jest tu w Toruniu osoba, przedstawiająca ojczyznę całą, król. Widzieliście, jak do niego lud się garnął i całował. On przedstawia Polskę, jej wolność, prawo i potęgę. My długo niewolni, choć sami przygotowaliśmy oswobodzenie, jednak gdy nam praca tak drogi owoc wydała, stoimy jak pod czarem, pod błogostwem szczęścia. Dusze nasze przepelnione niebem, nasze każde słowo, chciałoby króla i was obsypać kwiatami i ucałować kraj szaty. Niech żyje król, stróż praw i potęgi narodu.

— Niech żyje! — powtórzyli wszyscy, wypijając kieliszki.

Pan Mikołaj z Zakliczyna pił zdrowie związku ziem i miast pruskich. Bo, mówił, związek taki będzie nauką dla czasów teraźniejszych i dla wnuków naszych. Jeżeli by, co nie daj Boże, kiedy doznali ucisku lub niesprawiedliwości, wten czas przypomną dzieje związku pruskiego, wten czas naśladować będą Bajzenów, Tilemanów, Szewych, Koperników. Nie opuszczą rąk, ale silnie się zwiążą, będą szukać pomocy u swoich i zagranicą, będą korzystać z każdego zapomnie-

nia wrogów, będą między nimi samymi siac rozwojenie, będą im pochlebiać i zwodzić, a gdy w ten sposób osłabiają, uderzą na nich, jak zwycięzcy pruski i zwyciężą. — Zdrowie związku ziemsko-miejskiego!

— Zdrowie moich gości! — wniósł Kopernik.

— Zdrowie Jana Bajzena, pili goście. Zdrowie gospodarza! Tyle ochoty było u starych, mówili głośno, opowiadali o sprawach publicznych, o poselstwie w Krakowie, o niemieckich zabiegach, by króla odwieść od przyjęcia Prusaków między synów Polski, o podstępach krzyżackich, o ich sile.

Henryk już był wolniejszy, bo się kończyła wieczerza i panny przysiadły. Zaklika młody, dwudziesto-sześcioletni mężczyzna, cieszył się wyprawą na krzyżaków i prosił Henryka, aby ich opisał.

— Trudno mi będzie bić cienie, a dotychczas jeszcze nie widziałem krzyżaka, więc muszę ich sobie tylko wyobrażać.

— Nie są to wcale cienie — rzekł Henryk. — Tyle krwi naszej się napili, że gdyby nawet byli cieniami, musieliby utyć. Są ludźmi, jak inni, ale gdy się im powodzi, bez litości, a w niepowodzeniu pokorni a zdradliwi, podstępni, jak węże. Przysięgają bronić wiary chrześcijańskiej, a burzą kościoły, przysięgają na ubóstwo a sypiają na złocie, przysięgają posłuszeństwo papieżowi a nie chcą go słuchać. Gdy cię nazwą przyjacielem, przemysłiwają jakby cię zdradzić, gdy się modlą w kościele, rozpatrują tylko jakby obdrzeć ołtarze. Z takim wrogiem nie ma pokoju, nie ma przymierza, musisz go pokonać, albo sam zginięsz.

— Dobrze więc — rzekł Stanisław — żaden żywy z moich rąk nie wyjdzie.

— Oprócz rannych i bezbronnych — dodała półgłosem Anusia.

— Tak jest — głośno powtórzył Stanisław — oprócz rannych i bezbronnych.

Ta Anusia wpadła w oko Stanisławowi. Boż to była śliczna, jasno-włosa, niebieskooka, jak lilia. Stanisławowi się zdawało, gdy przechodziła obok niego, że gdzieś w powietrzu za nią płyną niewidome skrzydła, jak u Anioła. Jego czarne oko ciągle za nią się zwraca, a krew krakowska lekko napływa mu na skronie i czoło. Ona usiadła z daleka. Tu głośna rozmowa przy stole, chciałby z nią mówić, do niej się zbliżyć, lecz wstać niepodobna, bo starsi siedzą. Choć Henryka szuka, jej brata nalewającego wino, zatrzymuje go przy sobie, rozmawia i kocha go więcej, bo on jej bratem.

Tymczasem wieczerza się skończyła, powstawali. Gospodarz oprowadził gości po pokojach, każdemu naznaczył miejsce i życzył dobrej nocy. Zdrożeni jesteście, wypocznijcie.

Stanisław marzy o Anusi, może z nią jutro bliżej się pozna.

Nie oddali Krzyżacy bez oporu ziemi pruskiej prawemu jej właścicielowi, t. j. Polsce. Wojna o Prusy trwała lat trzynaście. Wreszcie wszyscy już pragnęli pokoju. W pokoju bowiem bezpieczny człowiek pracuje i pomnaża dobytek, cieszy się rodziną. Młodzieńca nie wyrwą z domu, nie zrobią z niego żołnierza, nie zmarnują mu czasu, ni siły. W pokoju nie napadną domu, nie zrabują, nie podpalą. A jeżeli przyjdzie nieszczęście, to na jednego całowika, nie na wszystkich, nie na kraj cały.

Wojna niszczyła Prusy już od lat dwunastu i tak kraj zubożyła, że się uprzykrzyła nawet samym Prusom. Właśnie król przyjechał był na święta wielkanocne do Brześcia Kujawskiego, aby być bliżej stron wojennych. Byli tam z królem biskup Jan Gruszczyński, biskup Jakób Sieniński i inni panowie, radząc nad ukończeniem wojny. Przybył także namiestnik pruski, młodszy Bajzen, starszy Jan Bajzen był już umarł. Gdy król przyjmował Bajzena i zapytał o usposobienie ludności, rzekł śmiało namiestnik:

— Jaka była nasza radość z przyłączenia się do Polski, mógł wasza królewska mość poznać, kiedyś przyjechał do Torunia przed laty dwunastoma. Teraz jest inaczej. Naród się zniechęca, widząc, że tyle ofiar poniósł, tyle krwi przelał a jeszcze nie ma końca wojny.

— Naszaż w tem winna? — zapytał król łagodnie.

— Jako zastępca narodu muszę śmiało powiedzieć, co nas boli. I powiem to królowi i panom polskim. Panowie żałujecie pieniędzy na wojnę wielką. Taka rachuba najgorsza. Gdybyście byli odrazu więcej podatków złożyli i większe wojsko wystali, byłibyśmy już dawno z Niemcami skończyli.

— Przecie odrazu pod Chojnicami było duże wojska — tłumaczył arcybiskup ks. Gruszczyński

— Tak pod Chojnicami, ale później przez lata następne.

— Wam goręcej, bo was z bliska pieką Niemcy, ale przyznajcie namiestnikowi — znowu odezwał się ks. arcybiskup — że choć my dalsi, robiliśmy, co mogli i teraz król przyjechał do Brześcia, aby tu zebrać wojsko i stąd ruszyć przeciw wrogom.

— A jeżeli ja winien — odpowiedział król — toć widzicie wszyscy panowie, chcę uczynić jak najlepiej. Oczekuję tu na wojsko i zbieram. Wcześniej w tym roku trudno mi było wyruszyć. W Prusach głód, trzeba było zwieźć dla wojska dostatek żywności. To wszystko dużo czasu kosztuje i zachodów. Ale bądźcie przekonani, że niczego bardziej nie pragnę, jak szczęścia moich pruskich poddanych i prędkiego ukończenia wojny.

Tak uspokajał król Bajzena i Prusów, a jeszcze lepiej ich przekonał wojskiem ze wszystkich stron napływającym. Niemcy też byli wojną znużeni, środki ich były już wyczerpane, starali się więc wszelkimi siłami o zawarcie pokoju.



TRAKTAT TORUŃSKI

MARYAN JAROCZYŃSKI

W lecie 23 lipca król z licznym wojskiem wyruszył z Brześcia Kujawskiego. Najpierw zwróciło się wojsko ku Chojnicom. Dowództwo oddał król Piotrowi Duninowi. Tym razem szczęśliwsi byli Polacy i po siedmiu tygodniach walki zajęli Chojnice.

Pod tem miastem wojsko polskie przed dwunastu laty rozpoczęło wojnę z krzyżakami i pod niem ją ukończono. Teraz już nie o zawarcie ugody prosili Krzyżacy, ale o łaskę, aby ich Polacy do nogi nie wybijali. Przysłał też papież swego posła Rudolfa i pokój zawarto w Toruniu.

* * *

Dnia 19. października 1466 r. w Toruniu wszystko od świtu było na nogach, jak przed wielkim zdarzeniem. Wielkie też miało nastąpić zajście. W mieście był król, poseł papieski, mistrz krzyżacki i wiele panów tak polskich, jak niemieckich.



Dawny widok miasta Torunia.

Układali się, radzili. Za Niemcami prosił poseł papieski, aby ich zanadto nie upokarzać.

O warunkach pokojowych mówią po mieście. Ile głów, tyle myśli, tyle sądów. Trudno wystuchać wszystkich, ale zbliży się do znajomych. Właśnie idzie ulicą cała rodzina Koperników. Siwy ojciec, Henryk, obie córki i ich dwóch mężów.

— Zle król zrobił, że odstąpił kawał naszej ziemi krzyżakom — rzekł Henryk. — Kiedy są pobici a brakuje im wojska i pieniędzy, trzeba było wyrzucić ich stąd całkiem. My najlepiej to czujemy, bośmy ich dobrze poznali.

— Król byłby się skłonił, puścić ich z niczem — odezwał się Stanisław — ale poseł papieski namawiał, aby im nie odbierać wszystkiego. Może nawet słusznie przedstawiał, że na upokorzenie krzyżaków cały świat przystanie, ale gdyby ich całkiem wyrzucono z Polski, mogliby Niemcy się upomnieć i znowu by wojna się przedłużyła.

— Tak Stanisławie — odpowiedział Henryk — wiem, co mówił poseł papieski, ale dziś Niemcy

nieby nam złego zrobić nie mogli. Jeżeliby była u nich siła, nie daliby byli upaść krzyżakom. Król miękki, ksiądz przystany z Rzymu grzeczny i wymowny umiał przekonać króla i panów polskich, że krzyżakom nie można całego kraju odbierać i na tem stanęło. Pozostawili im wschodnią część pruskiego kraju.

— Znowu — tłumaczył Stanisław — pokoju tego złym nazwać nie można. Większa część ziemi z pod krzyżaków wraca do Polaków. A krzyżacy zawsze będą poddanymi królewskimi. Każdy mistrz musi po obiorze przysięgać na wierność królowi. Cały zakon niemiecki będzie pod rozkazami królewskimi, polskich przyjaciół uważać ma za przyjaciół, a nasz nieprzyjaciół będzie jego nieprzyjacielem.

— Ja inaczej te rzeczy uważam — rzucił się gniewnie Henryk.

— Dajcie pokój sprzeczce — łagodził ich stary Kopernik — nie ma się czego spierać, rzecz skończona, a ja wam mówię, dzień taki, jak dzisiejszy, rzadko się zdarza na świecie. Dziś złe ukarane, a prawda jasno występuje, jak słońce. Dziś dopiero naprawdę łączymy się znowu my Prusowie z całą Polską i od dziś z tego braterstwa w pokoju płynąć na nas będą owoce. Dzisiejszy dzień będą Polacy po wiek wieków pamiętać i nas wspomną wnukowie, jako szczęśliwych, żeśmy w roku tysiąc czterysta sześćdziesiątym szóstym byli świadkami pokoju toruńskiego, na który zasłużyliśmy pracą i krwią własną.

Kiedy tych słów domawiał, przesuwał się przez tłumy, cała rodzina zbliżyła się do kościoła Panny Maryi.

— Idźcież dzieci do kościoła — rzekł ojciec — jeszcze pójde na giełdę, aby być przy zaprzysiężeniu warunków pokoju. Potem za królem przyjdziemy, tu wszyscy Bogu Najwyższemu podziękować za szczęśliwie ukończone dzieło.

Po tych słowach pospieszył na giełdę. Tam w dużej sali król, mistrz krzyżacki, poseł papieski, mnóstwo panów z Prus i różnych stron Polski.

Warunki pokoju spisane były w łacińskim języku. Po zebraniu się wszystkich, król z tronu wyniesionego dał znak, i cisza zaległa salę. Wówczas poseł papieski powstał z miejsca i czytał warunki pokoju w tłumaczeniu niemieckim. Po tem sekretarz królewski Wincenty Kielbasa opowiedział wszystko dosłownie po polsku. Zaledwie skończył, rzucił się mistrz wielki krzyżacki przed królem na kolana, bo sam czuł dobrze, że nic nie powinien był dostać, a zostawiono mu

wielką część pruskiego kraju na własność. Król go podniósł, a potem oba klękli, król i mistrz i przed postem rzymskim przysięgali na dotrzymanie wszystkich spisanych warunków. Gdy oni skończyli, zaprzysięgali ten pokój panowie pruscy i polscy, postowie miast i krzyżacy.

— Chodźmyż teraz podziękować Bogu za jego łaskę, za ukończenie wojny i za zgodę, aby trwała w najdłuższe lata.

Tak zaprosił król na nabożeństwo i wyszedł, a za nim wszyscy i szli do kościoła Panny Maryi. Tłumy nieprzeliczone narodu stały po ulicach, a gdzie się król zwróci rozstępują się i ro-

bią swobodne przejście. Za królem wybrani na rodu.

Weszli do kościoła. Poseł papieski nabożeństwo odprawiał. Król siedział na tronie. Rodzina Kopernika dobrze go widziała, ale świątynia za mała była, aby objąć wszystkich przybyłych do Torunia na uroczystość zawarcia pokoju. Przecie skupiali się i cisnęli do murów kościoła, a podczas mszy stali na dworze z odkrytymi głowami i modlitwą łączyli się z księdzem.

Po mszy widzieli jeszcze raz króla i panów, kiedy na ratusz szli na ucztę. Nie pamiętał Toruń takich godów.

OSĄDZONY.

W szóstym dziesiątku zeszłego stulecia nastąpiły ciężkie czasy dla ludności Ameryki północnej, gdyż, po długim pokoju, w Stanach Zjednoczonych wybuchła krwawa wojna secesyjna, w Meksyku walczył o władzę z miejscowymi republikanami cesarz Maksymilian, popierany przez francuzów, a nadomiar nieszczęścia głód i zaraza towarzyszyły grozie wojny. W szczególności wschodnie wybrzeża meksykańskie były nawiedzane klęskami. Raz cesarscy byli tam panami, raz znowu krajowcy. Gdy Napoleon wsadził na koniec wojska swe na okręt i zdawało się, że niezadługo nastąpi kres wszelkich niepowodzeń, pojawiła się żółta febra w miastach portowych. Vera-Cruz, imię kwitnącego miasta handlowego w zatoce Meksykańskiej, pozyskało wtedy nowe i straszne znaczenie; gdyż było „prawdziwym krzyżem” dla tuziemców i obcokrajowców walczących ze zmagającą się zarazą.

Ja się także zaliczałem do tych nieszczęśliwych, co ulegli podówczas żółtej febrze. Ponieważ kapitan okrętu naszego nie mógł mię trzymać na pokładzie, umieszczono mię w szpitalu dla dotkniętych tą febrą, na prędcie zbitym z desek. Spędziłem w nim najokropniejsze dni mego życia.

Kiedym opuszczał z lekkim sercem ów ponury i zarażony dom, zastąpił mię drogę w bramie rosły, silny mężczyzna, który mi się przedstawił w miejscowym języku jako grabarz i zażądał pieniędzy.

— Ponieważ pan nie umarłeś, ominał mię pogrzeb — rzekł sucho — domagam się przeto wynagrodzenia za stracone korzyści.

Naiwne to żądanie zabawiło mię; byłbym się głośno roześmiał, gdybym to mógł uczynić; ale gdym spojrział na nieznanomego, przeszło mię mrowie. Poznałem w nim tę długą czarną postać, która, w czasie mej choroby, chodziła od łóżka do łóżka, aby się przekonać, czy nie będzie co „do roboty”. Pewnego razu nawet zauważyłem, że obrabował ktoś trupa przy wynoszeniu, a w pierwszych dniach mego pobytu w szpitalu,

podobno grabarz ukradł mi zegarek i portmonetkę.

— Pieniądzy, sennor! Nie odrywaj mię tak długo od moich interesów.

Chcąc się stamtąd wydobyć jak najprędzej, obiecałem mu przysłać nazajutrz rano dolara i pospieszylem do portu. Okręt mój odplynął już... Dopytawszy się o drogę do konsulatu naszego, pobiegłem tam po ratunek i pomoc. W kwadrans później stałem przed reprezentantem kraju, który powinszował mi ocalenia i nalegająco prosił siedzieć. Zarazem pozdrowił mię w imieniu kapitana, oddał sumę, którą tenże zostawił dla mnie, rozpytywał o zamiary na przyszłość i pod każdym względem okazał się tak uprzedzającym, że ujął mię za serce. Kiedym już opowiedział przebieg mej choroby, wspomniałem o grabarzu i jego szczególnem żądaniu.

Konsul aż tupnął, tak go rozgniewała celnosc meksykańczyka.

— To oburzające, że ten człowiek tak się wzbogaca cudzym kosztem! — zawołał gwałtownie. — Wszakże on należy do najbogatszych ludzi w mieście, a jeszcze mu mało. Ach, jakież smutne są stosunki w tym nieszczęśliwym kraju!

Spojrzełem nań ze zdziwieniem.

— Ten grabarz jest bogaty? — zapytałem.

— Naturalnie, bo ma dobry interes; jego interes zawsze idzie. Im gorzsze czasy, tem jemu lepiej. Kiedy z powodów politycznych wszystko uległo tu rozprężeniu, Kwiros, korzystając z tego, że namiestnik jest w potrzebie pieniężnej, wymógł na nim przywilej chowania zmarłych i zrobił na tem majątek. Nie kępuje się on niczem. Dzięki żelaznym siłom i wyjątkowej nieczułości obchodzi on szpitale i prywatne domy, w których się znajdują umarli, i żąda, ile mu się spodoba, za pochowanie. Jeżeli kto odmawia żądanej sumy, to grozi po prostu, że trup zgnieje w domu, bo on go nie zabierze!

— Dlaczego nie powierzą tego smutnego zajęcia innemu? Przecież muszą tu być ubodzy lu-

dzie, którzyby się go podjęli za umiarkowaną zapłatę.

— Na nic by się nie zdało — odpowiedział konsul, kręcąc głową — Sennor Kwiros nie pozwala sobie dmuchać w kaszę. Mając klucze od cementarza, jest zabezpieczony przeciw konkurencji, gdyż meksykańscy, którzy są bardzo religijni, poczytywaliby sobie za wielki grzech, chowanie nieboszczyków w niepoświęconem miejscu. Lecz ja wybaczyłbym mu to — ciągnął dalej konsul — ale opowiadają inne jeszcze rzeczy. O ile są prawdziwe posłuchy o okradaniu trupów, obiegające miasto od czasu do czasu, o tem sądzić nie mogę, ale że Kwiros jest niebezpiecznym lichwiarzem i pijawką, to wiem napewno. Jeden z tutejszych mieszkańców, przed kilku jeszcze laty miał piękną wieś pod miastem, a dziś wyszedł prawie na żebraka. Jeśli przyciśnięty gwałtowną potrzebą, nie poświęci swej ślicznej córeczki, na którą grabarz czyha od dawna, to go smutny koniec czeka.

Ostatnie jego słowa zaciękawiały mię bardzo; biedny człowiek jest w krytycznem położeniu; dziewczyna, piękna jak obraz, ma stać się pastwą niecnego grabarza... Czegoż więcej było trzeba, żeby wzniecić burzę w głowie i sercu 22-letniego chłopca. W wyobraźni występowałem już w roli rycerza. Z 10-miesięcznej pensji, jaką mi właśnie wypłacono, spłacałem mego pupila; co zaś do jego pięknej córki, miał się dla niej wprędce znaleźć lepszy człowiek od tego wstrętnego Kwirosa. Z młodzieńczą żywocścią rozpytałem się o nazwisko i miejsce zamieszkania onego biedaka, i gdy mi konsul wskazał jakiś skromny hotel, wyszedłem od niego z silnem postanowieniem wyratowania tych biedaków.

Kiedym dochodził nazajutrz do domku, przy ulicy La Puebla, w którym mieszkał ten człowiek, myślałem już nieco chłodniej. To, com słyszał poprzedniego dnia od konsula, odnosiło się do czysto osobistych spraw obcego człowieka, który gotów by wyprosić mię za drzwi, gdy się zechcę wdierać w jego prywatne stosunki. Jak tu upozorować odwiedzinę?

Traf przyszedł mi w pomoc. Pode drzwiami jego domu stała stara kobieta, której fizyonomia i ubiór zdradzały europejskie pochodzenie: przystąpiłem więc do niej, aby zapytać o drogę do La Puebla. Zrazu przeleżała się trochę, ale po chwili odpowiedziała z uśmiechem, że jestem na

dobrej drodze, ale nie zdążę tam dojść przed nocą.

Od słowa do słowa przyszło do gawędy; aż nakoniec mąż jej wyszedł na próg, żeby zobaczyć przechodnia, z którym ona rozmawia.

Fryderyk Matey, był to człowiek mający około 50-ciu lat, który z powodu szkodliwego klimatu i ustawicznych kłesk wyglądał o dziesięć lat starzej. W zachowaniu się jego przebijała smutna lekliwa ostrożność, właściwa ludziom, którzy doświadczają wiele złego pośród obcych. Zdało mi się, że spojrzał groźnie na żonę za to, że się wdała w rozmowę ze mną; może też i odgadywał, że jego położenie jest mi już znane. Dopiero kiedym wspomniał o przebytej chorobie, kiedym powiedział, jak bardzo tęsknię za krajem, nabrał więcej zaufania i w końcu zaprosił mię



— Weszła ona, piękna, jak wiosenny poranek...

nawet do siebie, żeby mi nie zaszkodził upał panujący na ulicy. Rozumie się, że skorzysta skwapliwie z zaprosin, i niebawem siedziałem w gustownie urządzonym saloniku, na sofie, na przeciw gospodarza. Jego żona, przyrządzając dla mnie szklanekę limonady, rzekła:

— My pijemy tylko wodę, ale rekonwalescenci trzeba czemś lepszem poczęstować.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Przykro mi było, że poniosą z mego powodu choćby i tak mały wydatek, alem nie mógł ani odmówić te drobności, ani za nią zapłacić. Mimo to limonada tak mi smakowała, jak żaden jeszcze napój i nic dziwnego! podały mi ją piękne rączki córki gospodarza. Weszła ona, piękna jak wiosenny poranek, a potem stanęła za krzesłem ojca, spoglądając na mnie nawpół ciekawie, nawpół lekli-

wie. Dzieckiem jeszcze, wraz z rodzicami, opuściła ona Europę; ale że kochała całym sercem dawną ojczyznę, było to widać z jej błyszczących oczu, w czasie mego opowiadania. Gdy się jeszcze odezwała srebrnym głosikiem, nie wiedziałem, co się ze mną dzieje... Zapomniałem o celnych odwiedzin i wydawało mi się to szczęściem, że proszono mię na odciodnne, bym znowu przyszedł niedługo. Rozumie się, że przyszedłem i wyszedłem stamtąd z weselszym umysłem.

Powracając do siebie, spotkałem grabarza, wychodzącego z domu, w którym stał umarły, jak to wskazywał czarny krzyż, wymalowany na bramie. Miałem go przedko minąć, ale już mię był poznął i mierzyl badawczym okiem. Bez wątpienia chciał przypomnieć onemu dolara, którego byłem mu „dłużny”. Ażeby natychmiast uiścić się z należności, wyjąłem czempredziej pieniądze z kieszeni... porwał go z najlepszą miną.

Odtąd codziennie bywałem w domu Mateyów, bo, jak mi się zdawało, urocza Emma mile na mnie spoglądała. Tymczasem pewnego dnia pojawił się inny młodzieniec, na którego, jak wkrótce zauważyłem, jeszcze milej patrzyła. Jan Reuter, daleki krewny pani Mateyowej, przed czterema laty przybyły ze swego kraju, miał niedaleko od miasta dobrze zagospodarowaną fermę. Była ona jeszcze nieco obdłużona, ale Reuter, jako dzielny 25-letni chłopak, oczyszczał ją z każdym rokiem i dorabiał się ładnego majątku. Jeździł on tam w celu sprzedania krescency i przyszedł właśnie zawiadomić Mateyów o pomyślnym rezultacie swej wycieczki. Względem mnie był także otwarty i przyjacielski; rozmawiał ze mną o stosunkach europejskich i amerykańskich, wypowiadając przyem tak zdrowe sądy, że przyszedł nań z posażowaniem.

Zacząłem bywać u niego i po kilku odwiedzinach zawarliśmy, przy szklance wina, ścisłą przyjaźń. Wkrótce przyznał mi się nawet, że od lat dwóch kocha urocą Emmę i że się od niej dowiedział przed paru dniami, iż mu jest wzajemną. Rodziców nie prosił jeszcze o jej rękę, bo się chce dorobić, zanim wprowadzi ukochaną do domu.

— Czym ja nie najszczęśliwszy człowiek na świecie? — zapytał z rozpromienioną twarzą. — O, jakże się ucieszy moja rodzina, gdy ją dojdzie ta wiadomość. Rozumie się, że nie będziemy całe życie w Meksyku, bo miłość do ojczyzny nigdy nie wygaśnie w sercach naszych. Gdy zarobimy dosyć, żeby się tam choćby skromnie utrzymać, zaraz pożegnamy Amerykę.

Skinąłem na to głową, uściśnąłem serdecznie jego silną rękę, ale się nie mógł tak ucieszyć, jakbym pragnął; przypomniały mi się słowa konsula i smutne fizjonomie przyszłych teściów Reutera. Miałoby nie znać ich położenia? W takim razie byłoby to może obowiązkiem moim wtajemniczyć go w to, com słyszał, ale mi nie miało odwagi ściągnąć z nieba tego szczęśliwca.

Wieczorem towarzyszył mi on do miasta. Przechodząc koło cmentarza, zobaczyliśmy Kwiro, kopiącego świeży grób.

— Cóż to za okropny zawód — rzekłem niby z niechęcią. — Ze też ten człowiek nie porzuci go, kiedy podobno już się wzbogacił.

Towarzysz mój wzruszył tylko ramionami z filozoficznym spokojem.

Od owego dnia rzadko już odwiedzałem moich znajomych. Rodzice zdawali się coraz bardziej strapieni; a oprócz tego lękałem się przechadzać zakochanej parze. Wreszcie wypadki polityczne, następujące szybko jeden po drugim, jak wszystkich, tak i mnie pochłaniały całego.

Odkąd wojska francuskie zostały wycofane, Juarez odnosił zwycięstwo po zwycięstwie nad stronnikami Maksymiliana i coraz bardziej zacieśniało się koło, opasujące stolicę cesarską i nie szczęsnego monarchę, który z garstką druhów walczył, jak lew, za wolność. Nie uratowało go jednak bohaterstwo: gdy wojska jego uległy przemocy, poprowadzono go na śmierć wraz z resztą wiernych mu sług. Tak się skończyła ową wielką tragedya.

Nie mogłem dłużej wytrzymać w kraju, gdzie bezowocnie popłynęło tyle krwi ziomeków moich, gdy mi się więc wzmocnił, zacząłem się oglądać za przechodzącym okrętem. Nie znalazłszy, czego szukał, postanowiłem udać się do Orleanu i tam dopiero wsiąść na okręt. Dziś chciałem się pożegnać z konsulem i znajomymi, a jutro opuścić Vera-Cruz.

Przy obiedzie doszła mię rozmowa dwóch mężczyzn: jeden z nich wspominał o fakcie, który mię tak przeraził, że podskoczył w górę i wypuścił łyżkę z ręki.

— Pan się musiałeś przesłyszeć! — krzyknąłem — to jest nieprawdopodobne!

— Jednak rzeczy stoją tak, jak powiadam grabarz Kwiro: zaślubi pojutrze Emmę Matey, najpiękniejszą dziewczynę w Vera-Cruz. Ojciec narzeczonej opierał się wszelkimi siłami temu związkowi, ale musi oddać córkę swą lichwiarzowi, bo inaczej dostałby się do więzienia za długi.

— A Emma? Przecież nie może się oddać temu łotrwi, kiedy — pocóż zachowywać to dłużej w tajemnicy — kiedy serce jej należy do innego.

— Ludzie to osobliwi — odpowiedział mi pan z uśmiechem — tutejsza dziewczyna wygnęłaby niemiłego konkurenta, i z ukochanym uciekłaby w świat; tymczasem ta jasnowłosa poddaje się biernie swemu losowi, a jej wybraniec ustępuje potulnie. Dziwne to zwyczaje!

Zanim skończył mówić, porwałem kapelusza i wybiegłem na ulicę, żeby się dowiedzieć prawdy na miejscu. Ze i teraz nie mam prawa mieszać się do prywatnych spraw Mateyów, nie zwracałem na to uwagi; czułem tylko gorączkową chęć zapobiedz nieszczęściu, którego następ-

stwa trudno było przewidzieć. Ale się dowiedział, aż nazbyt prędko, że już zapóźno, że ta nieprawdopodobna pogłoska jest opartą na prawdzie. Emma, która mnie powitała u drzwi blada i z zapłakanymi oczami, potwierdziła to, com słyszał. Ten niegodziwiec groził, że uwięzi jej rodziców, jeżeli mu nie zapłacą znacznej sumy, albo nie oddadzą córki. Ponieważ nie mają pieniędzy, więc ona musi wyjść za Kwiroso.

— Nie chodź pan do rodziców — błagała ze wznieśionymi w górę rękami. — Oni są zrozpaczeni i wyrzut z obcych ust mógłby ich zabić. Jeśli pan chcesz spełnić uczynek miłosierny, to idź pocieszyć Janka Reutera, żeby sobie nie odebrał życia w przystępie szału. Wiem, że pana wysoko ceni i że pan zdołasz powstrzymać go od gwałtownego kroku. Idź pan! Proszę, idź natychmiast!

Kiedym się zapytał:

— W czym pani czerpiesz oicuchę:

— Bóg miłościwy nie opuści mię. Jeszcze się dzieją cuda — odrzekła z bolesnym uśmiechem.

Gdy tak stała przedemną, niby męczennica, z rękami złożonymi na sercu i z niewinnym okiem zwróconem ku niebu, byłbym chciał paść przed nią na kolana i rąbek jej szaty ucałować. To świątobliwe poddanie się, ta dziecięca ufność sprawiły na mnie tak silne wrażenie, jak jeszcze nic w życiu. Pod tym wpływem ja sam uwierzyłem w możliwość ratunku i tak samo jak ona błagałem nieba o cud.

Spotkawszy na ulicy konsula, który już był powiadomiony o tem zdarzeniu, zapytałem, czyby nie można zebrać potrzebnej sumy pomiędzy zamożnymi Europejczykami, — ale on zaczął kręcić głową.

— Czerdzieści tysięcy dolarów trudno wytrząsnąć z rękawa w tych ciężkich czasach — powiedział — tembardziej, że w rzeczywistości dług ten wynosić może około 2000 dolarów.

— Mógłbyś pan wystąpić przeciw lichwiarzom jako przedstawiciel rządu swojego.

— Nie, kochany panie... Jesteśmy na gruncie meksykańskim, a podług praw krajowych, którym się musimy także poddawać, Kwiroso ma słuszną rację. Posiada on rewersa podpisane przez Matęya, i to jest wystarczające. Gdyby biedak ten był się mnie poradził, nigdyby rzeczy nie zaszły tak daleko. Teraz niech się dzieje, co chce!

Taką samą rezygnację okazywał Jan Reuter. Siedział on z głową wspartą na ręku przy otwartym oknie, wpatrzony w stronę miasta, w której mieszkała jego ukochana, mająca zostać za dwa dni żoną innego, i to nędznika. Nie zwracając uwagi na moje powitanie i na to, com do niego mówił potem, zachowywał wciąż milczenie, dopiero kiedym wspomniał o nadziejach Emmy, uśmiechnął się gorzko. Jednakże gdym zdjął z nad jego łóżka rewolwer i schował go do kieszeni, głuchym głosem rzekł:

— Nie zadawaj sobie tego trudu... Mojem

zdanem samobójstwo jest tchórzostwem, do którego nie byłbym zdolny.

Wyciągnąłem doń przyjaźnie rękę.

— Dzielnie mówisz, kochany przyjacielu Głowa do góry! Może się i stanie cud.

— Czasy cudów minęły — odpowiedział, nie przyjmując podanej ręki. — Jestem przyzwyczajony rachować się z rzeczywistością: jest to więc dla mnie niezawodnym faktem, że dziś lub jutro sprzedam moje ruchomości pierwszemu lepszemu i opuszczę ten kraj.

Kosztowało mię to wiele trudu, żeby go odwieźć od tego postanowienia.

— Byłoby więcej niż szaleństwem, zmarnować owoc kilkoletniej pracy — rzekłem. — Zatrzymaj się przynajmniej do pojutra.

Zgodził się na to po długim naleganiu z mej strony, wróciłem więc do miasta trochę rześniejszy.

Nazajutrz rano uczułem się tak niezdrów, skutkiem doznanych wrażeń, że miałem się poradzić lekarza. Zalecił mi on zupełny spokój, ostrzegając, że mogę popaść w recydywę, a gdy żółta febra się powtórzy, kończy się często śmiercią.

Otwartość doktora nie pozostawiała nic do życzenia.

W południe Kwiroso wykopał w cieniu cmentarnym ostatnią mogiłę. Chciał on pochować jeszcze jednego nieboszczyka, zanim porzuci swój przykry zawód; zaraz bowiem nazajutrz miał zamieszkać z młodą żoną przy ulicy La Puebla w haciendzie, dawnej własności Matheów. Kwiroso cieszył się nadzieją miodowego miesiąca, który miał spędzić ze śliczną Emmą w swej uroczej wiosce. Wprawdzie Emma okazywała niechęć przyszłemu małżonkowi, ale on sobie nic nie robił z tego, pewien będąc, że z czasem zmieni się jej usposobienie.

Kondukt pogrzebowy nadszedł i zatrzymał się przy otwartym grobie. Gdy spuszczone trumny pękł jeden ze sznurów, wieko odskoczyło, i wypadł trup, ubrany, wedle miejscowego zwyczaju, we frak i krawat biały. Krewni zmarłego zmieszali się bardzo tym wypadkiem, ale Kwiroso stał spokojnie w dole, przywrócił wszystko do porządku, poczem stanął za księdzem, jak gdyby nic nie zaszło. Gdy się obrzęd skończył, zasypał mogiłę, wziął swą należność i poszedł do domu.

* * *

Około północy otworzył bramę cmentarną i przeszedł pomiędzy grobami do miejsca, w którym pochował ostatniego nieboszczyka. Stanął tam i nasłuchiwał; zdawało mu się, że dokoła poruszają się w blasku księżyca błyszczące krzyże i że upiór siedzi na wielkim kamieniu grobowym. Po raz pierwszy było mu jakoś nieswojo w tem jego dominium, chociaż nieraz już chodził po niem w porze nocnej.

— Nonsens! — szepnął — nie ma upiórów... zresztą niech się dzieje, co chce, muszę wziąć ten

frak. Czułem wyraźnie, jakie to cienkie sukno, gdym kładł napowrót trupa do trumny. Będzie to świetny strój do ślubu, a nieboszczyk przecież i tak nie zmarznie.

Obszedł z daleka mogiłę ocienioną cyprysem i leżącą w dosyć znacznej odległości od drogi; odkopał tam bowiem, przed paru tygodniami, młodą kobietę, żeby wyrwać ziemi kosztowny pierścień. Ponieważ nie dał się on zsunąć z palca, Kwiros musiał dopomóc sobie nożem... Gdyby się tak nieboszczka ukazała teraz i zażądała swej własności!...

Stanąwszy nakoniec u celu, zaczął odgarniać wieńce na świeżej mogile i rozkopywać pulchną ziemię. Robota szła szybko, gdyż nie wycoczywał wcale i niebawem uderzył łopatą o trumnę, którą wypadło mu już tylko wyjąć i otworzyć. Dzięki olbrzymim siłom udało mu się i to. Kwiros mógł się liczyć za dwóch silnych mężczyzn, a i wprawa wiele znaczy.

Nieboszczyk, leżący w trumnie, miał oczy na wpół otwarte i ręce na piersiach skrzyżowane. Ażeby zdjąć zeń frak, rabuś musiał go wyjąć i oprzeć o mur. Następnie roztworzył on przemocą ręce zesztyniałe, odwiązał mu krawat i zaczął odpinać frak.

Tu stała się rzecz straszna: nieboszczyk zamknął ramiona, trzymając korpus grabarza, niby w klaszczach żelaznych. Ten skrzyknął się, jęczał, schwytał przeciwnika za gardło, kłął i błagał o zmiłowanie, lecz wszystko napróżno. Opanowała go straszna rozpacz, pot śmiertelny wystąpił mu na czoło, wił się, jak gad, w okropnym uścisku, ale trup nie puszczał go. Nakoniec, nie widząc innej rady, zawołał o ratunek, tak przeraźliwym głosem, jak waryat. Gdy jego pomocnicy i sąsiedzi przybiegli, już był rzeczywicie waryatem. Wszyscy lękali się go więcej, aniżeli przeciwnika, z którym się mocował. Odprowadzili go wprawdzie do domu i ułożyli w łóżku, ale zaraz uciekli jeden po drugim; żaden nie chciał go doglądać. Najstarszy z jego pomocników, który wyrzymał tam dłużej od innych, pobiegł po doktora, lecz zanim go przyprowadził, stało się nieszczęście — dom waryata gorzał.

Zbudzony popłochem z niezdrowego półsnu, zerwałem się i chwyciłem za ubranie. Przeczucie mi mówiło, że to nie jest przypadkowy pożar.

— Cmentarz gore! — wołały tłumy, spiesząc na miejsce pożaru. — Djabieł piecze grabarza! Kwiros nie żyje!

W samej rzeczy, ciżba parła mię w stronę cmentarza, i gdym dotarł do bramy miasta, ujrzałem jasne płomienie, wydobywające się na dach odosobnionego domku. Było tam dosyć ludzi, ale stali bezczynnie i z drżeniem przyglądali się strzelającym płomieniom.

— Tego ognia nie można gasić — mówili — to ogień piekielny, przez samego djabła zapalony.

— Czy Kwiros wyratowany? — zapytałem mego sąsiada.

— Spalił się — odpowiedział; a ktoś inny objaśnił mi, że duchy cmentarne upiekły żywcem Kwirosa.

Jak się rzecz miała naprawdę, nie mogłem się dowiedzieć. Domyślałem się tylko, że był to straszny sąd Boży na winowajcę. Gdy się dach za walił, trzeszcząc, mnóstwo płomyków ognistych wzbilo się ku niebu; przypomniały mi się słowa dziewczyny, która dziś właśnie miała stanąć u boku lichwiarza przed ołtarzem: „Dzieją się jeszcze cuda”, powiedziała Emma; czyżby tak było rzeczywiście?

Zanim rozważyłem tę myśl, na prawo i na lewo zaczęto mówić o cudach.

— Zmarli niekiedy powstają! — wołali ludzie.



Tu stała się rzecz straszna: nieboszczyk zamknął ramiona, trzymając korpus grabarza, niby w klaszczach...

cisnąć się do bramy cmentarnej, gdzie się ze strachem zatrzymywali.

Tylko garstka odważniejszych weszła na cmentarz i widać było, przy łunie palącego się domu, że biegną za tylnym murem. Poszedłem za nimi i przystąpiłem do gromadki, co stojąc przy otwartym grobie, zagłuszała wrzawą szczegółowe i straszne opowiadanie naocznego świadka. Twierdził on, że odgrzebany mężczyzna pozostawał w letargu i że się ocknął, gdy Kwiros wyjął go z grobu. Teraz umarł jednak rzeczywiście, bo od dwóch godzin leży przy murze, na tem samym miejscu, i nie poruszył się ani razu.

Zwróciłem się do wskazanego miejsca: przy otwartej trumnie trupa kłęczał lekarz, ten sam, którego rady zasięgałem w przeddzień. Pozna

wszy mię, podniósł się i wytłomaczy mi rzecz całą, jak następuje:

— Wszystko poszło naturalną drogą; zmarły, — że był to nieboszczyk, wiem na pewno, gdyż przed pochowaniem otwierałem mu żyłę płuśną, zmarły, — powiadam, został pogrzebany w kilka godzin po śmierci, ze względu na zarazę; ale Kwiros odkopał trupa, żeby go zrabować. Otóż jest to rzeczą wiadomą, że muskuły człowieka tracą sprężystość dopiero w jakiś czas po jego śmierci. Podczas tak zwanej „sztywności trupiej” kurczą się napowrót przemocą otwarte ramiona i ręce, i to właśnie tłomaczy wypadek dzisiejszej nocy. Stan ubrania nieboszczyka wskazuje, że rabuś chciał zdjąć z niego frak i w tym celu rozwinął mu ręce, skrzyżowane na piersiach; ręce te zaś zwały się natychmiast i przytrzymały go. Z przestachu postradał on zmysły i podpalił dom, w którego płomieniach znalazł śmierć.

Zimne dreszcze przeszły mi na myśl o okropnym końcu tego człowieka, który dziś właśnie miał wprowadzić w dom najpiękniejszą dziewczę z całego miasta. Według objaśnienia lekarza nie było w tym wypadku nic nadnaturalnego, ja sobie jednak wciąż powtarzałem, że było to zrzadzeniem wyższej sprawiedliwości: ukarała ona długoletniego złoczyńcę, zanim zdążył zbierać owoce swego rabunku i lichwy. Ale jednocześnie myślałem i o tych, co ciężkim strapieniem wyglądali dnia, mającego zniweczyć na zawsze ich szczęście. Mateyowie musieli już być uwiadomieni o tem, co się stało; lecz mój przyjaciel, Reuter, mieszkający o godzinę prawie drogi od miasta, nie mógł jeszcze wiedzieć o śmierci swego ohydneho współzawodnika; jemu więc chciałem zanieść tę wieść.

Podczas kiedy powtórnie grzebano odkopane zwłoki, pospieszyłem do miasta, gdzie wyszukał z wielką trudnością powóz, żeby pojechać do mieszkania Reutera. Odbijająca się na firmamencie luna pożaru znikła o świcie, i gdy mój woźnica zatrzymał konie, wyłoniła się wspaniała kula słoneczna z toni morza, którego nieruchoma powierzchnia miała blask roztopionego metalu. Dookoła mnie szumiały palmy, kołysane wietrzykiem porannym, liście trzciny cukrowej błyszczały od rosy, a gałęzie drzew bawełnianych kłaniały mi się tak przyjaźnie, że, niby głośny okrzyk radości, wyrwało mi się z piersi imię człowieka, któ-

ry je zasadził i wyhodował. Wpadłem do domu i do pokoju Reutera, który wyszedł na me spotkanie smutny i blady.

— Wdzięczny ci jestem za to, żeś tak wczesnie przyszedł, żeby nieszczęśliwemu pomódz dźwigać ciężkie brzemie, ale poproszę cię serdecznie, żebyś mię zostawił samego.

Siadł przy stole i ukrył twarz w rękach.

Położywszy rękę na jego ramieniu, dodawałem mu otuchy i po chwili dopiero opowiedziałem zdarzenie nocne. Z początku potrząsał głową z niedowierzaniem, biorąc moją opowieść za bajeczkę; ale gdy go zapewnił słowem honoru i powołał się na świadectwo woźnicy, nie mówiąc padł mi w ramiona i szlochał jak dziecko. On, który przedtem wątpił o sprawiedliwości niebios, stał się wierzącym: był to ów bowiem cud, oczekiwany przez jego ukochaną.

W dziesięć minut potem pędziliśmy do miasta. Lękając się przechorować nowe a silne wrażenia, wysiadłem z powozu, zanim przybyliśmy do domu Mateyów. Przyjaciel mój wymógł na mnie przedtem obietnicę, że zmienię plan podróży i dopiero następnym parowcem odpłynę do Nowego Orleanu.

Nazajutrz odbyły się zaręczyny zakochanej pary w ścisłym kółku rodzinnem; z obcych gości byłem tylko ja jeden. Ani rodzice, ani dzieci, nie objawiali głośno radości; można się było spodziewać tego po tak wstrząsających wrażeniach, ale z ich rozpromienionych twarzy znać było, że z głębi serca dziękują Opatrzności za szczęście, które już uważali za stracone. I mieli do tego słuszną przyczynę, gdyż podpisane przez Mateyów weksle spaliły się wraz z domem grabarza i, ponieważ nie pozostawił spadkobierców, dług ich został umorzony. Nieruchomości samobójcy przeszły na rzecz rządu, ale dawna hacienda Mateyów, położona przy ulicy La Puebla, niedługo zostawała w jego władaniu; kiedy w sześć lat potem przybył znowu do Vera-Cruz, już ją odkupił Jan Reuter za pieniądze, jakich się dorobił. Widziałem go właśnie w tej haciendzie, otoczonego rodziną, przybyło mu bowiem dwoje dzieci kwitnących zdrowiem.

— Jeśli szczęście będzie nam sprzyjało jeszcze pięć lat, to powrócimy do Europy — powiedział do mnie, jest to jedyne marzenie nasze.

Marzenie to spełniło się już podobno.



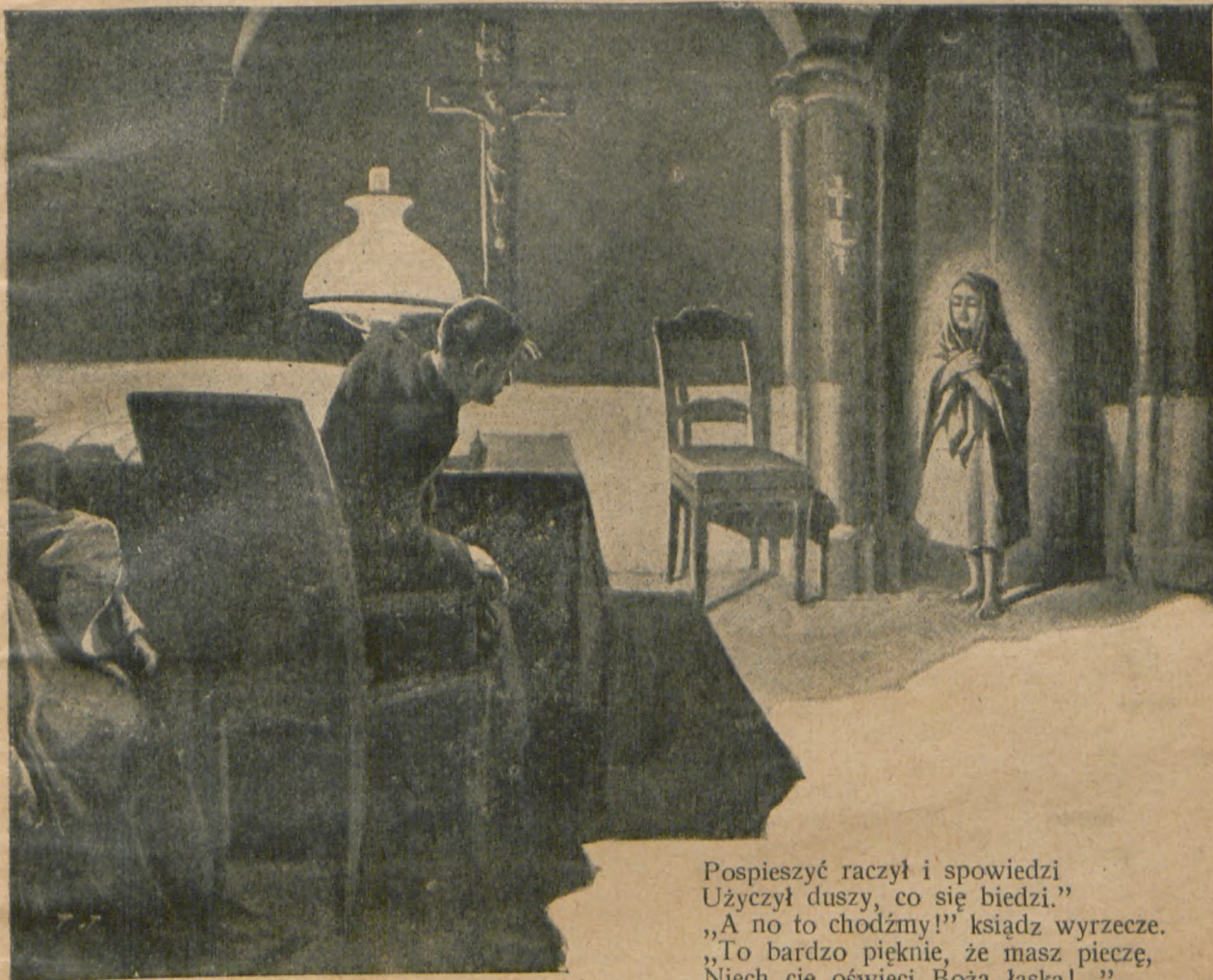
Człowiek poczciwy szkoda i jednej godzinki, aby ją miał marnie, a cóż dopiero niegodziwie stracić, człowiekowi nic nie jest droższego jako czas; niechże mu ten szlachetny klejnot, jak liść po wodzie niepotrzebnie i darmo nie upływa.

Toć mogło być za starych ludzi, iż dobrodziejstwa długo pamiętali, ale dziś takie wieki i tacy ludzie nastali, iż póki widzą, póty pamię-

tają, a skoro z oczu, to już wszystko na stronę precz. Prawdać jest, iż na on czas mogła być u każdego dłuższa pamięć, bo się tak w on czas głowa ludziom nie mieszała jako dziś.

Człowiek poczciwy powinien sobie pilnie przyjaciela obierać, a obrawszy, mocno i nieodmienne przy nim stać, nie obłudnie, ale w prawej szczerości, i zwać go drugą ja. (Reja „Z. cal. ucv.“)

Z ZA ŚWIATA.



Do księdza — ni to duch sierocy,
 Ktoś lekko puka o północy...
 „A kto tam? proszę wejść!” U proga
 Postać nieśmiała i uboga
 Dziewczęcia — może lat dziesięciu
 Z błękitem oczu, co w napięciu
 Tam — gdzie bezsilne skargi słowa,
 To chyba łzy te srebrne chowa.
 Z twarzą bieluchną, jak opłatek,
 Choć w opowiciu nędznych szatek,
 Lecz taka dziwna, jakby cała
 O świcie we mgłach srebrnych sta'a,
 Zaśniona w sobie, smutna, cicha,
 Jak duch, gdy po za życiem wzdycha.
 „A co to, dziecko?” ksiądz zapyta.
 „To, chciałam prosić dobrodzieja...
 Matka mi chora, lęk ją chwyta
 I w Bogu tylko już nadzieja.
 Więc chciałam prosić, by dobrodziej
 (I tu całuje księdza w rękę)
 Z tym Sakramentem, który godzi
 Z Bogiem i życia skracza mękę,

Pospieszyć raczył i spowiedzi
 Użyczył duszy, co się biedzi.”
 „A no to chodźmy!” ksiądz wyrzecze.
 „To bardzo pięknie, że masz pieczę,
 Niech cię oświeci Boża łaska!...”
 I do dziewczęcia się przybliży,
 I błogosławiąc wieści chyżej,
 Po głowie czule ją pogłaska.
 Poczli, — a długo szli, o, długo —
 Dziewczyna z chętnym Bożym sługą
 Bo droga wiodła w te zaułki,
 Gdzie nędza gniazda niskie ściele
 I plagę wszelką ma do wspólki,
 Gdzie grzechu wiele — zbrodni wiele,
 Gdzie doła z piekłem już się brata,
 Gdzie wiele winy — tego świata.
 Wreszcie nad rzeką, gdzie drewniany
 Dom pod wilgocią wyniósł ściany,
 Stanęli. Dziewczę naraz znikło
 Drogą tajemną i niezwykłą.
 Choć obcy księdzu był zaścianek,
 Lecz idąc prosto na kaganek,
 Co jeden błyszczał po przez szyby,
 Wnet drzwi uchylił do siedziby.
 „Niech będzie Chrystus pochwalony!
 W Nim pewność szczęścia i obrony,
 Oto przychodzę, matko, z Bogiem,
 By was pocieszyć słowem błogiem,

I duszy, co się łamie w ciele,
 Zapewnić szczęście i wesele,
 Jako, że z krynic Bożych czerpią
 Błogosławieni, którzy cierpią.”
 Na dźwięk tych słów Bożego posta
 Z tapczana blada się uniosła
 Kobieta — bólem, nędzą, głodem
 Złamana — razem z życiem młodem
 Zdeptana, starta z tych kolei,
 Gdzie blaski szczęścia i nadziei...
 Zdziwionem okiem zatoczyła
 I jęła: „Jezus! Marya miła!
 A to mi dano, bym na drogie
 Ostatnią wzięta zapomogę!...
 Uliłowała się Panienska,
 By z Boga była mi jutrenka!...
 Jenoj mi dziwno, spytać się godzi,
 Jakim tu cudem ksiądz dobrodziej
 Przybył, gdy trzy dni sama leżę,
 O chłodzie, głodzie, jeno w wierze —
 I gdy żywego nie masz ducha,
 Skąd by mi pomoc lub otucha.”
 Na to ksiądz: „Przecież wasza córka,
 Która mi znikła u podwórka,
 Ona wskazała do was dróżkę, —
 Pocziwiał dał wam Bóg dziewczuszkę...”
 Tu w chorej dziw się wielki zrodzi:
 „Co też powiada ksiądz dobrodziej?!
 Toć moja córka — o, tam leży
 Martwa — i trupek już nieświeży —
 Trzy dni, jak zmarła... Niemasz komu
 Pochować — wynieść martwej z domu,

Więc czekam tutaj, nim do koła
 Wiecznego mnie też Bóg powoła.”
 Zdumiony wieścią tak zuchwałą,
 Wziął ksiądz kaganek i w omroku
 Szedł tam, gdzie w kącie coś szarzało.
 Oświecił — zadrżał od widoku.
 Bo na tapczanie martwa służka
 Bolesnej wieści — taż dziewczuska
 Leżała, która tu go wiodła, —
 Zasnuta w śmierci sztywne godła —
 Z twarzą bieluchną jak opłatek,
 Choć w opowiciu nędznych szatek,
 Lecz taka godna, srebrna cała,
 Jakby w mgłach rannych się nurzała,
 I tak niosąca śmierci znamię,
 Jak lilia, gdy ją burza złamie,
 Odrzuci lśniący kwiat za młodu
 Od kwitnącego precz ogrodu...
 W jaśnieniu ducha i w pokorze
 Ksiądz ciało żegnał w Imię Boże.
 A nim spłynęła nocka głucha,
 Oddała matka Bogu ducha,
 Olejem świętym namaszczone,
 By się z kochem złączyć — z córką.
 Odeszła — gdzie ta jasna strona,
 Gdzie byt się żadną nie ćmi chmurką —
 I skąd wspomnienie ziemskiej doli
 Duszę strojoną coraz tkliwiej
 Przez tęże blaski i obszary —
 Jak sen daleki — punkcik szary
 Niknący oku — chwilkę dziwi,
 Lecz już nie chmurzy, ani boli.



O pieniądzach, walucie i konwersyi waluty.

I.

O nadzwyczajnem znaczeniu pieniędzy w świecie mamy w każdym języku wiele trafnych przysłów i powiedzeń, jak to n. p., że „pieniądze rządzą światem”, — powinno się więc zdawać, że ludzie znają dokładnie ich istotę, zasady i podstawy ich wpływu na świat cały. W rzeczywistości jest jednakże inaczej, nawet przeciwnie twierdzić można, że na ogół ludzie wprost nie znają istoty pieniędzy. Jest z tą sprawą nieinaczej jak z tylu innymi rzeczami, które znamy jedynie z przywyknienia. Pradziadom naszym zupełnie obce były telefony i telegrafy, naszym ojcom samoloty, dla nas są nowością promienie roentgenowskie, telefony i telegrafy bezdrutowe, a pokolenie dorastające o tych niesłychanej doniosłości wynalazkach mówi jak o powietrzu, o wodzie, bo od najmłodszych lat do nich przywykło i zdaje mu się, że to tak już zawsze było. Z tej bezmyślnej nieznamomości przedmiotów zwykłych wynika wiele złego, tem więcej, im znaczniejszą jest przewaga ich w naszym życiu, tem łatwiejsze nadużycie, tem trudniejszy właściwy użytek. Dla tego dorzucimy

poniżej słów kilka do wyswietlenia istoty pieniędzy, o których to mówią, że w stosunkach całego świata, a zwłaszcza w handlu i przemyśle są niejako tem, czem krew w żyłach człowieka.

Jeżeli mamy sięgnąć myślą w one zamierzchłe czasy przed wielu, wielu tysiącami lat, to wówczas pieniądz był zupełnie nieznanym. Człowiek wówczas musiał sam sobie wystarczyć, każdy miał, o co się sam postarał, a było wszystkiego dosyć. Jak zaś z poszczególnym człowiekiem, tak następnie było też z rodziną, z całym szeregiem. Dopiero gdy z biegiem czasu dzięki sprzyjającym okolicznościom w jakim szczepie wynoskonaliły się zdolności w pewnym kierunku, że powstała nadprodukcya, a szczep ten w swych wędrówkach, które były rzeczą zwykłą, napotkał na drugi, w którym wyrobiły się inne zdolności, powstała najnaturalniejszym sposobem wymiana wzajemnych wyrobów i zapasów. Odtąd minęły znowu długie wieki, aż pewnego rodzaju towary i wyroby nabrały ogólnego znaczenia i stały się miarą na każdą zamianę, i to był początek pieniądzy, chociaż zrazu owe przedmioty wcale a wcale

nie były podobnymi do tego, co my nazywać zwykliśmy pieniądzem. Takim bowiem środkiem zamiany były sztuki bydła, skóry, sól, wreszcie kruszec pewnej wielkości i pewnego kształtu i blasku, w kęgach, w płytach; mianowicie błyskotliwy kruszec wnet znalazł powszechne uznanie, bo służył także ku ozdobie, a próżność ludzka była ongi nie mniejszą niż dzisiaj. W Chinach była kruszczem takim w najdawniejszych czasach i pozostała długo cyna, u nas w Europie miedź, potem żelazo a dopiero znacznie później złoto i srebro. Kiedy się ostatecznie pojawiły pieniądze w kształcie dzisiejszych płytek okrągłych, nie wiadomo; najdawniejsze, jakie znamy, pochodzą z Mezopotamii, złote pieniądze z 7-go wieku przed Chrystusem; w Rzymie istniały nasamprzód srebrne, a złote potem w 3-iem stuleciu przed Chrystusem. Nie ulega jednakże wątpliwości, że pieniądze bite były już znane na kilka tysięcy lat przed, bo wykopane w dawnej Babilonii i Asyrii dokumenty z 6-go i 7-go tysiąclecia przed Chrystusem zawierają przepisy i rozprawy co do całego ruchu gospodarczego w państwie tak liczne i szczegółowe a tak żywo przypominające nasze pojęcia o kupnie, dzierżawie, pożyczkach, spadkach, wianie, iż wprost przypuszczać nie można, ażeby się takie sprawy były dały załatwić bez pieniędzy.

Na znaczeniu pieniędzy jako środka umożliwiającego handel i regulującego stosunki ludzi w państwie i państw między sobą poznali się monarchowie we własnym interesie już bardzo dawno, a zarazem zrozumieli, jak wiele zależało na tem, aby pieniądзом nadać jakąś stałą wartość i utrudnić fałszowanie takowych, bo fałszery monet i wówczas nie brakło. Cóż tedy zrobili? Oto przyjęli zasadę, że bicie monety jest wyłącznym prawem państwa, a conajmniej ścisła kontrola nad biciem monety, które tylko jako przywilej mogło przysługiwać także wybranym osobnikom. Ażeby zaś dać zrozumiały dla każdego wyraz tej zasadzie, poczęto na monetach wybijać popiersia i głowy monarchy lub też jaki symbol, później herb państwa ogólnie wówczas uznawany, i ten zwyczaj przetrwał do naszych czasów. Oczywiście i to wybijanie podobizny monarchy na monecie nie chroniło zupełnie od fałszowania pieniędzy, co gorsza królowie sami fałszowali monetę przez dodawanie kruszczu mniej wartościowego, jak n. p. król pruski Fryderyk zwany wielkim, który do złotej monety kazał tyle innego metalu dodawać, że w końcu nie chciano jej przyjmować ani za pół ceny!

Papierowe pieniądze są wytworem nowszych czasów. W Europie pojawiły się one dopiero w 17-ym stuleciu, a zdaje się, iż nastąpiło to za przykładem Chin, gdzie Wenecyanin Marko Polo pod koniec 13-go wieku już je zastał, jak to w swych pamiętnikach opisał. Pojawienie się papierowych pieniędzy umożliwiło wydoskonalenie sztuki drukarskiej, którego nie wiele przedziej do-

konano, ale dalszem następstwem tego rozwoju drukarstwa jest niestety też, że teraz najwięcej i najłatwiej podrabiają pieniądze papierowe, bo to sposób najtańszy a zarazem najzyskowniejszy!

II.

Dzisiaj niema zakątka na ziemi, gdzieby nie znano pieniędzy, a gatunków i kształtów ich mamy bez liku. W Europie każde państwo i każde państewko uważa sobie za pierwszy obowiązek zaprowadzić własne pieniądze, zresztą całkiem słusznie. Mamy więc ruble, korony, marki, franki, liry, leje, denary, szylingi, mamy pieniądze złote, srebrne, niklowe, miedziane, żelazne itd., że nie sposób połapać się na nich, tem więcej, że prawie wszystkie różnią się między sobą wartością. Skądże to pochodzi? Czy ta różnica jest tylko przypadkowa czy też państwa z całą rozważą zaprowadzały u siebie monetę pewnej wartości odmiennej bez względu na monetę u sąsiadów już istniejącą lub u tych ludów, z którymi utrzymywały stosunki handlowe? Czy nie lepiej byłoby mieć jednolitą monetę w całym świecie albo — powiedzmy — przynajmniej w Europie?

Otóż różnica między monetami zdaje się polegać w niektórych razach istotnie na przypadku, — czasem znowu nazwa i oznaczenie wartości pieniądza pochodzi z tak dawnych czasów, że dzisiaj pochodzenia jej niezdolen już nikt wyświecić, w innych wypadkach za to zupełnie jest zrozumiałym lub wytłomaczonym powód, dla którego w niektórych państwach zaprowadzono całkiem odmienną monetę. Aczkolwiek n. p. od dawna tak złoto jak i srebro na ogół równocześnie uchodziło za metal najodpowiedniejszy do bicia pieniędzy, państwa, obfitujące w kopalnie srebra, wołały srebro uznać za podstawę swej waluty, t. j. całego urzędzenia pieniężnego, bo na tem zyskiwały, tak jak kraje złotodajne dały u siebie pierwszeństwo złotu, bo miały te cenne kruszce taniej niż inne państwa i w ten sposób obywatele ich nabywali taniej towary i wyroby zagraniczne. Inne znowu państwa, które nie miały u siebie ani znaczniejszych kopalń złota ani srebra, wołały u siebie zaprowadzić walutę opartą na obu cennych metalach czyli tak zwany bimetalizm, wychodząc z zapatrywania, że w ten sposób zapobiega się najlepiej i najsukuteczniej nie spodziewanemu obniżeniu się wartości pieniędzy z jednego rodzaju metalu, że oba rodzaje pieniędzy, obok siebie istniejąc, nawzajem się regulują. Nie będziemy się zapuszczali w dowodzenie słuszności takiego zapatrywania, które zwłaszcza pod koniec 19-go wieku było przedmiotem żywych sporów, niech wystarczy, że stwierdzimy, iż ostatecznie złoto górę wzięło nad srebrem i dziś waluta złota jest w Europie ogólnie uznana. Co się zaś tyczy pytania, czy nie dobrzeby mieć jednolitą walutę na całej ziemi, to byli tacy, którzy myśl tę gorąco popierali, jak i teraz po-

wojnie, chcąc na tej podstawie zjednoczyć wszystkich ludzi, ale to zapatrywanie bodaj się nigdy nie urzeczywistni. Złoty pieniądz wszędzie ma swą wartość, przynajmniej o ile zawiera złota, bo w każdym złotym pieniądzu jest dziesiąta część innej domieski, ale srebrny pieniądz, a jeszcze oczywiście więcej pieniądz papierowy jest tylko tyle wart, o ile państwo, które go w obieg puściło, zasługuje na zaufanie ze względu na swe gospodarstwo, swój porządek i swe zasoby. Jakie państwo — taka waluta, a państwa są niestety bardzo rozmaite i jedno państwo nie chciałoby ręczyć za drugie!

Ale co to jest właściwie waluta? Jest to słowo pochodzenia włoskiego, oznaczające tyle co „wartość” a określa ogólnikowo zaprowadzoną w kraju prawnie jako środek płatniczy i służącą za wyłączną a ogólną miarę wartości jednostkę pieniężną. Naturalnie pieniądz sam musi również posiadać pewną wartość, chociaż wartość taka może być niekiedy tylko sztucznie mu przyznana. Wiemy bowiem, że mamy 1) pieniądze właściwe, którym zawartość ich złota lub srebra nadaje samą wartość zbliżoną do tej, jaką na pieniądzu podano; 2) pieniądze zdawkowe — z niklu, miedzi, żelaza, — które posiadają tylko warunkową wartość, a które każdego czasu można zamienić na właściwe, i 3) pieniądze w kształcie biletów kredytowych państwa czyli pieniądze papierowe. Ten ostatni rodzaj pieniędzy jest właściwie tylko namiastkiem, bo sam w sobie nie przedstawia wogóle żadnej wartości, wszakże był i jest w ogólnem użyciu, bo nasamprzód prawo go uznało jako środek płacenia, kasy państwa były zobowiązane zamienić go na żądanie na pieniądze wetalowe, a co najważniejsza, w kasach tych miała się na wykupienie tych papierowych pieniędzy znajdować zawsze prawnie przepisana ilość szczerego złota. — Wyraźnie zaznaczamy, że tak miało być i bywało przed wojną, ale dziś jest inaczej. Złota w kasach prawie że niema a pieniądze papierowych w obiegu na miliardy!

Najważniejszym dla każdego obywatela skutkiem zaprowadzenia prawnej waluty jest, że zobowiązany jest płacić i przyjmować zapłatę tylko pieniądzem unanym w kraju, i to też tylko w granicach oznaczonych. W Niemczech n. p. było tak, że złote pieniądze niemieckie musiał każdy przyjmować w każdej sumie, srebrnych pieniędzy nie więcej jak za 20 marek, a niklowych i miedzianych jak za 1 markę. Kasy państwa zobowiązane były do przyjmowania srebrnych pieniędzy każdej ilości, a pewna część kas do wydawania złotych pieniędzy za srebrne aż do 2.0 marek a za niklowe i miedziane do 50 marek.

Papierowych pieniędzy mieliśmy w Niemczech dwa rodzaje: bilety państwowe (Reichskassenscheine) i tak zwane banknoty (Reichsbanknoten), pieniądze wydane przez bank rzeszy, który swoją drogą jest przedsiębiorstwem akcyjnym, prywatnym, tylko pod ścisłym nadzorem rządowym.

Pierwsze opiewały na 5 i 10 marek, banknoty zaś na 20, 100 i 1000 mk. Pierwszych nie był nikt zobowiązany przyjmować prócz kas państwa, drugim (banknotom) w roku 1909 nadano prawnie znaczenie pieniądza na równi ze złotem.

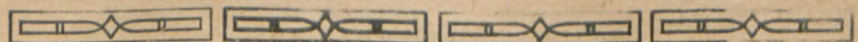
Pieniądze papierowe, jakie w ciągu wojny wiele gmin i powiatów w obieg wprowadziło, nie były i nie są wogóle pieniądzem i nikt ich nie potrzebował i nie potrzebuje przyjmować.

III.

A jaka też będzie waluta w Polsce, zapyta może niejedyn zainteresowany, jako że sprawa ta słusznie wszystkich Polaków obchodzić musi w wysokim stopniu. Niestety na to pytanie nie możemy dać odpowiedzi zadowalniającej. W chwili, kiedy to piszemy, wiadomo tylko, że na mocy odnośnej uchwały sejmku polskiego w Polsce będą się pieniądze zwały „złote” i „grosze”. Złoty będzie zawierał 100 groszy, a ma się co do wartości wedle jednych równać frankowi francuskiemu, wedle innych przypuszczeń znowu marce niemieckiej. Za tem ostatniem bardzo przemawia ten szczegół, że ze wszystkich pieniędzy obecnie w Polsce używanych marka jest najwięcej w obiegu, skutkiem czego wprowadzenie nowej waluty przedstawiałoby najmniejsze trudności. Przy konwersji za markę obecną otrzymałoby się złoty polski, co rachunek ogromnie uprości i ułatwi stosunki z Niemcami, z którymi po sąsiedzku przecież żyć i handel utrzymywać musimy. Mielibyśmy wtedy w Polsce taką walutę jak w Niemczech i tylko nazwa pieniędzy byłaby inna. Ze złota będą pieniądze po 10 i 20 złotych, ze srebra dwuzłotówki i pięciozłotówki, z niklu dwudziestogroszówki, a z żelaza zdawkowa moneta po 1, 2 i 10 groszy. Kiedy ta waluta zostanie ostatecznie zaprowadzoną, też jeszcze nie wiadomo. Zanim jednakże obowiązywać będzie, należy koniecznie przeprowadzić konwersję czyli przeliczenie na nową walutę tych pieniędzy, które są obecnie w obiegu w Polsce, a to rzecz nader zawiślana i trudna. Obecnie bowiem są w użyciu jeszcze ruble, marki niemieckie, marki polskie (kościuszkowskie) wydane przez Polską Krajową Kasę Pożyczkową, korony austriackie i ruble tak zwane Ober-Ost czyli Ostbanku. Każdy z tych rodzajów pieniędzy ma inną wartość, która się na dobitkę złego codzień zmienia, — jak tu teraz oznaczyć wartość tych pieniędzy w nowej walucie, aby nikogo nie skrzywdzić kosztem drugich a samemu również nie ponieść szkody! Skoroby bowiem przeliczenie rubli rosyjskich na nową walutę było korzystniejsze niż przeliczenie koron, spekulanci zagraniczni zamienią korony na ruble i będą Polskę nasyłali rublami bez końca, a koronami i markami, gdyby te kurs miały lepszy, a różnicę będą chowali do kieszeni. A tu granicy niepodobna tak szczelnie zamknąć, aby spekulanci nie potrafili się przez nią przedostać, jak się dzisiaj dzieje przy wywożeniu złota niemieckiego za

granicę. Jest to zadanie tak trudne, że dotąd w historii świata podobnego nie było. Zapowiedziano już prawie na pewno, że przejście na nową walutę nastąpi przed upływem października 1919 roku, to jest przed terminem płatności asygnat skarbu polskiego, ponieważ w warunkach, na których rozpisano swego czasu pożyczkę polską, zaznaczono, iż skarb polski wycofa asygnaty, płacąc w tej walucie, w której asygnaty wydane zostały, lub w nowej walucie polskiej podług kursu, który obowiązywać będzie dla przeliczenia wszelkich zobowiązań płatniczych, — ale ta przepowiednia okazała się złudną. Świeżo obecny minister skarbu Biliński zapowiedział, że zanim

przystąpi do zmiany waluty, najpród na marki polskie wymienić wypadnie korony austriackie, a to potrwa jeszcze jakie 4 miesiące, tle czasu bowiem wymaga rzekomo wykonanie zamówionej przez rząd polski ilości pieniędzy papierowych. Przeważnie sprawa konwersji póniej nieco się uprości, ale ostateczne załatwienie nastęrczy jeszcze tak czy tak wiele trudności. Projektów i pomysłów z różnych stron podniesiono wiele, atoli żaden z dnia nie zdoln rozwiązać w zupełności. Po osaje więc tylko uzbroić się w cierpliwość i czekać, a da Bóg, nowa Polska przewycięży i tę trudność, by ostatecznie sprostać zadaniu, jakie z woli Boga na nią spadło.



MRÓWKI WĘDROWNE.

Są w gorących strefach Ameryki i Afryki gatunki mrówek (Ecitoni Dorylus), które, jakby koczownicze plemiona ludzkie, nie mają stałego zamieszkania, a żyją wśród ustawicznych pochodów, niszcząc po drodze wszystkie napotykane owady, drobne zwierzątka, jaszczurki, napadają nawet straszego węża, Jutrzyne, dochodzącego do sześciu metrów długości.

Mieszkańcy Afryki opowiadają, że gdy wąż ten upoluje jakie zwierzę, zanim je połknie, musi upewnić się, iż w pobliżu niema mrówek wędrownych. Napadnięty bowiem w stanie odrętwienia uciekać, ani bronić się nie może i staje się łupem drobnych tych owadów. Jeśli zaś w porę jeszcze spostrzeże groźne napastniczki, zostawia im swą zdobycz, a sam chyłkiem umyka.

Zdarza się, że koczownice spotykają po drodze gniazda innych mrówek, wtedy rzucają się na nie gwałtownie, a dostawszy się do wnętrza mrowiska, mordują tysiące spokojnych mieszkank.

Nie mając stałego mieszkania, zatrzymują się tylko czasowo w spróchniałych pniach drzewnych, w szczelinach skał, lub w miejscu bezpiecznym pod kamieniem, albo budynkiem.

Stąd w nocy, lub w dnie pochmurne robią wycieczki. Gorące promienie słońca są zabójcze dla wszystkich gatunków mrówek. Jeśli więc przypadkiem znajdą się w pochodzie wśród upału, a uboga roślinność nie chroni ich pod słońca, budują wtedy z grudek ziemi, zlepionych śliną, jakby daszki nad swoją drogą.

Czasami w podróży zaskoczy je deszcz ulewny: drobniejsze mrówki, porwane falą, zginęłyby z pewnością. Przychodzą im wówczas z pomocą większe robotnice. Tworzą z własnych ciał sklepienie, ochraniając tym sposobem od śmierci słabsze towarzyszki.

Innym znów razem niewielki strumyk przecina drogę podróżniczkom, a ominąć go niepodobna. I w tym wypadku pomysłowe te a do po-

święceń dla ogólnego dobra zawsze gotowe stworzonka, trzymając jedna drugą silnie łapkami,



Pochód mrówek wędrownych.

tworzą żywy most, po którym przeprawia się cała drużyna. Zwalczając w podobny sposób wszelkie przeszkody, potrafią one wcisnąć się w każdy zakątek, a kiedy splądrują już doszczętnie jedną miejscowość, wyruszają dalej. Oryginalny widok przedstawiają szeregi mrówek, maszerujących, jakby w szyku bojowym. Po bokach, w miarowych odstępach, uwijają się mrówki, różniąc się od zwykłych robotnic wielkością i silnymi szczękami. Są to niby oficerowie, pilnujący porządku. Armie takie chodzą szlakiem, kilka stóp szerokim.

Pewien podróżnik opowiada, że widział w Guyanie (w południowej Ameryce), olrzymi taki pochód. Poprzedzał go szelest suchych liści, poruszanych przez uciekające zwierzęta i owady. Potem ukazały się mrówki. Zajmowały one przestrzeń przeszło 40 stóp szeroką. Pochód ten trwał dobre pół godziny. Napróżno uciekały przed niemi myszy, jaszczurki, chrząszcze, gdyż wyczerpane rozpaczliwą ucieczką w końcu wszystkim uleść musiały. Inne mrówki wychodziły na każde, po drodze spotykane drzewo i niszczyły chcące ratować się tam owady. Lecz znaleźli się też mściciele niewinnych ofiar; wśród gałęzi tych drzew uwijały się drobne ptaszki, które czyniły ogromne spustoszenie w armii najeźdźców. Jeśli takie niezliczone mrowie wtargnie do mieszkania ludzkiego, oczyści je w przeciągu kilku godzin z wszelkiego robactwa. O jednym takim najściu na wyspie Trinidad, w po-

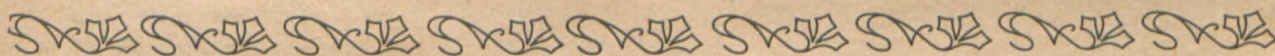
łudniowej Ameryce, opowiada nam pewien przyrodnik.

„Rano zauważono pojawiające się gdzieniegdzie koło domu mrówki. Przybywało ich coraz więcej, aż wreszcie zaczęła się straszna walka: jak wyćwiczeni w boju najeźdźcy, wdierały się mrówki długim szeregiem na belki i stamtąd zrzuciły karaluchy swym towarzyszkom na ziemię, te zaś porywały je i unosiły do tymczasowych spiżarni. Dwie osy, ratując się, zfrunęły z okna, i siadły na sukience małej dziewczynki. Matka kazała jej stać spokojnie. Mrówki weszły na sukienkę, ściągnęły swe ofiary na ziemię, nie uczyniwszy dziecku żadnej krzywdy.

Otworzono potem w domu wszystkie szafy, mieszkańcy wyszli na dziedziniec, pozwalając przybyszom gospodarować swobodnie.

Wyginęły w ten sposób osy, stonogi, świerszcze, myszy, szczury, jaszczurki, węże i wszelkiego rodzaju stworzenia, które są istną plagą mieszkańców gorących stref. To też krajowcy słusznie uważają takie najście mrówek za prawdziwe błogosławieństwo Boże.

Wszystko to trwało zaledwie kilka godzin: o dziesiątej godzinie pojawiły się pierwsze mrówki, o 12-ej wrzał największy bój, o 3-iej uspokoiło się zupełnie, tylko w trawie w koło domu roily się napastniczki, kończąc swą ucztę, a między 4-ą a 5-ą rzuciły się na nie czarne ptaszki, niszcząc znowu miliony mrówek.



MATKA DOBRA.

Matka prawdziwie dobra, to nie taka, która tkliwie do dziecka przywiązana, o to się tylko stara, by ono miało wygody i ulubione rozrywki, albo która dziecku na wszystko pozwala, czego mu się zachce. Matka dobra, to ta, która ponad wszystko w dziecku kocha jego duszę, to, co w dalszem życiu jego stanowić będzie o jego doli, o cnocie i godności.

Bywały w świecie matki, które nieraz zoczyły nawet same z prawej drogi życia, a jednak rozważywszy, że mają być wychowawczyniami tych drobnych istot, które mają obowiązek strzedz i kierować — opamiętały się, pojęły swój macierzyński obowiązek i z odwagą wzięły się do dobrego prowadzenia dzieci, pragnąc, aby te przynajmniej na złe drogi nie zeszyły. Tembardziej te kobiety, które miały dobre przykłady w życiu i to szczęście, iż je Bóg uchronił od błędu i upadku, niech roważą, iż największe dobro, jakie mogą dać swym dzieciom, to nauczanie ich, w jakim celu żyją na świecie, co winni Bogu i bliźnim i gdzie mają czerpać siłę duszy, aby zwyciężyć w walce życia, by umieć wybrać między dobrem a złem i stać silnie przy cnocie i obowiązku.

Każde dziecko przynosi z sobą na świat jakieś zdolności większe lub mniejsze i jakieś skłonności lepsze lub gorsze, i właśnie obowiązkiem tej, co je wychowuje, jest to, żeby owe dobre właściwości rozwijać i pielęgnować, przez co samo już nieraz złe narowy ustępują. Nie zaniechać też co złe ganić, i gdy trzeba, karcieć. Trzeba pamiętać i dziecku przypominać, że nie dość starać się o zapewnienie sobie dobrego bytu, ale dążyć do tego, by duszę, to Boże tchnienie nieśmiertelne, czystą od skazy zachować, a czerpiąc z nieba moc i natchnienie, bliźnim dobrze czynić.

Matka i o tem też zapominać nie powinna, że zdać musi z wychowania dziecka rachunek przed Bogiem, przed społeczeństwem, a nawet przed tym człowiekiem, który wyrośnie z tego dziecka, a który mógłby kiedyś zarzucić, gdy wyrośnie i rozum będzie miał dojrzały — że go nie tak wychowała, jak była powinna, że go od złego nie odwozila, które mu potem życie skaziło.

Dziecko, którego wychowanie było niedbałe, któremu na zachcianki zezwalano, wyrość musi koniecznie na nieczułego i samolubnego człowieka. Gdy je nie nauczono ofiarności na korzyść

bliźnich, cnoty poświęcenia, wtedy żadna szlachetna myśl nie dojdzie mu do duszy, żadne pocztowe uczucie do serca, nawet prostych cnót uprzejmości, gotowości do usług, wyrozumienia — i choćby małej ofiary — już mu nabyć będzie trudno.

Są na świecie istoty czystego i gorącego serca, które za podstawę do własnego szczęścia uważają szczęście drugich. Gdyby wszystkie matki wszczepiły to samo uczucie w serca synów i córek, nie byłoby na świecie tyle zbrodni, nienawiści, sobkostwa, zazdrości, podstępów, chciwości, pychy i niezgody. Matka dobrą niech przedewszystkiem usiłuje uczynić z młodej istoty obraz i podobieństwo Boże, niech ten człowiek przez nią wykształcony, zahartowany będzie do boju życiowego, nie ulegnie się pracy, ni cofa się przed trudem, a stanie się użytecznym członkiem społeczeństwa. Według zdania, że „miłość wszystko może”, każda matka dobra zdolną jest osiągnąć celu, trzeba tylko, aby umiała kochać prawdziwie swe dziecię, by je przygotowała do życia, otwierając

przed oczyma jego duszy to, co je w życiu spotka i to, co ma w niem uczynić. Już od pierwszej młodości dziecię to żyje sercem i myślą, a tego je tylko matka nauczyć może. „Nie czyń bliźniemu, co tobie nie miło” — to pierwsze słowa tej nauki; dalej wskazać mu trzeba konieczność łączności między ludźmi i wzajemnych ustępstw i pomocy, co nawet wczesnie dziecko zrozumie, gdy rozważy, co samo od drugich już otrzymuje.

Człowiek dobrze wychowany wywiąże się zawsze z przyjętego obowiązku, bo go przyuczono, że ma być robotnikiem sumiennym w każdej gałęzi pracy, jakiej się podjął, prawym ojcem rodziny i jednostką społeczeństwa, nie jedząc chleba darmo. Serce jego wiąże się węzłem gorącego współczucia z każdą dobrą sprawą ogólną, nie łamie on nigdy praw, które czcić i zachowywać powinien, ale zwraca się zawsze w tę stronę, gdzie panuje cnota, a z żywą wiarą i miłością postępuje naprzód i spełnia tym sposobem zadanie swego życia.



Kto dobrą radę z uwagą i zastanowieniem przeczyta, przyswoi ją sobie — zdobędzie skarb!

Pracujmy — oszczędzajmy. Słyszymy dziś na każdym kroku. Że pracować każdy winien i musi, o tem rozwodzić się nie potrzeba, ale jak oszczędzać, to przedmiot, który wymaga wskazówki i rady. Oszczędzać może, kto trzeźwo myśli i jest praktyczny, na żywności, opale, oświetleniu, pomieszkaniu i ubraniu.

Mało jeszcze atoli znaną jest oszczędność, dająca nam zabezpieczenie życiowe.

Kto dziś wstępuje do zabezpieczenia naprzykład na 10 tysięcy marek, zapłacił mierną pierwszą roczną składkę a jutro umiera, ten zabezpieczył jednym zamachem swoim najmilszym 10 tysięcy marek, jakie Bank zabezpieczeń bez wszelkich odciągnięć spadkobiercom wypłaci. Otóż takie zadanie ma zabezpieczenie życiowe; ma chronić od nieszczęścia, jakie spowodować może przedwczesna śmierć żywiciela rodziny.

Nieszczęście, rozdzielone na barki wielu, czyni je lżejszem, natomiast, gdy zwali się na jednego, może go zgnieść. Dlatego zasada: Wszyscy za jednego, jeden za wszystkich, jaka ożywia wszystkie zabezpieczenia, stosuje w całej pełni zabezpieczenie życiowe.

Wieleż lat musiano by w Banku oszczędnościowym pieniądze składać, zanim sumę wyżej wymienioną zapewniloby się rodzinie, a któż zaręczy, że tak długo żyć będzie. Pewność, że potomstwo pod względem materialnym w zupełności zaspokojone będzie, jedynie zabezpieczenie życiowe troskliwemu ojcu dać może, ponieważ ubezpieczoną — upewnioną sumę wypłaca się natychmiast po jego śmierci, bez względu, ile pieniędzy na nią złożył. Natomiast gdy dożył pewne-

go wieku, otrzyma również całą ubezpieczoną sumę. Zabezpieczenie życiowe, to uspokojenie troskliwego męża, kochającego ojca w życiu i przy śmierci.

Ubezpieczamy domy, sprzęty domowe od pożaru, aby uchronić się od utraty mienia, a czemuż tak mało dbamy o ubezpieczenie się na wypadek śmierci? Przecież ludzkie życie to najdroższy skarb, jaki od Stwórcy otrzymaliśmy, przecież w pierw należy dbać o to, co najcenniejsze, a dopiero w drugim rzędzie o rzeczy mniej ważne. Wszak w razie pożaru dba ojciec, aby uratować dzieci a potem dopiero zabiera się do ratowania sprzętów. Działa się zatem instynktownie i ratuje się co dla nas najdroższe. Podobnie postępować winien każdy ojciec pod względem zabezpieczenia bytu rodzinie, aby po jego przedwczesnej śmierci nędzy nie cierpiała. Niech nikt nie tłumaczy, że z trudem przyjdzie mu składki opłacać. Te 2 albo 4 procent z dochodu rocznego, jakie winien na cel zabezpieczeń poświęcić, to taka bagatela a w stosunku do tak ważnej i palącej sprawy, to drobnostka, dająca się oszczędzić na kufelku piwa, kieliszku wódki, papierosie lub cygarze a przecież konieczność ubezpieczeń życiowych musi nam przejść wszystkim w krew tak dalece, że ono musi zająć pierwsze miejsce w wydatkach domowych. Kto jeszcze dziś kwestyę tę lekceważy, grzeszy wobec siebie i rodziny.

Kiedy powinniśmy się ubezpieczyć? Każdy wstępujący w związek małżeński, winien wnieść ze sobą jako najszlachetniejszy podarek polisę życiową; praktykowane tj. już od dawna w Ame-

ryce i Anglii, celem zabezpieczenia losu mającej powstać rodzinie. Urzędnik, kupiec, rzemieślnik, gospodarz winien koniecznie mieć polisę życiową. Renta państwowa urzędnicza, mająca zabezpieczyć los wdowy i dzieci wobec coraz to trudniejszych warunków życiowych, nie wystarczy, aby z niej można żyć i dzieciom udzielić odpowiedniego wykształcenia. Nie każdy kupiec, rzemieślnik pracuje z zyskiem. A choćby interes szedł najlepiej, nie wolno całego kapitału w nim lokować, może przyjść czas, że z winy obcych w jednej nocy zejść można na żebraka. To też polisa życiowa jako oszczędność osobista jest nienaruszalna a niejednego wyrwała z biedy, gdy zaciągnął na nią pożyczkę bez potrzeby kłaniania się żągnątom, jakich do podpisu potrzeba, gdy pożyczkę w Banku oszczędnościowym się zaciąga. Dla rodzin z małym dochodem zabezpieczenie jest niezbędne, bo gdy umrze przedwcześnie żywiciel, rodzina podpada pod pomoc publiczną, z której zwykle tyle się dostanie, że jest

za wiele do umarcia a za mało do wyżycia. Kapitał, jaki po śmierci żywiciela z zabezpieczenia się dostanie, służyć może dla przedsiębiorczej wdowy do założenia szwalni, pracowni, małego sklepiku, choćby i na wsi, gdzie komornego wielkiego nie oplaca się, i w taki to sposób może śmiało patrzeć w przyszłość, dzieci wykształcić na porządnych obywateli. Takto często egzystencja zależna staje się od zabezpieczenia życiowego.

Do zabezpieczenia należy przystąpić jak najwcześniej, gdy składki są nieduże a pozostaną takimi przez szereg lat trwania ubezpieczeniu.

Pamiętajmy, że ubezpieczenie to ulepszona kasa oszczędności. Ona uczy nas grosz obejrzyć, zanim go wydamy na rzeczy niepotrzebne, albo wprost szkodliwe. Ono uczy żyć regularnie, potęguje siłą twórczą, wytwarza w nas silną wolę, uszlachetnia, umoralnia, a cnoty te czynią człowieka szczęśliwym.

SŁONIE W INDYACH.

Indye, kraina niebotycznych gór i tajemniczych dżungli, kraina, gdzie wszystko, nawet sztuka, przybiera kształty zbyt wybujałe, jest właściwą ojczyzną największego zwierzęcia ssącego. Od najdawniejszych czasów słoń cieszył się tutaj nieposwedniem uznaniem i wraz z krową oraz małpą zaliczony został do rzędu zwierząt świętych.

Nawet w Panteonie indyjskim, liczącym dwa miliony bóstw, spotykamy jego trąbę, stanowiącą ozdobę (!) Ganeszy, syna Sziwy. Wręcz odmienny od swojego groźnego ojca, uchodzi on za bóstwo opiekuńcze, i stąd posądkę jego z twarzą o słoniowej trąbie spotyka się wszędzie. Nie są one zbyt estetyczne, ale któżby zważał na taką drobnostkę wobec obfitości dóbr doczesnych, za pośrednictwem Ganeszy spływających na wiernych jego czcicieli!

W najstarszych świątyniach indyjskich, na płaskorzeźbach, przedstawiających obrzędy religijne



Słonie przy pracy.

i sceny wojenne, zawsze widzimy słonie, odgrywające ważną rolę. Były one niebędne w armii i niemało wystraszyły żołnierzy Aleksandra Wielkiego, nie znających wcale tego zwierzęcia.

Widziałam bramy starych warowni, najeżone długimi żelaznymi ostrzami w tym celu, żeby słonie nie mogły ich uszkodzić. W rezydencyach Wielkich Mongołów pokazują obszerne place, na których odbywały się zapasy tych olbrzymów, jak dziś walki byków w Hiszpanii.

W świątyniach budują na ich pomieszczenie potężne zagrody, w których słonie, otoczone ciężką niemal boską, pędzą żywot leniwy, jedynie podczas uroczystych procesji wychodząc poza obręb przybytku.

Od niedawna słonie, zawsze używane w Indyach jako zwierzęta pociągowe, stanowią tam poważną siłę roboczą: przy dźwiganiu ciężarów zastępują setki ludzi, a w dodatku nigdy się nie buntują, nie żądają podwyżki i nie urządzają bezrobocia. Należy tylko łagodnie obchodzić się z nimi, a na skinienie kornaka nie ofną się przed żadnym trudem.

Nieraz, patrząc na ich pracę, pod iwiałam ich pojętność w drobnych nawet szczegółach, dokładność godną naśladowania, i roztropność, z jaką ułatwiają sobie zadaną robotę.

Jeżeli układają stopy desek, starają się utworzyć z nich zupełnie równą i gładką ścianę; umieszczają olbrzymie pnie jedne przy drugich, ażeby wyglądały, jak pomost.

Jeżeli spostrzegą jakiś błąd, lub niedokładność, z gniewnym rykiem burzą źle wykonaną robotę i nie szcędzą mozołu, żeby ją naprawić, wesółem trąbieniem objawiając wtedy swoje zadowo-



Kąpiel świętych słoni.

tenie. Ludzie powinnyby uczyć się od nich sumiennosci.

W każdej gałęzi pracy dają dowody roztropności nadzwyczajnej, nic dziwnego też, że w całych Indyach posiadają taki sam mir, jak za czasów Wielkich Mongołów.

Rząd otacza je troskliwą opieką, ażeby zapobiedz barbarzyńskiemu tępieniu tych mądrych, pożytecznych olbrzymów, które ze zdumiewającą siłą tyle łączą łagodności.

Opowiadano mi, że bardzo lubią dzieci i opiekują się nimi, jak najczulsza niańka.

Któż nie słyszał o białych słoniach! ale, chcąc widzieć te albinosy, trzeba jechać do Syamu. Zda się, że w Indostanie ich niema.

Oprócz pospolitych szarych słoni jest tutaj druga ich odmiana: skórę mają czarną, czoło i połowę trąby różowe w czarne kropki, uszy prawie całe różowe, strzępiaste, gęsto nakrapiane. Są to arystokraci wśród rodu słoniowego, zdobią stajnie maharadzów, nizamów, albo też stanowią własność wielkich świątyni, które mogą sobie pozwolić na podobny zbytek.

Widywałam takie święte czarne słonie i, sądząc po apatycznym ich wyglądzie, wnoszę, że beczynność, na którą są skazane, bynajmniej nie daje im szczęścia.

Karmią je wprawdzie wyborowem sianem, pysznymi owocami, ulubionem ziarnem; podczas uroczystych pochodów stroją w piękne, bogate opony z barwnych aksamitów i materyi, haftowanych złotem i drogimi kamieniami; co najwyżej dźwigają lekkie, ozdobne pawiloniki, gdzie w zwyczajach jedwabiu kryją się relikwie świątyni.

Mimo tych wspaniałości ręczę, że zamieniłyby chętnie swoją dolę istot uprzywilejowanych na pracowity żywot swoich braci, albo swobodną włóczęgę po lasach, gdzie można samemu obrywać trąbą młode, soczyste pędy z drzew, dostarczających kapusty palmowej. Niewola, chociażby złocona i słodziona, jest zawsze niewolą.

Bawiąc dłuższy czas w Kandy, dawnej stolicy Cejlonu, codziennie miałam sposobność przypatrzeć się kąpeli świętych słoni, należących do wielkiej, w całych Indyach sławnej świątyni zęba Buddy. Kąpiel odbywa się w rzece Mahavella Ganga; w mętnych jej nurtach spędzają one kilka godzin, co ze względu na podzwrotnikowe upały musi być bardzo przyjemne.

Słonie naturalnie były czarne z różowemi uszami i tak olbrzymie, jak gdyby należały do zaginionej rasy mamutów; niejednen z nich liczył więcej niż sto lat i miał poważną minę patriarchy. Są tak uległe, a może tylko apatyczne, że kornacy syngalescy nadużywają ich cierpliwości.

Dla wygody fotografów-amatorów, na których nigdy tu nie zbywa, wymyślają nowe, niekiedy bardzo osobliwe pozy dla świętych słoni, radzi, że przy tej sposobności sami zostaną uwiecznieni. Przypuszczam, że słonie są mniej próżne i skwitowałyby chętnie z tej reklamy. Ciemni wyspiarze, polując na rupie i centy widzów, urządzają istne przedstawienia z potulnymi do zbytku olbrzymami. Po wykonaniu całego szeregu różnych ewolucyj słoń na skinienie kornaka zwala się posłusznie na dno rzeki, leżąc nieruchomie, jak skała, do której staje się podobny. Co jakiś czas ryczy żałośnie, lecz Syngalez nie zważa na to i ostrą szczotką szoruje mu grzbiet, niby podłogę kuchenną. Na szczęście skóra jego gruba, jak pergamin, mało zapewne odczuwa przykrość tej higieniczno-toaletowej operacji, podczas której wynurzające się co chwila z wody wielkie uszy i trąba wykonywają bez przerwy najpocieszniesze ruchy.

Dziki słoń, żyjący na wysokich stokach górskich w niedostępnych zaroślach dżungli, gdzie stacza zwycięskie walki z coraz to rzadszym tygrysem, nie zniósłby takiego poniżenia. Lecz na Cejlonie dżungla niknie w oczach pod toporem plantatora herbaty, urwiska gór Pedro wkrótce przestaną być bezpiecznym schronieniem olbrzymiego ssaka, który stopniowo da się ujarzmić człowiekowi i powiększy zastęp cichych, niezmordowanych zwierząt domowych, jego niewolników.



Słonie w procesyi.

Jesień była pogodna, słoneczna, jasna.

Na lazurowej fali spokojnego morza kołysały się małe barki rybackie niby białe motyle.

Na płaskich dachach domów widniały kosze pełne śliwek i złote kiście kukurydzy.

Wśród ciemnozielonego listowia błyszczwały czerwonawo-złote pomarańcze.

Jesienne róże pachniały mocno.

Spokój w przyrodzie.. lazur... złoto... pogoda...

Szeroką, białą drogą, skapaną w słońcu,jechał na pięknym, białym koniu młody rycerz...

I choć wszystko wokół niego śmiało się weselo, i słońce na błękicie i lazurowe morze i ponsowe kwiaty i soczyste dojrzałe owoce i twarzyczki dzieci, bawiących się przy domach i dziewcząt usta szkarłatne — on sam jeden nie upajał się cudami przyrody, nie dyszał radością życia, lecz poważny był i smutny bardzo i błądy i milczący.

Albowiem miał on na sumieniu swoim ciężki grzech, który go dręczył i nieznośnem brzemieniem przygniatał...

Młody rycerz podążył do klasztoru, widniejącego na wyniosłym wzgórzu wśród ciemnych gajów oliwnych, aby tam wyznać przed kapłanem swe przewinienie.

Po odbytej spowiedzi, chociaż kapłan udzielił mu rozgrzeszenia, młodzieniec nie rozjaśnił czoła.

Grzech jego wydawał mu się tak ciężkim, wina tak wielką, iż nie sądził, aby Bóg mógł mu przebaczyć.

Spowiednik, widząc jego udrękę, zapragnął go pocieszyć.

— Synu — rzekł — napróżno smucisz się... Prawda, zgrzeszyłeś ciężko, ale miłosierdzie Boga jest nieskończenie wielkie. Największą winę Bóg przebaczyć może za jedno tylko szczere westchnienie skruchy.

A na dowód opowiem ci historię kata z Pizy... Posłuchaj...

Usiedli obaj na ławeczce pod rozłożystym drzewem w ogrodzie klasztornym i kapłan zaczął opowiadanie:

— Będzie już temu więcej lat niż dwieście, jak w Pizie żył kat imieniem Carlo. Był to człowiek zły i okrutny.

Bo nietylko, że ścinał ludziom głowy, ale lubował się w swem krwawem rzemiośle, z niecierpliwością oczekiwał każdej nowej egzekucyi i gdyby mógł, przyczyniłby się napewno nieraz do wydania wyroku śmierci.

Twarde jego serce nie zasnęło słodkich uczuć litości i miłości.

Nie modlił się też nigdy, nie pamiętał o Bogu, ni o zbawieniu duszy. Jeżeli która z ofiar, skazanych na śmierć, zanosila modły do Boga, to kat wyszydział ją i wydrwiwał.

Nic też dziwnego, że człowiek taki otoczony był ogólną nienawiścią i wstrętem, że unikano go jak jadowitego gadu.

Dziecko, które go spostrzegło, uciekało co sił z krzykiem i płaczem.

Oblubienica idąca do ślubu uważała to za złą wróżbę, jeśli orszak weselny na drodze swej spotkał Carla.

Kobieta, spodziewająca się narodzin dziecięcia, bladła i drżała, jeśli przypadkiem padło na nią spojrzenie kata, bo istniał przesąd, że na którą matkę on popatrzy, ta rodzi dziecko niezwywe.

Najbiedniejszy w mieście żebrak nie przyjałby od niego jałmużny ni łyżki strawy.

Nikt z mieszkańców Pizy nie przestąpiłby progę jego mieszkania, a żadna najuboższa i najbrzydsza dziewczyna, nie zdecydowałaby się zostać żoną Carla, chociaż powiadano o nim, że zgromadził wielkie skarby.

I tak żył ten człowiek samotny, straszliwy i krwawy, nieznający ni Boga ni szczęścia ludzkiego.

Pewnego razu nad wieczorem już, a był to dzień równie piękny jak dzisiaj, kat wybrał się na przechadzkę za miasto.

Piękność i spokój rozlane w przyrodzie jakoś dziwnie go usposobiły. Coś mu zaczynało dolegać.

Zamyślił się i tak zamyślony przybliżył się do przydrożnej kapliczki, w której jaśniała figura Matki Bożej.

Na widok kata, dziecko jakieś krzyknęło przeraźliwie i rzuciwszy na ziemię wiązaną kwiatów, pędem uciekać zaczęło.

Pierwszy raz w życiu Carlowi zrobiło się przykro, że dzieci boją się go i uciekają od niego.

— Nikt mnie nigdy nie kochał, — przyszła mu niewiedzieć skąd myśl.

Spostrzegł na ziemi wiązaną róż, porzuconą przez dziecko, które widocznie chciało ofiarować te kwiaty Przenajświętszej Pannie.

Schylił się, podniósł kwiaty i położył je u stóp figury i westchnął.

Kiedy wracał do domu, napadli go w ciasnej uliczce krewni skazańca, któremu kat nazajutrz miał uciąć głowę — i zabili.

Był wówczas w Pizie pewien kapłan świętobliwy, który już przed świtem wstawał i obchodził wszystkie kościoły w mieście, aby w każdym choć krótką zmówić modlitwę.

Dnia tego jak zwykle wyszedł z domu, kiedy jeszcze ciemno było na dworze.

Droga wypadła mu przez cmentarz. Szedł śmiało, bo kto pocziwie żyje, ten się umarłych nie lęka.

Nagle zdumiony zobaczył, że po cmentarzu snują się blade postacie, wyszłe z grobów.

Zatrzymał się niepewny, co znaczy to zebranie duchów. I posłyszał jak umarli mówili pomiędzy sobą:

— Odbędzie się sąd nad duszą kata z Pizy.

— To kat z Pizy nie żyje?

— Nie żyje. Czarci chcą zabrać jego duszę jako swoją własność, a Matka Boska broni jej...

— Archanioł Michał będzie sędzią...

Kapłan ukrył się wśród krzewów cyprysów i przytulił oddech w piersi.

Wkrótce na własne oczy zobaczył Michała Archanioła z ognistym mieczem w dłoni, święte oblicze Panny Przczystej i palające piekielnym ogniem oczy złego ducha.

Rozpoczął się sąd.

— Dusza tego człowieka należy do mnie, bo całe życie była moim sługą...

— Moją jest ta dusza, bo uczcił mnie w ostatniej życia godzinie...

— Nigdy dobrego nie spełnił uczynku.

— Skruczę i żal uczuł przed śmiercią...

— Wielka jest moc złego...

— Większa moc miłosierdzia...

Długo walczyły ze sobą te dwie moce: Święta i czartowska o duszę człowieka...

Matka Boska zwyciężyła, bo ostatnia myśl kata z Pizy była żalem za grzechy, a ostatni czyn uczczeniem Najświętszej Panny... Czart odszedł pokonany.

— Za duszę tego człowieka — rzekła Matka Boska — odpawi modły sam papież w Rzymie.

— A któż papieżowi poselstwo Twoje zanieśie, Królowo Niebios? — spytał Archanioł.

— Ten kapłan, tam ukryty wśród cyprysów.

Kapłan padł na kolana, struchlały opuścił oczy ku ziemi, nie śmiejąc patrzeć na Najświętszą Panię.

— Pójdiesz do Rzymu i powiesz papieżowi, że ma za duszę wielkiego grzesznika Carla mszę św. odprawić... Aby zaś Ojciec święty nie wątpił o prawdzie słów swoich, masz ten oto znak...

I Matka Boska podała księdzu białą różę o przedziwnej woni.

Kiedy kapłan spełniając polecenie, przybył do Rzymu, i opowiedziawszy papieżowi wszystko co widział i słyszał, pokazał różę, po trzech dniach podróży równie piękną, świeżą i wonną, nikt nie wątpił o prawdzie posłannictwa jego.

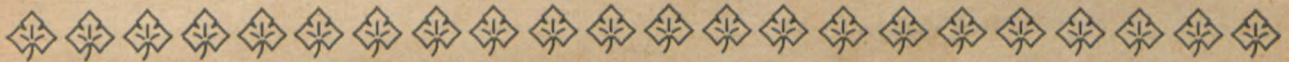
Sam Ojciec święty odprawił w kościele św. Piotra mszę św. za duszę wielkiego grzesznika, kata z Pizy.

— I tak — pocieszał kapłan pokutnika — grzesznik największy zbawion być może, jeśli choć przez chwilę serdecznie i szczerze żałował za winy...

Rycerz słuchał zadumany i powoli twarz jego rozjaśniła się promieniem nadziei...

W tej chwili, gdy spowiednik skończył swe opowiadanie, w kościele zadzwoniono na „Pozdrowienie Anielskie“.

— Słyszysz synu, — rzekł ksiądz — jak ten dzwonek woła: przyjdźcie do mnie wszyscy smutni i strapieni, a ja was pocieszę...



RZUT OKA NA GEOGRAFIE LITWY.

Litwa właściwa leży nad górnym i środkowym Niemnem i nad Wilią, poboczną Niemna. Litwy nie zamykają granice naturalne. Na północy zlewa się z Inflantami i Kurlandją; na wschodzie sięga ku rzece Berezynie; na południu stacza się ku rzece Prypeci. Jedyne na zachodzie przyjąć można za naturalną granicę wzdłuż Prus Wschodnich rzeczkę Biebrzę, poboczną Narwi, Niemen i wzdłuż Żmudzi dopływ Niemna Dubisę.

Do Litwy należała Żmudź, kraj leżący między morzem Bałtyckim a rzeką Dubisą. Z Litwą łączą Podlasie nad Narwią górną, Ruś Białą nad górnym Dnieprem i nad górną Berezyną, Ruś Czarną na południe od Litwy właściwej na wschód od Podlasia, a między Niemnem i Prypecią górną, nad Prypecią Polesie. Razem z tymi krajami nazywamy Litwę w szerszym słowa znaczeniu. Za wielkiego księcia Gedymina (1315 do 1341) zdobyli Litwini Podlasie i po prawej stronie Prypeci Polesie. W. ks. Olgierd (1345 do 1377) odebrał Tatarom Podole, Ukrainę, na Polsce zdobył Wołyń, a księciu moskiewskiemu odebrał Smoleńsk, Brańsk, Twer.

W drugiej połowie 14 wieku była więc Litwa państwem potężnym.

Pionowo wygląda właściwa Litwa jak płyta około 300 metrów wzniesiona nad poziomem morza, że zaś zasiana jest licznymi jeziorami, zwie się pojezierzem Litewskim. Stosunkowo najwyższej wznoszą się ponad płytą koło Wilna góry Ponary do 300 metr., koło Mińska góra święta 343 metr., a pojezierze Żmudzkie koło Kroź sterczy ponad niziną niby wśród morza wyspa. Na geologię gór litewskich składa się gips, kreda, wapień, piaskowiec. Taka budowa ulega łatwo zniszczeniu pod wpływem wody i powietrza. Wody deszczowe wyrzeźbiły tam przepiękne kształty, wymyły kurytarze, grotty, pieczary. Jestto istny obrazek Szwajcaryi litewskiej. Wody płynące zmyły cudowne doliny np. dolina kowieńska. Tu i ówdzie spotyka się odłamy skał skandynawskich. Lodowce w epoce lodowej zsuwając się z gór skandynawskich przyniosły je tutaj. (Takie kamienie zwią się eratyczne). Skałę eratyczną w Tuchanowicach nazywają kamieniem Filaretów. Skład geologiczny gleby tworzą gips, wapień, il, piasek, glina,

tu i ówdzie czarnoziem, torf, bursztyn, jest trochę rudy żelaznej, źródeł siarczanych.

Hydrografia tj. sieć wodna pojezierza Litewskiego jest wcale bogata. Główną rzeką jest Niemien. Jest on tak rzeką litewską, jak Wisła polską. Wypływa w bagnistej okolicy Mińska, płynie na zachód do Grodna; na północ od Grodna do Kowna; znów na zachód od Kowna do ujścia.

Wpada do zalewu kurońskiego dwoma ramionami. Ramie lewe, południowe zwie się Gilga, ramię północne, prawe Rus. Brzegi Niemna w górnym i średnim biegu wcale strome, wyniosłe; w dolnym biegu niskie, płaskie. Na kształt olbrzymiego węża o niezliczonych skrętach, wije się Niemien wéród malowniczych pagórków, łąk, pól, wylaczanych pszenicą, posrebrzanych żytem. Niemien „Ojciec“ ważną rolę w dziejach Litwy.

Niemnem zapuszczali się w głąb Litwy ze Szwecyi Waregowie, Rusowie w 11 i 12 wieku. Tu zakładali pierwsze osady — podwaliny organizacyi Litwy. Później na zachodnim brzegu Krzyżacy a na wschodnim Litwini budowali zamki, grody i wzajemnie je sobie burzyli. Ojciec Niemien trzymał straż nadgraniczną, osłaniał i bronił Litwinów. Dzisiaj jest drogą wodną, dobrą, tanią; ułatwia transporty towarów surowych z głębi kraju do nadmorskich miast, głównie Królewca, Klajpedy i odwrotnie.

Poboczne Niemna z prawej strony: Suła, Wilia z Wilejką i Świętą; Niewiaza, Dubissa i inne pomniejszych, krótkie z wodospadami dostarczają młynom i fabrykom dużo siły.

Najwybitniejszą z tych dopływów jest Wilia, która „ma dno przejrzyste i błękitne lica“. Źródło jej blisko Berezyny. Płynie na zachód niemal równolegle z Niemnem i pod Kownem uchodzi do Niemna. Dopływy z lewej strony są: Szczara, Łososina, Biała i Czarna Hańcza i inne.

Jeziór wiele. Największe Narocz, Miadziół, Wigry, Bonisze, Łukomskie, Świtez. Brzegi ich są fantastycznie powyginane, wydłużają się w ramiona niby kanały, ułatwiają żeglugę.

Klimat pojezierza litewskiego zbliża się do klimatu innych ziem polskich, ale jestto pas strefy umiarkowanej, chłodniejszej. Ścierają się tu dwa wpływy klimatyczne, ze wschodu wpływ łądu i z zachodu wpływ oceanu. Zima trwa 4 miesiące z mrozami, wiosna zaczyna się znacznie później, lata bywają łagodne. Deszczów dosyć, nie brak wilgoci, potrzebnej do rozwoju roślin.

Od gleby i klimatu zawisła szata roślinna tj. flora. Wprawdzie gleba niezbyt żyzna, skoro przeważa il, glinka, piasek — ale klimat żnośny i wilgocisty, a w takich warunkach bujnie rozwija się drzewostan. To też pojezierze litewskie pokrywa olbrzymi płaszcz leśny dębów, buków, grabów, klonów, lip, osik, świerków, sosen i różnych krzewów. Tych kniei puszczy tajemniczych (n. p. Białowiezka), wprost niezbadanych,

przepiękny opis podał Adam Mickiewicz w „Panu Tadeuszu“: „Któż zbadał puszczy litewskich przepustne krainy“.

Z całego obszaru Litwy przypada na pola zbożowe 25 do 50 proc., z pola zbożowego zaś przypada na uprawę pszenicy do 10 proc., żyta do 40 proc., jęczmienia, buraków do 10 proc., owsa do 30 proc., ziemniaków do 20 proc. Na jednego człowieka przypada od 100—250 kilg. zboża. Z tego pobieżnego opisu wniosek, że Litwini mają bogactwo drzewa na opał, budulec, do fabryk, ale zboża mało.

Na wielką własność przypada ziemi w południowo-wschodniej części 50—70 proc., ponieważ tu są rozległe lasy; w części północno-zachodniej 40—50 proc.

W związku ze światem roślinnym stoi świat zwierzęcy tj. fauna.

Dzikiego zwierza jest jeszcze dużo. Niedźwiedzie, dziki, wilki, lisy, żubry, tury, jelenie. Z bydła domowego przypada na 100 mieszkańców 20 koni, 30 sztuk bydła rogatego, 20 świń, 30 owiec i kóz. Pszczelnictwo kwitnie od czasów niepamiętnych, przedhistorycznych, również rybołówstwo, myśliwstwo.

Ludność Litwy mieszana. Polacy, Litwini, Białorusini, Łotysze, Żmudzini, żydzi, Tatarzy. Tatarów sprowadził ks. Witold przy końcu 14-go wieku. Na 1 klm. kwadratowy przypada 25 do 50 głów, więc zaludnienie Litwy jest słabe. Polaków liczyć można na 2 miliony, najwięcej w okręgu wileńskim, w okręgu kowieńskim jest ich do 50 proc., gdzieindziej 25 proc. W gub. wileńskiej jest około 700.000, w grodzieńskiej 500.000, mińskiej 300.000, kowieńskiej 100 tysięcy itd.

Katolików w części zachodniej i na Żmudzi jest 75 do 90 proc., ku wschodowi liczba maleje. Obszar jednej parafii obejmuje 250—500 klm. kwadratowych, a dusz 4—6 tysięcy.

Najwięcej jest żydów w gubernii wileńskiej, kowieńskiej, grodzieńskiej ponad 20 proc.

Oświata stoi nisko, analfabetów tj. nie umiejących czytać jest w części północno-zachodniej 50 proc., na wschodzie ponad 75 proc. Przemysł jeszcze słaby, w fabrykach okręgu wileńskiego, krożeńskiego, grodzieńskiego pracuje w przemyśle 50 proc. Przemysł spożywczy zatrudnia ponad 10 proc., drzewny 5 proc., tak samo skórzanym, tkackim.

Oszczędności z pracy, z dochodów liczą na 1—10 koron na głowę; w Galicyi 75 kor. Handel ożywiony. Wywożą płody surowe, tj. drzewo, bydło, bursztyn zboże, paszę. Przywożą towary fabryczne. Komunikacja jeszcze pozostawia wiele do życzenia. Trzy tory kolejowe przecinają Litwę. Kolej dwutorowa z Petersburga przez Wilno do Warszawy druga z Połocka, trzecia ze Smoleńska do Brześcia Litewskiego. Boćczna kolej dwutorowa z Wilna do Kowna, jedno-

torowa z Kowna do Kłajpedy i Libawy. Na 100 kilm. kwadratowych obszaru przypada 5 kilm. długości kolei.

Uzupełniają komunikację drogi wodne t. j. Niemen, Wilia, kanał Królewski, kanał Ogińskiego. Kanał Ogińskiego łączy Prypeć koło Pińska z rzeką Szczarą; kanał Królewski łączy Prypeć od Pińska z Muchowcem. Naturalnie po tych drogach wodnych kursują parowce z Warszawy po Bugu do Brześcia Litewskiego, po Muchowcu, po kanale Królewskim do Pińska, stąd po kanale Ogińskiego po Szczarze, Niemnie do Grodna, Kowna, do zatoki kowieńskiej.

w to zwierciadło, padł rażony własnym wzrokiem. Ta baśń przypomina nam żywo Wawel, smoka, Krakusa. Osada została od potwora uwolnioną ale swój dalszy rozwój zawdzięcza ks. Gedyminowi. Książę, jak mówi podanie, znużony polowaniem, zasnął w pobliżu tej osady. Śnił o olbrzymim wilku, wyjącym tak przeraźliwie, niby sto wilków. Arcykapłan Lizdejko wyłożył księciu znaczenie snu. Wilkiem jest gród a wycie to sława tego grodu. Gedymin zbudował tu zamek, a osada wzrastała w potężne miasto, Wilno, nazwane od wilka. Wilno było rezydencją W. Ks. litewskich, królów polskich, dlatego jest



WIDOK WILNA.

Pod względem administracyjnym rząd rosyjski podzielił Litwę na gubernię wileńską, grodzieńską, kowieńską, mińską. Przyszłość niedaleka okaże, jaki los przypadnie Litwie. Miasta ważniejsze na Litwie:

Główne miasto Wilno liczy 200.000 mieszkańców, leży przy ujściu Wilejki do Wilii, u stóp góry Bakszty. Otaczają góry Ponary, pokryte sutym płaszczem lasów. Podanie o początku Wilna takie: W lochach prastarego grodu siedział bazyliszek, który zabijał ludzi swym zwrokiem. Ależ i na niego przyszedł koniec. Odważny a dowcipny rycerz wszedł do lochu, trzymając przed sobą zwierciadło: Bazyliszek spojrzawszy

bogate w pamiątki. Jest tu 18 kościołów. Władysław Jagiello wznosił katedrę św. Stanisława w miejscu świątyni pogańskiej Perkunasa. Stefan Batory założył akademię. Zygmunt III dał kilka fundacyi. Radca miejski Dubowicz zbudował klasztor Karmelitów Bosych. Stefan Pac wznosił kościół św. Teresy przy Ostrej Bramie 1626 a Karmelici wzięli w opiekę obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej. Ten obraz malowany w 16 wieku na desce. W katedrze są kaplice marmurowe — jest wiele pamiątek. Tam spoczywa św. Kazimierz, król polski, tam przechowane serce Władysława IV († 1648), są grobowce Witolda, Alexandra, Barbary Radziwił-

łówny. W innych kościołach jest mnóstwo pomników, znakomitych mężów — Sapiehów, Tyszkiewiczów, Chodkiewiczów, Platerów itd. Królowie polscy przebywali tu chętnie, jak Zygmunt I, Zygmunt August z Elżbietą, a po jej śmierci z drugą małżonką Barbarą.

Wilno jest i dzisiaj ogniskiem życia kulturalnego Polaków na Litwie, jest centrem handlu, przemysłu, leży na głównej drodze z Warszawy do Petersburga. Inne miasta litewskie, to przeważnie zamki. Na zachód od Wilna Troki, warownia przeciw Krzyżakom. Kowno przy ujściu Wilii do Niemna, Merecz, pamiętny pobyt i śmiercią Władysława IV. 1648. Grodno, pamiętne pobyt i śmiercią Stefana Batorego 1586, drugim rozbiorem Polski 1793, abdykacją Stanisława Augusta. Lida, Oszmiana, Smorgonie, gdzie uczono tańczyć niedźwiedzie. Na Żmu-

dzi Rosienie, na Rusi Białej Mińsk 90.000 mieszkańców, na Rusi Czarnej Nowogródek z górą Mendoga.

Adam Mickiewicz spędził tu lata młode, w pobliżu Zaosie, miejsce urodzenia Adama, niedaleko jeziora Świtez, upamiętnione balladą przez Mickiewicza. Wśród malowniczej okolicy są Tuchanowice, Świtez, Woronczka, Nieśwież z zamkiem Radziwiłłów, gdzie jest słynna galerya, obrazów. Na Polesiu Pińsk nad Piną; tu jest krzyżownica dróg wodnych i lądowych, miasto handlowe. W Pińsku uczył się Adam Naruszewicz, Tadeusz Kościuszko.

Na granicy Podlasia, Brześć Litewski, pamiętny unią 1595 r. Rusinów z Kościołem katolickim. Na Podlasiu jest Białystok, Knyszyn, gdzie umarł Zygmunt August.

ŻARTY I FRASZKI

Ma racye!

— Ach, wiesz, zapomniałem, jak się nazywa ten znakomity podróżnik po Afryce... Ro... Ro... Ro... ot, mam go na końcu języka!...

— Więc pokaż język, to ja przeczytam...

Ona: Ja nigdy nie oddałabym ręki mężczyźnie zbyt przystojnemu, gdyż byłabym o niego bardzo zazdrosną.

On: Więc odbierasz mi pani wszelką nadzieję?

Na poczcie w małym miasteczku.

Interesant: Doprasam się łaski jelemonego pana, chcionem się zapytać, czy ta nie ma jakiego listu do Onufrego Masełka?

Urzędnik: Widzisz go, jaki mądry! Ja tam dla czyjegoś masła nie trzymam listów.

Przed bale.

— Proszę dziadzi, idę na bal. Niech dziadzio zobaczy, czy jestem dobrze ubrana?

— Widzisz, za moich czasów to się nazywało: rozebrana!

W sądzie.

Sędzia: Skąd czerpiesz środki utrzymania?

Podsądny: Ze wszystkich stron...

Sędzia: Właściwie — mówiąc, chcę wiedzieć, czem żyjesz?

Podsądny: Najwięcej chlebem i kartoflami...

Sędzia (znieczierpliwiony): Ależ zapytuje cię podsądny, na czem jest oparta twa egzystencja?

Podsądny: Jak w tej chwili na baryerce!

Wyjaśnienie.

— Co to jest mół?

— Taki koń, co mu długie uszy urosły...

W salonie.

Łgarz salonowy: W czasie ostatniej mojej wycieczki za granicę — poznałem w Spa jegomości, który miał 170 lat.

Pani: To rzeczywiście wiek nadzwyczajny — a jak też wyglądał ów staruszek?

Łgarz: Najwyżej na 169 lat.

Oszczędność na czasie.

Plakałem dzieckiem — kiedym ząbkował,
Chodząc do szkoły — jam szłochał —
Równiem serdecznych łez nie żałował,
Kiedym mą Rózię pokochał.

I dziś bym plakał w rozpacz szale,
Z całą szczerością młokosa —
Gdy ciebie tracę — o piękna! — ale
Szkoda mi chustki do nosa...

— Pieniędzy nie dostaniesz, ale będziesz miał teraz dobrą ewikcyą (pewność); czy wiesz, że się żenię?

— Ny, a na co mi tego taki wiedzieć? — co mi po pańskiego Wikci, ja mam taki swego Ruchłę, to ja Wikciów nie potrzebuję, — ale mojego piędzów.

Nie uchowało się.

Dziewięćdziesięcio-letnia babka, której umarł 60-letni syn, mówi:

— Ja zawsze myślałam, że mi się to dziecko nie uchowa!

KISZKA.

Balada.

Był to sobie dziad i baba,
Baba Anna, dziad Barnaba:
Zyli zgodnie i pocziwie,
Ale bardzo nieszczęśliwie.
Bo pocziwość źle popłaca
I pocziwych los ugniata,
Pracowali, lecz ich praca
Zawsze poszła gdzieś do kata.

Siedząc sobie raz oboje
Rozmyślali nędzę swoją,
Ona płacze, on w żałobie
Tkliwie tuli ją ku sobie: —
„Nie płacz, żono moja droga,
Wszak przywykłaś do niedoli,
Prośmy raczej Pana Boga,
Aby odjął, co nas boli.

„W wielkiej prawda żyjem nędzy,
Bo nie mamy nic pieniędzy;
Lecz sumienie nasze czyste
Jak to słońce promieniste:
Zdrowie i swoboda złota,
Która bogactw miejsce trzyma;
Gdyż występki, gdyż niecnota
Do serc naszych wstępu niema.

„My ubodzy, lecz pocziwi,
Chociaż los się nam sprzeciwi,
Choć nam Plutus głuchy, niemy,
Z czystym sercem dobrze śpiemy. —
Mnie nie smuci dola taka,
Tyś niedłużna, jam nie dłużny;
Bo ujrawszy gdzie żebraka
Jeszcze dajem i jałmużny.”

„Moje serce, rzeczce żona
Mniej już trochę zasmucona,
My dajemy jak nam staje,
Lecz nam Pan Bóg nic nie daje!
Cóż więc z tego, żem niedłużna,
Że się tulim jak dwa śledzie;
Kiedy praca nasza próżna,
Kiedy nam się nic nie wiedzie.” —

Chciała płakać z nim babina,
Gdy się ozwie głos z komina:
(Bo w ubogiej swej izbinie
Wraz siedzieli przy kominie;)
„Dość tych żalów, tej zgryzoty,
Że nie macie kęsa chleba;
Wasza dola, wasze cnoty
Obudziły litość nieba.

„Rozweselcie się oboje,
Błysną dla was szczęścia zdroje:
Ja wam mówię niebios goniec,
Że mąk waszych przyszedł koniec,
Niebo was ma w swojej pieczy,
Chce dać szczęście waszej chacie,

Proście tylko o trzy rzeczy,
A natychmiast otrzymacie.” —

„Ach Anusiu! głos Anioła!
Cóż nie płaczesz? czyś wesoła?
Prośmyż, prośmy, co sił stanie,
Naprzód kiszkę na śniadanie;
Jestem głodny, moja luba!” —
Wnet z komina aż do ziemi
Wisi kiszka długa, gruba
I upada tuż przed niemi.

To już jedno. — „Co? w tej nędzy
Ty chcesz kiszki, nie pieniędzy?
O! ciesze się nią radośnie,
Niech do nosa ci przyrośnie.” —
„Jestem głodny moja luba!”
Wnet się ciężko i z ukosa
Dźwiga z ziemi kiszka gruba
I przyrasta mu do nosa.

To już drugie. „Aj! do licha!
Krzyknie mąż: ta się uśmiecha;
Dawaj noża! rznij tę biedę,
Jaż mam taką znieść ohydę?” —
„Żal mi ciebie mój Barnabo”,
Rzeczce żona smutnym głosem,
I rznie kiszkę. „Stój, stój babo!
Bo się kiszka stała nosem.”

„Aj dla Boga! cóż ja pocnę?
To nieszczęście me widoczne.”
Czując kiszkę wciąż u nosa,
Łaje żonę zły jak osa,
Już dwie rzeczy wypełnione,
Jakaż trzecia im została?
Błaga niebios, łajac żonę,
By ta kiszka odleciała.

Długa, gruba, nakształt drąga
Wnet się kiszka z nosa ściąga.
O trzy rzeczy więc błagali
I trzy rzeczy otrzymali.
Wtem duch rzeknie i uląta:
„Żyćcież w cnotach jednakowi:
Pędźcie w szczęściu setne lata,
Z Bogiem, z Bogiem, bądźcie zdrowi.”

Fr. Kowalski.

Ugrzeczniiony.

— Więc jakże sądzisz doktorze, ta rana zro-
biona jest nożem?

— O, nie.

— Więc może pochodzi od wystrzału?

— I to nie...

— To może zrządzono ją tępem narzędziem,
naprzykład młotem?

Doktór z gracyą:

— To przypuszczenie bardziej by mi się u-
śmiechało!...

Ze świata dziecięcego.

Matka nie dała za karę małemu Józiowi leguminy. Józio idzie w kąt i płacze; po kilku ćwiczeniach przerywa płacz.

— No, cóż, jesteś już grzeczny? — pyta go matka — przestałeś?

— Nie — odpowiada Józio — ja tylko odpoczywam...

List pana Damazego.

Kochana panno Pulcherjo Dobrodziko!

Zmartwiałość i różne dyskursy chodzą do mojej głowy o Wićmożnej pannie Pulcheryi Dobrodzice, jakoby już inny zajeżdża do niej, ja nie miałem czasu być u Pani, bo teraz żniwa, a że nasz arendarz przyjedzie do Warszawy ze skórkami, to ja proszę przez niego upewnić mnie co do mego chcenia i co do miłości uszanowania Pani Dobrodziki. Nikomu jeszcze nie wystawiam mojej miłości, boję się, żeby nie było w tem ozejścia. Sąsiedzi znają mnie dokumentnie, mam a trochę i światłości, przez którą mogę czytać pisać. Wie to panny Ciotka, jaki ja kawaler jestem rezolutny, więc proszę o miłość wzajemności.

W gazecie piszą, że miłość nie jest to żarty, ale do wszystkiego człowieka doprowadza: do życia i do zastrzelenia się czyli wypalenia do siebie z pistoletu. O! co rozpacz będzie porzucać ten świat, kiedy na grobie moim wyrzną: „Stracił życie i śmierć nie przez inną okazję, tylko przez miłość i kochanie jednej panienki!”

A jakiby to ja był szczęśliwy, żeby ja usłyszał co pani mnie kocha! proszę niech mi pani odpisze, albo powi arendarzowi, abym wiedział za co się mam trzymać.

O! czekam listu albo arendarza z płaczem, wzdychnaniem i tam dalej — jeżeli będzie dobrze o przyjadę z przywózką, a jeżeli nie, to się wszystko skończy i będę leżał na klepisku od zabicia wystrzelenia z pistoletu — a potem z rozpaczyczenia się z panną Barbarą, co mnie do tego nawia pachciarz z Wulki.

Teraz całuję wszystkie paluszki wszystkich nóg i rączek po siedem razy i przyciskam do mego delikatnego serca, a nakoniec nie wiem co się ze mną stanie.

Zostaję z bardzo wielkim defektem, wzdykający do panny Pulcheryi Dobrodziki, przyjaciel od grobowej deski, najniższy podnózek.

D a m a z y, rządca.

Staś wraca z mamą z wizyty od znajomych, tryumfalnie niosąc koszyk z wiśniami, wkrótce jednak malcowi się przykrzy nieść ciężar, oddaje więc koszyk matce.

— Dobrze — powiada matka — będę niosła koszyk, ale za to wiśnie zjem sama...

— To nie lacya — powiada z powagą Staś — dr ewo także niosło te wiśnie, a nie zjadło...

W ogrodzie zoologicznym.

— Proszę państwa, taki wąż to może odrazu zjeść barana albo osła...

— Oj, oj, mężu, tylko się nie zbliżaj do niego.

Pomiędzy przyjaciółmi.

— Jaki ten mój scyzoryk tępy!...

— Nic dziwnego: jaki pan — taki kram.

— Czy mogę jeszcze chodzić w tym surducie?
— Możesz, tylko, żebyś się nie pokazywał w porządnym towarzystwie.

To świętej cierpliwości z temi mężami.

— Próżne wykrety, tobie trzeba było g'upszej żony odemnie.

— Cóż? kiedy nigdzie znaleźć takiej nie mogłem.

Pytania i odpowiedzi.

— Jakie jest podobieństwo między machiną parową a orkiestrą?

— I tu i tam znajdujemy kotły.

— Dlaczego proch jest czarny, a nie biały?

— Bo go wynalazł Schwartz, a nie Weiss...

— Które twierdzenie geometryczne jest największym fałszem?

— To, że droga prosta jest najkrótsza.



— Chcesz mnie ugliżyć pieśku? A mozie ty też jesteś taki bolszewik?